

5

Taras SZEWCZENKO
BLIŹNIAKI



Wydawnictwo Lubelskie

— Popatrz, popatrz, mój gołąbeczku, co się u nas dzieje — powiedziała przestraszona Paraskowija Tarasiwna.

— A cóż tu u nas się dzieje? Nic tu nie widzę — mówi Nykyfor Fedorowycz.

— A sukmany nie widzisz?

— Sukmanę widzę.

— Przecież ona porusza się jak żywa!

— Widzę. Niechże się porusza, co mi do tego.

— Człkiem z kamienia ty jesteś. Czyż nie należy zobaczyć, dlaczego ona się porusza? He?

— No to popatrz, jeśli masz ochotę.

— A ty nie masz ochoty?

— Nie.

— No to popatrz naprzód ty, a potem ja zerknę.

— Dobrze, dobrze...

Po tych słowach gospodarz zbliżył się do zawiniątka, rozwinął je ostrożnie i przeraził się. Nie mógł wymówić słowa, znacząco za to pokazał na rozwiniętą sukmanę i jak skamieniały stał przez chwilę, a gdy otrząsnął się ze zdziwienia, krzyknął:

— Parasko!

Stara, przybliżywszy się do setnika, stanęła jak wryta przed rozwiniętą sukmaną i podniosła ręce do góry. Zatrzymała się przez chwilę w tej tragikomicznej pozie, a potem krzyknęła:

— Święty męczenniku, Iwanie Wojowniku, cóżeś nam uczynił? — Zwróciwszy się zaś do Nykyfora Fedorowycza, rzekła:

— A widzisz, nie darmo przyśniło mi się dwoje małych cieląt. Przecież ci mówiłam, że na pewno coś się wydarzy. No, dziękujemy ci, Boże nasz miłosierny — powiedziała gospodyni, żegnając się i ostrożnie podnosząc dwóch różowiotkich malców, owiniętych w świtkę. — Wynagrodziłeś nas jednak Panie, na stare lata.

1701/17
S 997

Taras SZEWCZENKO
BLIŹNIAKI



Wydawnictwo Lubelskie

BLIŽNIAKI

Tytuł oryginału

Близнецы

*Tłumaczenie niniejsze poświęcam
światlanej pamięci Jerzego Jędrzejewicza*

Taras **SZEWCHENKO**
BLIŹNIAKI

tłumaczył
Antoni SEREDNICKI

Wydawnictwo
Lubelskie

Projekt obwoluty, okładki, karty tytułowej
MIROSŁAW ZDRODOWSKI-ZDROZDOWSKI

ISBN 83-222-0414-0

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1986

Wszystkim kulturalnym ludziom wiadomo, i to dobrze wiadomo, że poniedziałek — to dzień pechowy albo, inaczej rzecz można, dzień ciężki, i że w poniedziałek każdy mniej czy więcej wykształcony człowiek nie rozpocznie żadnej poważniejszej sprawy. Najchętniej dzień cały przeleży, choćby tam, jak to się mówi, sprawa sama do rąk się pchała, on nawet palcem nie ruszy. I rzeczywiście, gdy dobrze pomyśleć, jeśli my dla marnego grosza zaczniemy gwałcić święte zwyczaje przeszłości, co wtedy stanie się z nami? Zamienimy się w jakiś tam Francuzów, czy broń Boże, kusznych Niemców, a o typie, że tak powiem, o właściwości narodowej, szkoda mówić.

Według mnie naród bez swoich cech własnych, które tylko jemu i tylko jemu są właściwe, podobny jest zupełnie do kisielu, i to do najbardziej niesmacznego kisielu.

Lecz niestety! Nie wszyscy tak myślą. Na przykład ludzie wojskowego stanu w stosunku do współczesnych na drogach oświaty pozostają daleko w tyle.

Oni, na przykład, całkiem nie wierzą w magiczność poniedziałków i lekkomyślnie nazywają ten święty testament dziadów i ojców naszych babskimi bredniami. Boże mój, Boże! Czegośmy się doczekali!

A gdybym poprosił tych wścazy¹, żeby zajrzeli na przykład do *Listownika* sławnego Kurganowa². Właśnie tam wyczytaliby, że już starożytni Chaldejczycy ma-

gowie i astrologowie, a za nimi następcy nauki Zoroastra³, bez zastrzeżeń wierzyli w fatalizm poniedziałków. Ale spróbujcie porozmawiać z bezceremonialnymi wojskowymi. Wojskowy, prawdziwie wojskowy człowiek prędzej zawiąże grosz w rogu chusteczki albo kupi u Żyda zbędną flaszkę rumu własnego wyrobu, tak zwanego „kłopowyka”, aniżeli zechce kupić jakąś mądrą książkę, chociażby na przykład *Klucz do tajemnic przyrody* Ekkartshausena⁴ z pięknymi ilustracjami Jegorowa⁵. Daremne twoje wysiłki. Nawet wysłuchać cię nie zechcą.

Wciąż prowadzę ku temu, cierpliwy czytelniku, że znieważywszy uświęcone wiekami wierzenia przodków naszych, właśnie w poniedziałek wczesnym rankiem z miasta powiatowego Perejasławia w połtawskiej guberni ruszył w pochód huzarski czy może, nie pamiętam już dobrze, ułański pułk. Pamiętam tylko, że zbiórkę na trąbach ogłoszono; dlatego sądzić należy, że pułk był kawaleryjski, bo gdyby to była piechota, na zbiórkę wzywano by biciem w bębny.

Gdy pułk zajmuje kwatery we wsi czy w miasteczku albo je opuszcza, jesteśmy świadkami dwóch wielkich wydarzeń, a szczególnie wielkich, jeśli pułk, czego nie daj Boże, zatrzyma się na kwaterach bodaj kilka dni. Wtedy jego odejście żegnają łzami, a bardzo często gorącymi łzami. Mówię tu tylko o płci pięknej. Jeśli zaś chodzi o mężów i narzeczonych, wolę milczeć. Nie powiem też ani słowa o wymarszu wspomnianego pułku kawaleryjskiego ze wspomnianego miasta Perejasławia, chyba tylko to, że liczne mieszczki odprowadzały żołnierzy, chociaż nie sprzyjała temu pogoda ze względu na przewlekły deszcz albo, jak nazwałby go świetlanej pamięci Hrebinka⁶, zjadliwy; to jest drobny i trwały.

..Nie zważając jednak na ten zjadliwy deszcz; wiele

mieszczek odprowadzało swoich wąsalów do wsi N. — inne do miasteczka Boryspola, a reszta, i to te bezinteresowne, aż do kijowskich miedz, to jest do przeprawy na Dnieprze.

Gdy pułk szczęśliwie się przeprawił, to one, popłakawszy nieco, również przeprowaiały się przez Dniepr i rozchodziły się po wielkim mieście Kijowie, skrywając swoje występki i wstyd w różnego rodzaju siedliskach wszelkiej rozpusty. Takie to były następstwa dłuższego postoj u znakomicie wychowanego pułku.

W ten właśnie poniedziałek, o późnej porze, kijowskim szlakiem wracała młoda kobieta do Perejaśławia. Około czterech wiorst przed miastem, akurat naprzeciw Trybratnich Mogił, zeszła z drogi i znikła w zielonym życie. Przed świtem kobieta wyszła z żyta na drogę, niosąc w rękach coś zawiniętego w sukmanę.

Przeszedłszy kawałek bitą drogą, zatrzymała się na zakręcie i pomyślawszy nieco, uczyniła znaczący ruch głową, jakby zdecydowała się na coś ważnego, i szybko poszła wąską, porośłą rdestem ptasim drożyną, która wiodła na chutor setnika Sokyry.

Na drugi dzień, we wtorek, ledwo świt pani Paraskowija Tarasiwna Sokyrycha wyszła nakarmić drób — perliczki, gęsi, kury itp. Gołębiami miał się zająć sam pan setnik Nykyfor Fedorowycz Sokyra.

Wyobraźcie sobie jej przerażenie, gdy stanąwszy na ganku, zobaczyła szarą siermięgę, która poruszała się jak żywa. Z przestachu kobiecie wydało się, że siermięga płacze jak dziecko. Paraskowija długo patrzyła na szarą siermięgę, słuchała, jak ona płacze, i nie wiedziała, co robić. Wreszcie zdecydowała się poprosić Nykyfora Fedorowycza.

Gospodarz wyszedł, jak to mówią, w negliżu, ale przecież w szerokich czerwonych kitajkowych szarawarach ?.

— Popatrz, popatrz, mój gołąbeczku, co się u nas dzieje — powiedziała przestraszona Paraskowija Tarasiwna.

— A cóż tu u nas się dzieje? Nic tu nie widzę — mówi Nykyfor Fedorowycz.

— A sukmany nie widzisz?

— Sukmanę widzę.

— Przecież ona porusza się jak żywa!

— Widzę. Niechże się porusza, co mi do tego.

— Człkiem z kamienia ty jesteś. Czyż nie należy zobaczyć, dlaczego ona się porusza? He?

— No to popatrz, jeśli masz ochotę.

— A ty nie masz ochoty?

— Nie.

— No to popatrz naprzód ty, a potem ja zerknę.

— Dobrze, dobrze...

Po tych słowach gospodarz zbliżył się do zawiniątka, rozwinął je ostrożnie i przeraził się. Nie mógł wymówić słowa, znacząco za to pokazał na rozwiniętą sukmanę i jak skamieniały stał przez chwilę, a gdy otrząsnął się ze zdziwienia, krzyknął:

— Parasko!

Stara, przybliżywszy się do setnika, stanęła jak wryta przed rozwiniętą sukmaną i podniosła ręce do góry. Zatrzymała się przez chwilę w tej tragicomicznej pozie, a potem krzyknęła:

— Święty męczenniku, Iwanie Wojowniku, cóżeś nam uczynił? — Zwróciwszy się zaś do Nykyfora Fedorowycza, rzekła:

— A widzisz, nie darmo przyśniło mi się dwoje małych cieląt. Przecież ci mówiłam, że na pewno coś się wydarzy. No, dziękujemy ci, Boże nasz miłosierny —

powiedziała gospodyni, żegnając się i ostrożnie podnosząc dwóch różowiotkich malców, owiniętych w świtkę: — Wynagrodziłeś nas jednak, Panie, na stare lata.

— Nieśże ich, Parasko, do chaty, a ja tymczasem poślę do miasta po Prytułychę, niechaj wykąpie ich w ziołach i co tam potrzeba przy nich zrobi.

— Ach, przecie to prawda! Popatrz, biedne dzieciaki pępki mają słomą przewiązane.

— Nieśże ich, a ja poślę Kłyma po Prytułychę — powiedział zdenerwowany Nykyfor Fedorowycz i ruszył, żeby wykonać zadanie.

Muszę wam powiedzieć, że ta zestarzała para, przeżywszy wiele lat w pokoju i szczęściu, nie miała dzieci, jak to było w bajce o Jerusłanie Łazarewiczu⁸, „w młodości na radość, na starość ku pomocy, a po śmierci na wypominek duszy”. Biedni setnikowie długo i szczerze modlili się do Boga, spodziewając się, że obdarzy ich dziećczkami, ale z czasem stracili nadzieję. Rozważali nawet możliwość wzięcia cudzego dziecka na wychowanie.

Jednak jakoś to się nie układało. Chociaż były ubogie sieroty, ale dobrzy ludzie je przygarniali, a setnikostwu nie dali, bo, jak mawiano, byli oni panami, a od państwa dobra nie czekaj.

Tegoroczną wiosną Nykyfor Fedorowycz jeździł do miasteczka Berezań. Powiadali, że tam biedna wdowa zostawiła dwie sierotki — chłopczyka i dziewczynkę. I tu pech! Dzieci zabrał baryszewski sługa cerkiewny, wdowiec bezdzietny, ale bogacz nieokrzesany. Nykyfor Fedorowycz wrócił do domu z pustymi rękami. I oto nagle Bóg okazał swoją łaskę, opromienił ich uczciwą starość.

W radości, niewymownej radości przeszedł setnikostwu wtorek, zaś we środę, pod wieczór, przyjechał do

nich serdeczny ich przyjaciel Karol Josypowycz Hart, aptekarz perejasławski. Pocałowawszy swoim zwyczajem Paraskowiję Tarasiwnę w rękę i przywitawszy się z Nykyforem Fedorowyczem, zażył tabaki z muszlopodobnej tabakierki, którą mu na pamiątkę przysłał, z Akermanu czy Dubosar, jego przyjaciel Josyp Karłowycz Szwarz. Powąchawszy tabaki, usiadł na ławie przed gankiem i odezwał się prawie po rosyjsku:

— W naszym mieście nowina nowinę goni. Dziś Andrija Iwanowycza wezwali, żeby obejrzał ciało kobiety, które przypadkowo znaleziono w Alcie niedaleko waszego chutoru, a wy z pewnością o niczym nie wiecie?

Postawiwszy pytanie, Hart znów otworzył muszlową tabakierkę i wsadził w nią dwa palce. Gospodarze wymownie spojrzeli po sobie, ale milczeli, zaś Karol Josypowycz mówił dalej:

— Tak, gdy jeszcze byłem studentem w Dorpacie, również stacjonowała tam kawaleria, a gdy wyszła z Dorpatu, podobnie trzy albo cztery trupy kobiece przynieśli nam z policji do prosektorium. Policji wszystko jedno, przecież ona nie wie, że dla naszej nauki wygodniejsze jest ciało męskie, a żeńskie mniej wygodne: wiele tłuszczu, trudno dobrać się do mięśni.

— Otóż to — przerwała mu Paraskowija Tarasiwna. — Mam do pana prośbę, Karolu Josypowyczu; czy nie zechciałby pan łaskawie być u nas kumem? Pan Bóg obdarował nas dzieteczkami.

— Jakże to tak? — krzyknął ze zdziwienia Karol Josypowycz.

— A tak! Po prostu, koło ganku znaleźliśmy wczoraj dwa aniołki boże.

— To dziwne! — krzyknął znowu Karol Josypowycz i sięgnął do kieszeni po tabakierkę.

— Poproszę jeszcze Kułymę Ochrymiwnę, która także jest Niemką. W ten sposób spokrewnicie się.

— Gdzie tam, ona wcale nie jest Niemką, ona tylko pochodzi z Mitawy⁹. Ale to nie ma znaczenia. Bardzo, bardzo cieszę się z takiej okoliczności.

Karol Josypowycz, zadowolony z tak milej propozycji, nie mógł, jak zwykle, spędzić wieczoru ze swoimi serdecznymi przyjaciółmi. Wkrótce ich pożegnał i pojechał do miasta, aby zawiadomić Kułymę Ochrymiwnę o mającym nastąpić wydarzeniu.

Pożegnawszy się z Karolem Josypowyczem, starzy przez jakiś czas patrzyli na siebie i milczeli. Ciszę przerwała Paraskowija Tarasiwna.

— Jak ty myślisz, Nykyforze, czy nie należy na sobotę zamówić nabożeństwa za duszę tej topielicy? Toż to chyba ich prawdziwa matka.

— I ja myślę, że to ich matka. Trzeba będzie tylko poczekać do kłęczalnej¹⁰ soboty, bo Pan Bóg tam wie, może ona jest samobójczynią, to żebyśmy nie zgrzeszyli...

— Dobrze, poczekamy, przecież już niedaleko do Zielonej Niedzieli. Tak... popatrz, proszę, jakiego będziemy mieli jutro patrona. Jak nazwiemy swe dzieci? Przecież to chłopcy.

Nykyfor Fedorowycz wziął kijowski *Kanonik*¹¹ i nałożywszy na nos okulary, zaczął kartkować książkę, szukając czerwca. Znalazłszy miesiąc i datę, aż przeżegnał się z radości i krzyknął:

— Paraskowijo! Jutro świętych sołowieckich¹² cudotwórców — Zosyma i Sawatija!

— A nie ma tam jeszcze jakich innych?

— Po cóż ci inni? Przecież to święci opiekunowie i protektorzy pszczelarzy.

Setnik jeszcze raz przeżegnał się, zamknął książkę i położył ją pod obrazami.

Należy koniecznie wyjaśnić, że Nykyfor Fedorowycz był namiętym, a do tego doświadczonym pszczelarzem. Dlatego Paraskowija Tarasiwna nawet nie miała odwagi powiedzieć, że imiona nie były w jej guście.

Niedługo potem starzy zjedli w milczeniu kolację i odmówiwszy modlitwy poszli spać — Nykyfor Fedorowycz do komory, a Paraskowija Tarasiwna do swej świetlicy, w której, oczywiście, położyła małych bliźniaków.

Takim to ważnym dla dobrych staruszków wydarzeniem zaznaczył się wyjazd kawaleryjskiego pułku z Perejasławia.

Aby historia niniejsza nie była zbyt długa, może nie należałoby opisywać ze szczegółami chutoru ni jego mieszkańców, tym bardziej że ta opowieść mimochodem, że tak powiem, związana jest z nimi.

Prawdziwi moi bohaterowie zaledwie wczoraj ujrzeli świat boży. Cóż ja, zapytuję was, mogę ciekawego o nich powiedzieć? Jednak rozważywszy sprawę rzetelnie, zdecydowałem się opisać i chutor, i jego spokojnych mieszkańców po to tylko, aby mój cierpliwy czytelnik lub czytelniczka mogli jasno widzieć, w jakim otoczeniu minęło dzieciństwo moich przyszłych bohaterów. Prawdę bowiem głosi przysłowie: „Jaki z kolebki, taki aż do trumny”. Zobaczymy, oczywiście, w jakiej mierze to przysłowie jest prawdziwe. Mówią też, że wrażenia z dzieciństwa są niezapomniane, że umierają razem z nami i że za pomocą metod wychowawczych nie uszlachetnisz młodzieńca, jeśli jego dzieciństwo minęło w grubiańskim środowisku. Jeśli zaś minęło ono na łonie boskiej przyrody i w środowisku kochającej dobrej matki oraz ojca chrześcijanina — to takie przeżycia otoczą człowieka nieprzeby-

tą ścianą i obronią go na życiowej drodze od wszelkich niegodziwości i zmienności losu.

Zobaczymy, o ile można wierzyć tej bezsprzecznej prawdzie.

Aby uniknąć pogoni za oryginalnością, którą tak pysznią się młodzi prozaicy naszych czasów, którzy ukochawszy ze wszech miar potworne francuskie powieści, na wyścigi je naśladową i w prostocie młodych, ale już zszarpanych serc wierzą, że są bardziej oryginalni od samego boskiego Aleksandra Dumas (szczęśliwi, którzy wierzą!), ja, niewierny Tomasz, zacznę moją powieść starymi słowy.

Z początku dokładnie opiszę miejsce, to jest pejzaż; potem ukażę bohaterów, ich życie domowe, charakter, nawyki, wady, zalety, a potem w miarę sił nakreślę dramat, czyli samą akcję. Metoda ta albo maniera nie jest nowa, ale za to jest dobrą manierą — a dobre, jak to mówią, nie starzeje się, z wyjątkiem pięknej kokietki, która, niestety, więdnie przedwcześnie.

Powieść rozpoczniemy tak. Na prawym brzegu mizernej, lecz sławnej rzeki Alty, cztery wiorsty od miasta Perejasławia, położony jest chutor starego setnika Sokyry. I jeszcze słówko o tym miejscu, gdzie szalony i ambitny człek, potępiony Świętopełk¹³, zabił swego rodzzonego brata Hliba. Tutaj, według relacji Konyskiego¹⁴, miała miejsce krwawa Tarasowa noc¹⁵. Tak więc naprzeciwko tego świętego miejsca położony jest chutor setnika Sokyry. Jest on niezbyt malowniczy, bo porządek tu doprowadzono do pedantyzmu. Za to okolice odznaczają się prawdziwym pejzażem Ruisdaela¹⁶.

Brzegi Alty są tak usłane zielonymi wysokimi szu-

warami, że rzeki prawie nie widać, chyba tylko na przeciwko chutoru Sokyry.

Bujne zielone szuwary rozcinają na szerokiej przestrzeni kępy rozłożystych wierzb i starych osokorów¹⁷. Na lewym brzegu Alty spoza zielonych wierzb wygląda wystawiona sumptem bogobojnych mieszkańców Perejasławia bielutka mała cerkiewka. Stoi ona na tym samym kamiennym słupie, którym oznaczono miejsce śmierci niewinnego Hliba.

Za ogrodzeniem cerkwi aż do samego miasta rozciąga się zasiana żytem i pszenicą równina, gęsto pokryta historycznymi mogiłami. Im bliżej do miasta, tym mogiły są wyższe i gęstsze, tak że miejskiego wału z daleka nie widać. Wydaje się, że całe miasto na mogiłach zbudowano.

Samo zaś miasto, jak w ogóle miasta, z daleka niby owinięte mgłą, z której tryska biała ośmiokątna wieża, uwieńczona zieloną gotycką kopułą o złocistym wierzchołku. To soborna¹⁸, piękna, zgrabna, na wpół rokokowa, na wpół bizantyjska, świątynia.

Postawił ją w roku 1690 sławny, ale wyklęty Iwan Mazepa¹⁹. A druga, ciemna, drewniana wieża z płaskim ośmiokątnym dachem ledwie widoczna jest na szarym tle. Ta właśnie cerkiew pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny rozślawiła się w roku 1654, gdyż w niej hetman Zenobiusz Bohdan Chmielnicki wraz ze starszyzną kozacką i delegatami wszystkich stanów narodu ukraińskiego przysięgał być wiernym moskiewskiemu carowi Aleksemu Michajłowiczowi.

Daleko zaś za miastem sinieją wysokie dniewprowe góry.

Drzewo genealogiczne Sokyrów nie sięga zbyt wysoko. Posadził je w ciemnej szlacheckiej dąbrowie

dziad Nykyfora Fedorowycza, Karpo Sokyra, holsztyńczyk²⁰, który wrócił z Petersburga po śmierci imperatora Piotra III²¹ nie goły i głodny jak inni holsztyńcy, a z niemałym workiem holenderskich czerwoców i w stopniu gwardyjskiego rotmistrza oraz z przywilejem szlacheckim.

Wróciwszy do rodzinnego Perejaśławia, bez przeszkód ożenił się ku wielkiemu swemu zadowoleniu z córką tamtejszego pułkownika, Cygana Iwanenka. Z żoną zaś otrzymał w posagu chutor ze wszystkimi posiadłościami, z kilkoma setkami dziesięcin²² ziemi ornej i łąk nad brzegami Alty.

Po roku czy może po dwóch zostawił młodą żonę i małego synka i w stopniu majora zaciągnął się do sebuldyńców²³ i poszedł z pułkiem hen za granice Małorosji²⁴. Niebawem jego oddziały zaczęto wcielać do regularnych wojsk, czemu energicznie sprzeciwiał się major Sokyra. Z tego powodu on i jego zwolennicy zostali straceni jednego dnia w czterech miastach na czterech placach. Prawa szlacheckie zachowano jednak dla jego małoletniego syna. Oto jak tragicznie zakończył karierę założyciel szlacheckiego rodu Sokyrów — Karpo Sokyra, holsztyńczyk.

Mały Fedir Sokyra stał się jedynym spadkobiercą praw i majątku ojcowego oraz jedynym synem uwielbiającej go matki. Pomimo ckliwej opieki matki został porządnym chłopcem. Nauczył się niezgorzej czytać cerkiewne i świeckie druki, pisać i śpiewać melodyjne pieśni cerkiewne. Wszystkie te mądrości, nie bacząc na zaklęcia matki, wpoił mu poczciwy diak soborny, Stepan Perepyłcia.

Chociaż w tych szczęśliwych czasach szlachta nie interesowała się nauką, a ściślej mówiąc, nikt jej nie nakazywał się uczyć, młody Fedir nieświadomie od-

czował dobrodziejstwa wiedzy, więc gorąco prosił matkę, aby odwiozła go do Kijowa i oddała na naukę.

Po długich i natarczywych prośbach syna matenka wreszcie zdecydowała się zawieźć go do kijowskiej bursy. Urządziwszy w niej jedynaka, oddała go pod opiekę ówczesnemu inspektorowi bursy, to jest akademii, ojcu Dionizemu Kuszce, starcowi surowemu i pobożnemu. Powierzyła go jego opiece dlatego, aby młode dziecko nie nauczyło się czasem kradzieży lub rozboju. Czy to w bursie, czy na podolskim bazarze zaprzyjaźnił się młodzieniec ze sławnym z czasem Iwanem Łewandą²⁵, Hryhorijem Hreczką i z Hryhorijem Skoworodą²⁶, wówczas już filozofem. Oprócz tego podczas pobytu w bursie w jego życiu nie wydarzyło się nic ciekawego. Chłopiec uczył się dobrze, a skończył naukę następująco:

Pewnego razu sławni Zaporozcy, odprowadzając swego towarzysza Jarmołę Kyczkę do klasztoru Międzygórskiego, przyjechali do Kijowa. Sprawili bratu przyzwoite pożegnanie ze światem. Na Podolu kupili wódki, rozlali ją w cebrzyki i z cechową muzyką²⁷ szli uroczyście do Międzygórze, każdego spotkanego częstując gorzałką z niewielkiego drewnianego naczynia, zwanego mychajłykiem. Żegnający się ze światem brat tańczył przed muzykantami... Skusił ten piękny widok już nie tak młodego Fedira Sokyre. Chłopak, nie namyślając się długo, zeskoczył z wysokiego muru klasztoru Brackiego (brama z powodu takich wypadków była zamknięta) i przyłączył się do zaporoskiej braci. Po tym wydarzeniu chłopak znalazł się na Wielkim Zaporoskim Łęgu²⁸. Zostawszy wkrótce posłem zaporoskim, razem z Hołowatym stanął przed obliczem Katarzyny II. Potem wziął udział w bezceremonialnym obiedzie generała Tekeli²⁹. Po likwidacji niższego wojska zaporoskiego szczęśliwie wrócił do

miasta Perejasławia w randze kapitana z przywilejami wieczystego szlachectwa.

Po mszy za duszę matki kapitan rozsmakował się w sielskim życiu na swym rodowym chutorze i wkrótce się ożenił. W tym szczęśliwym okresie odnowił szkolną znajomość z sobornym protojerejem³⁰ Hryhorijem Hreczką, a przez niego i ze znakomitym już krasomówcą Iwanem Łewandą oraz wtenczas prawdziwym filozofem Hryhorijem Skoworodą.

Tymczasem pierworodny jego syn Nykyfor podraستاł, a ojciec w przerwach rozmów z filozofem mistykiem wciąż rozmyślał nad jego wykształceniem. Nie skończył jednak tych rozmyślań i zmarł, a młody syn został głupcem.

Dzięki jednak opatrności boskiej piękny osierocony młodzieniec uniknął mroków ciemnoty, a być może nawet otchłani rozpusty. Opatrzność to bowiem posłała mu pobożnego i mądrego nauczyciela oraz opiekuna w osobie ojca Hryhorija Hreczki, protojereja perejasławskiego.

Znana jest ewangeliczna zasada, że jeśli nie możesz o swym bliźnim mówić dobrze, to nie mów wcale. Niestety! Niełatwo jej przestrzegać w naszym pełnym grzechów i obmowy życiu.

Ja zaś, jako żarliwy zwolennik tej świętej prawdy, jestem zmuszony koniecznie powiedzieć słów kilka o matce młodego Sokyry. I to takich, że lepiej byłoby nie mówić. Święte jest dla nas dobre imię, a dla kobiety tym bardziej. Na nieszczęście matka młodzieńca nie cieszyła się dobrą sławą, i to w całym okręgu perejasławskim. Może dlatego, że wykradł ją z ojcowskiego domu Fedir Sokyra i poślubił w tajemnicy aż za Dnieprem, w Trachtemyrowie. Wzięli oni ślub z miłości, a taki związek, jak wiadomo, rzadko bywa szczęśliwy.

Możliwe, że kumy gołąbeczki nie bez powodu obmawiały. Jak by tam nie było, ksiądz Hryhorij postanowił, że lepiej będzie dziecko wziąć w swoje ręce. Według mnie postąpił on rozsądnie i wielkodusznie, bo ja niezbyt wierzę w wychowanie dzieci przez najcnotliwsze matki, tym bardziej gdy mają jedno jedyne dziecko.

Ponieważ młodemu Sokyrze mijał siódmy roczek, pewnego mglistego poranka ojciec Hryhorij zmówił modlitwę przed nauką i rozłożył przed chłopcem elementarz. Jakież było jego zdziwienie, gdy malec, nie zająknąwszy się, przeczytał cały alfabet. — Dobry znak — pomyślał ksiądz Hryhorij i pokazał mu nazwy liter az — ba itd. Zobaczywszy niebawem, że chłopak jest pojętny i zacny, zaczął go uczyć oprócz słowiańskiego³¹ jeszcze trzech języków: hebrajskiego, greckiego i łacińskiego. Prawdopodobnie pragnął zrobić z niego przynajmniej doktora — miłośnika mądrości, czyli filozofii.

Nie domyślając się nawet wielkich planów swego wielkiego nauczyciela, chłopczyzna uczył się po cichutku i w dziesiątym roku życia biegle czytał Dawida, Homera i Horacjusza. W jedenastym zaś roku składał swemu nauczycielowi życzenia noworoczne w czterech językach i przeczytał mu też w czterech językach wiersze napisane w Kijowskiej Akademii Duchownej na cześć metropolity kijowskiego Serapiona. Nauczyciel, pełen zachwytu, uścisnął ucznia i powiedział: — Ziarno padło na dobrą glebę.

Jednakże pomysł uczynienia z Sokyry filozofa wszech nauk nie zrealizował się. W piętnastym roku życia zaczął on pobierać lekcje muzyki. Ojciec Hryhorij wiedział, że dla uszlachetnienia ludzkiego serca konieczna jest muzyka i dlatego zaprosił listownie swego przyjaciela, filozofa Skoworodę, aby zapoznał

jego ulubieńca z początkowymi zasadami muzyki. Filozof, nie zwlekając, razem z przyjaciółmi, fletem i psem, przybył do Perejasławia i zaczął wykładać wiedzę o słodkich dźwiękach z takim sukcesem, że w ciągu roku obaj śpiewali różne kanty³² i duety. W dniu imienin księdza Hryhorija już po wieczerzy ku uciesze gości odśpiewali przy akompaniamencie gęśli pieśń satyryczną Skoworody, która zaczynała się słowami:

Zwyczaj i prawo mają wsze stany;
Swój rozum każdej głowie jest dany³³.

Młody Sokyra rzeczywiście robił znaczne postępy w opanowaniu muzyki, gdy weźmiemy pod uwagę prawdziwie filozoficzne niedbalstwo nauczyciela. Filozof mistyk odzieje się, bywało, w szarą sukmanę, głowę przykryje słomianym kapeluszem, do ręki weźmie flet i hajda gdzie oczy poniosą. Wierny zaś towarzysz idzie w jego ślady. Idzie, bywało, do odległego o trzydzieści wiorst od Perejasławia Berezania. Po drodze wstąpi na starą, wysoką mogiłę, zwaną Wybłą, i szuka natchnienia. Zaczerpnąwszy tego bóstwom tylko właściwego daru, spieszy, aby podzielić się swym szczęściem z przyjacielem, Jakymem Łukaszewiczem z Berezania. Pogościwszy tydzień u druha, idzie odwiedzić drugiego, a potem trzeciego, zaś po miesiącu zobaczysz go już w Kijowie. Siedzi z przyjacielem Iwanem Łewandą na ławce koło bramy i czyta improwizowaną dysertację o związkach duszy ludzkiej z planetami niebieskimi. Mówca nasz znakomity, niezależnie od dysertacji przyjaciela, przygotowuje się do niedzielnego kazania. Pogościwszy niemało w Kijowie, udaje się do Stajek, a stąd do Trachtemyrowa, potem znów do Perejasławia. Odbywszy lekcje muzyki, znów

rusza odwiedzać przyjaciół, tylko tym razem wędruje przez Jahotyn do Połtawy i dalej.

Hreczka miał już zamiar pisać do Bortniańskiego³⁴ (również swego kolegi z bursy), gdyż stwierdził u młodego Sokyry prawdziwy geniusz muzyczny i głos archanielski, ale los zrządził zupełnie inaczej.

Szybko zbliżał się brzemienny w wydarzenia rok 1812, a młodemu Sokyrze mijał dziewiętnasty rok życia. Wreszcie swoimi potwornymi dziećmi obrodził straszny rok dwunasty. Jako ofiara całopalenia płonąła białokamienna święta³⁵, a z kraju do kraju w całym cesarstwie szło wezwanie, aby starzy i młodzi spieszyli wraźą krwią gasić wielki pożar moskiewski.

To trwożne wezwanie dotyczyło również spokojnej Ukrainy. Poruszyła się ona, moja rodzona matka, poruszyło się piecze i konne pospolite ruszenie ukraińskie. Nie wytrzymał i mój młodzieniec, porzucił psałterz i gęśle. Uciekł i w mieście Pyriatynie zaciągnął się do pułku pod komendą pyriatyńskiego pułkownika Mykoły Swiczki.

Dowiedziawszy się o tym, Hreczka napisał list do swego przyjaciela Mykoły Swiczki i prosił, aby opiekował się jego wychowankiem na krwawym polu wojny. Przyjaciel spełnił tę prośbę, jakby był troskliwym ojcem chłopca. Wyznaczywszy młodzieńcowi stanowisko, pułkownik Swiczka ruszył ze sławnego miasta Pyriatyna przeciwko obmierzłym Gallom i dwunadziestu językom³⁶.

Gdy pułk zbliżał się do Perejasławia, ksiądz Hryhorij razem z duchowieństwem przywitał wojsko u murów miejskich, pobłogosławił krzyżem i pokropił wodą święconą. Gdy podszedł do swego duchowego dziecka, podniósł nań oczy pełne łez i powiedział:

— Panie Boże, obroń cię i zachowaj..

Kiedy zaś krwawe wydarzenia dobiegły końca i dra-

pieznego francuskiego zwierza³⁷ zamknięto w angielskiej klatce³⁸, nasze sławne wojsko rozeszło się po chutorach i wioskach, a poskładawszy zbroję, wzięło się za radła i pługi.

W połowie roku piętnastego Sokyra w stopniu setnika wrócił do swego rodzinnego Perejaślawia, ale ku wielkiemu żalowi nie zastał już wśród żywych swego dobrodzieja księdza Hryhorija. Znalazł tylko w miejskim ratuszu testament zmarłego, w którym niezapomniany dobrodziej darowywał mu część swej biblioteki w postaci cennych wydań starożytnych klasyków, hebrajskiej biblii, francuskiej encyklopedii i rękopisu latopisu Konyskiego³⁹, z autografem tej treści: „Młodemu memu przyjacielowi i bratu Hryhorijowi Hreczce, doktorowi teologii i innych nauk ku pamięci przesyła pokorny H. Konyski”.

Oprócz biblioteki przekazał jeszcze drogie skrzypce i ukochane swoje gęśle, na których były namalowane tańczące pastuszki z posochami⁴⁰ oraz pastuch grający na flecie pod lipą nad strumieniem.

Naprzód setnik zamówił mszę za pobożną duszę swego dobrodzieja i przeniósłszy na opustoszały chutor drogi spadek (matka jego też umarła), zaczął porządkować swoje dziedzictwo. Doprowadziwszy do ładu, co tylko mógł, setnik zaprosił duchownych i wyświęcił wspólnie odnowioną sadybę. Wspólnie też wysłuchano nabożeństwa za spokój dusz ojca, matki i wszystkich bliskich krewnych oraz za duszę najbliższego, najszczęśliwszego przyjaciela i dobroczyńcy, ojca Hryhorija.

Po nabożeństwie, według zwyczaju swoich przodków, ugościł ludzi różnych stanów w liczbie około tysiąca dusz, nie licząc miejskiego duchowieństwa i przedstawicieli szlachty.

Gdy goście odjechali, smutno zrobiło się na chutorze. Kilka miesięcy setnik tęsknił i nie wiedział, co ze

sobą zrobić. Pewnego wieczoru przypomniał sobie słowa *Pisma Świętego*: „Niedobrze człowiekowi żyć samemu”.

Następnego dnia, osiodławszy konia, pojechał do Sułymiwki. Tam jeszcze przed wojną poznał córkę niebogatego szlachetki.

Pomijając zwyczaje, sam, bez pośrednictwa swatów, porozumiał się z ojcem, matką, a potem i z panną, i nie mówiąc marnego słowa, po Bożym Narodzeniu ożenił się.

Po takim pośpiesznym ślubie trudno było spodziewać się rodzinnego szczęścia. Jednak wszystko ułożyło się dobrze, i to jak dobrze. Po pierwsze, młoda żona Sokyry była niezwykle piękną kobietą. Daj Boże komuś innemu choćby we śnie zobaczyć taką piękność. Po drugie, odznaczała się nieskazitelną sercem, pokorą i spokojnością charakteru. Słowem, widać było nad nią i jej duszą boskie błogosławieństwo. Jedno tylko można by o niej powiedzieć nie tyle złego, ile trochę śmiesznego. Zeszłego lata biednej dziewczynie wypadło gościć przez miesiąc u bogatych krewnych w miasteczku Ohławie. Krewnie jej tylko co powróciły z Kijowa, ściślej mówiąc — z jakiegoś kijowskiego pensjonatu, i były nadzwyczaj wykształcone. Tutaj właśnie biedna dziewczyna nieco się zepsuła. Od krewnych dowiedziała się, że pisma uczą ich nie tylko dla czytania modlitewnika, a również w innych celach. Największe szczęście dla dobrze wykształconej panny — to noszenie stanika jak najwyżej i czarowanie kawalerów. Nauczyła się od krewnych pięknych pieśni: i jak „jęczy gołąbek”, i o „dębie przy dolinie, co stoi jak rekrut na wicie”, i o „pasterce, co kąpała się w przejrzystej strudze i zakrzyczała, zobaczywszy nieskromnego pasterza”. Nauczyła się nawet piosenki o Falileju ⁴¹. Jakże miała nie nauczyć się czegoś

od takich wykształconych panienek! Takie czarujące, nawet grały na gitarze. Zauważył skutki tej edukacji młody małżonek, ale postanowił nie zwracać na to uwagi; pośpiewa, pośpiewa i przestanie, gdy zabraknie słuchaczy. Czasem nawet przekomarzał się, gdy dzień mijał bez pieśni.

— Dlaczegoż to, Parasko — mawiał — milczysz dzisiaj przez dzień cały. Zaśpiewałabyś jakąś cudzoziemską piosenkę...

— Jakaż to masz na myśli?

— No, choćby tę, jak pasterka kąpała się w strudze.

— Nie chcę, jeśli chcesz, sam sobie zaśpiewaj.

— Dobrze, zaśpiewam.

I mąż powoli brał gęśle. Cicho akompaniując na nich, z głębokim uczuciem śpiewał swoim czarującym tenorem:

Ne chody, Hryciu, na ti wieczornyci⁴²...

Kiedy kończył pieśń, żona rzucała mu się w objęcia i zalewała się gorącymi łzami, a mąż, całując ją, mówił:

— Oto naprawdę modna piosenka.

I tak pomaleńku odwrócił jej uwagę od nowoczesnego wykształcenia. Tak więc o bogatych uczonych krewniaczkach i ich pieśniach przestali w ogóle wspominać.

Cierpliwością i kpinami doprowadził do tego, że żona sama zaczęła wyśmiewać modne jak osa talie perejaślawskich panienek i po długim namyśle, ku wielkiej ucieście męża, przywdziała strój narodowy. Boże! Jakaż ona była piękna w swym ojczystym stroju! Taka piękna, że gdybym był bankierem, chociaż takim jak Rothschild, to nie inaczej ubierałbym swoją baronową.

Niestety! Nie wszystkim nam sądzone było zaznać

takiej radości, jaką cieszył się Sokyra. Doceniał on właściwie tę bożą łaskę.

Lubując się swą piękną Paraską, nie zapomniał o swoich obowiązkach, a ściślej mówiąc, obowiązki te same o sobie przypominały.

Obejrawszy swoją spuściznę, po długich rozmyślniach zdecydował, że ziemię orną trzeba oddać za połowę zbiorów sułymińskim Kozakom. Przy chutorze chłopów nie było. Sokyra nawet był zadowolony z tego (zapatrywał się na tę klasę naszego społeczeństwa jak prawdziwy filantrop). Brzeg Alty zostawił sobie dla potrzeb domowej hodowli i kosił bujne łąki ogłaszając tłokę. W przylegającym do samego chutoru lipowym zagajniku i lewadzie zdecydował odnowić pasiekę ojcowską. To właśnie stało się jego wielkim marzeniem.

Prawdę mówiąc, czy może być coś bardziej niewinnego ze wszystkich naszych gospodarskich przedsięwzięć jak pasieka? Nie zwlekając, napisał do Staroduba, aby przysłali mu na wiosnę pszczelarza. Wtedy jeszcze nie było Prokopowycza⁴³, sławnego obecnie pszczelarza, dlatego trzeba było korzystać z samouków.

Założona w lipowym gaju dzięki pomocy jelnieńskiego starowiercy pasieka z roku na rok powiększała się, a po pięciu szczęśliwych latach liczyła pięć tysięcy pni. Widać, że Bóg pobłogosławił starania Sokyry, który został panem całą gębą. Dzięki pasiece setnik uniknął wszelkich interesownych i koniecznych stosunków z ludźmi, a tym samym wszystkiego co niskie i podłe.

Szczęśliwy, po stokroć szczęśliwy ten, kto oddalił od siebie wszystko niegodne człowieka i zadowolony jest tylko z dobra zdobytego własną pracą.

Takim oto szczęśliwcem był Nykyfor Sokyra. Ba-

wiąc kiedyś w Niemczech, setnik pilnie obserwował niemiecką gospodarkę na wsi i teraz wykorzystywał owe obserwacje na chutorze. Dlatego panowały tu niemiecka czystość i porządek. Prawda, chutor Sokyry nie zachwycał swoim wyglądem malarza, za to niemalarza zachwycał porządkiem.

Ze wszystkich Słowianek rodaczki moje czarnobrewne cieszą się najbardziej zasłużenie sławą schludnych gospodyń. U madame Sokyry ta umiejętność doprowadzona była do najwyższej doskonałości. Jej nawet w śnie zdawało się, że w domu podłoga jest brudna, a w kuchni nie pomalowana. Aby mieć spokojne sny, pani Sokyra codziennie zmuszała Marynę do mycia, a nawet szorowania podłóg. Posypywała je jeszcze kijowskim piaseczkiem, takim właśnie, jakiego nie znajdziecie u żadnego gubernatora i w kancelarii. Sama gospodyni przywoziła ten piasek co roku z Kijowa, gdy jeździła tam 16 sierpnia.

Karol Josypowycz zawsze i każdemu mówił, że jeśli widział raj na ziemi, to właśnie w domu Paraskowiji Tarasiwny, a więcej nigdzie.

W pasiece panował ten sam porządek i czystość co i w domu. Były tam *Georgiki* Wergiliusza ⁴⁴, które Nykyfor Fedorowycz lubił czytać leżąc pod słomianą strzechą.

Żaden człowiek w Perejaślawiu nie wiedział, że stary pszczelarz (tak przewali Sokyre z powodu łagodnego charakteru i powolnego chodu), że stary pszczelarz czytał w oryginale Wergiliusza, Homera i Dawida. Wzorowa „dziwna skromność”. Będąc jego dobrym przyjacielem, często gościłem u niego po kilka dni, ale oprócz kroniki Konyskiego nie dostrzegłem w domu nawet berdyczowskiego kalendarza. Widziałem tylko dębową szafę w pokoju i nic więcej. Natomiast kronika Konyskiego we wspaniałej oprawie

wciąż leżała na stole i zawsze widziałem ją otwartą. Nykyfor Fedorowycz czytał ją kilka razy, ale do końca ni razu. O wszystkim, o wszystkim czytał: o różnych nikczemnościach, okrucieństwach polskiej szlachty, o szwedzkiej wojnie, o Bironowym bracie ⁴⁵, który starodubskim matkom odbierał niemowlęta i zmuszał je do karmienia piersią szczeniąt ze swojej psiarni — wszystko to czytał, ale gdy zbliżał się do relacji o hol-sztyńskim pułkowniku Krzyżanowskim, spluwał zamasyście, zamykał książkę i jeszcze raz spluwał.

Pewnego razu przyjechałem do niego z egzemplarzem „Ukraińskiego Wiestnika” ⁴⁶, w którym Hułak-Artemowski ⁴⁷ zamieścił dwie ody Horacego (genialna parodia!). Przeczytawszy ody *Do Parchoma*, uśmialiśmy się szczerze z Paraskowiją Tarasiwną. Setnik otworzył dębową szafę, wyjął z niej książkę oprawioną w psią skórę i otworzywszy ją, powiedział:

— Popatrzmy, czy zgadza się to z oryginałem. — I wtedy zobaczyłem przed sobą latynistę, grezystę i hebraistę oraz pełniutką szafę książek, zawierającą piśmiennictwo całego starożytnego świata.

Setnik, przeczytawszy głośno oryginał, zamknął książkę, postawił ją na swoim miejscu i chodząc wolno po pokoju deklamował:

Parchome, w szczasti ne brykaj!

— Cudownie! I zgodnie z oryginałem — mówił głośno.

I przedtem wysoce poważałem Nykyfora Fedorowycza z powodu jego wielkich cnót, ale teraz, wysoce poważając, całkiem zmałałem wobec jego prawdziwie rycerskiej skromności.

— Cóż to tak wszyscy milczymy, jakbyśmy w usta wody ponabierali? — powiedziała Paraskowija Tarasiwna. — Proszę do wieczery, dopóki widno.

— No cóż, jeśli wieczerzać, to wieczerzać, jestem gotów.

Kolację podano na ganku. Gdy już wieczerza miała się ku końcowi, zza ciemnego Perejasławia ukazała się pełnia księżyca. Wszyscyśmy we trójkę zamilkli i spojrzeliśmy po sobie. Obraz był tak piękny, że można go było oglądać tylko w pobożnym milczeniu.

Nykyfor Fedorowycz zaprosił mnie na nocleg do siebie na pasiekę, co przyjąłem, oczywiście, z ochotą.

Nie miałem w życiu takiej nocy i chyba drugiej takiej mieć nie będę. Długo rozmawialiśmy z setnikiem o różnych sprawach, aż przypadkowo poruszyliśmy bliski mi temat naszych ludowych pieśni.

Żaden profesor literatury na świecie nie wygłosiłby takiego wykładu o znaczeniu, wpływie i wartości pieśni ludowych jak setnik. Z jakąż to miłością i głębią analizował on słowa i motywy naszych cudownych rzewnych pieśni.

— Tak — mówił on — przy tej wzruszającej prostocie piękna naszych pieśni cóż warte są potworne współczesne romanse. Oprócz nieobyczajności nic w nich nie ma.

Nadzwyczaj delikatnie poruszył sprawę pieśni swego zmarłego nauczyciela muzyki Skoworody:

— To był Diogenes naszych dni. Byłoby jednak lepiej, gdyby nie komponował swych winegretowych śpiewów⁴⁸. Widzi pan, znaleźli się naśladowcy, choćby ten książę Szachowski⁴⁹, albo Kotlarewski⁵⁰ w swej odzie ku czci księcia Kurakina. To są odpryski Skoworody. Ta tylko między nimi różnica, że nauczyciel mój jako prawdziwy filozof nikomu nie schlebiał.

Eneida Kotlarewskiego wtedy jeszcze nie była wydrukowana.

Jako zbieracz twórczości ludowej spisałem od Ny-

kyfora Fedorowycza wiele wariantów pieśni, których dotąd nigdy nie słyszałem.

Wśród wielu jego zalet była jedna najpiękniejsza cecha: był on głęboko religijny. Najbardziej lubił czytać *Nowy Testament*. Całym sercem i całą myślą zgłębiał święte prawdy ewangeliczne. W każdą niedzielę i święta jeździł z małżonką na nabożeństwo do sobornej cerkwi Zwiastowania. Oprócz pięknej architektury świątyni wielkie wrażenie wywierał nań śpiew seminarzystów. Kiedy postawili w cerkwi nowy ikonostas⁵¹, harmonią architektury znikła, setnik zaczął na sumę jeździć do cerkwi pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, do tej samej, w której z przedstawicielami narodu składał przysięgę na wierność carowi moskiewskiemu Aleksemu Michajłowiczowi. Jednak gdy odnawiano ten historyczny zabytek i spośród sześciu kopuł dla oszczędności zniszczono pięć, setnik zaczął jeździć do cerkwi Pokrowy⁵².

Cerkiew pod wezwaniem Pokrowy o niezgrabnej i niestylowej architekturze zbudował na pamiątkę zdobycia Azowa⁵³ przez Piotra Pierwszego pułkownik perejasławski Myrowycz, przyjaciel i współnik wyklętego Iwana Mazepy.

W tej cerkwi znajduje się znakomity historyczny obraz, przypuszczalnie Matwiejewa⁵⁴, jeżeli nie jakiegoś cudzoziemca. Obraz podzielony jest na dwie części: u góry Matka Boska, w dole Piotr Pierwszy z carycą Katarzyną Pierwszą. Dookoła carów ich sławni dostojnicy. Wśród nich i hetman Iwan Mazepa, i starosta świątyni ze wszystkimi swoimi regaliami.

Wysłuchawszy liturgii, Nykyfor Fedorowycz podchodził do obrazu Pokrowy, długo się nim zachwycał, i opowiadał swojej ciekawskiej Paraskowiji, kto jest namalowany pod opieką Matki Boskiej.

Czasem setnik opowiadał tak szczegółowo o Daniło-

wiczu ⁵⁵ i zburzonym przez niego Baturynie ⁵⁶, że Paraskowija Tarasiwna zdumiona pytała: za cóż go Matka Boska bierze w opiekę?

Jakby nie był człowiek szczęśliwy, to zawsze znajdzie się miejsce dla kropelki jadu. Czegóż by Sokyrze brakowało do pełni szczęścia? Brakowało mu najwyższego szczęścia w życiu — dzieci.

Sześć lat już minęło, gdy na chutorze starego setnika Sokyry, nie zważając na obecność ojca protojereja i innych duchownych, Nykyfor Fedorowycz, wzięwszy swe skrzypce (bo gęśle nie nadawały się do tej pieśni), zagrał przyśpiewując:

Oj, chto do koho, a ja do Parasky ⁵⁷...

Na to Paraskowija Tarasiwna splunęła i wyszła z pokoju. Natomiast Karol Josypowycz i Kułyma Ochrymiwna, nie mówiąc ni słowa i nie zważając na duchownych, wzięli się za ręce i poszli w tany:

O mein lieber Augustin ⁵⁸.

Tego samego wieczoru druga para — kum i kuma, idąc od Sokyry do miasta, śpiewała cichutko na dwa głosy:

Odna hora wysokaja,
A druhaja nyżka ⁵⁹...

Ponieważ noc była burzowa, ojca protojereja i duchownych ułożono do snu w nowej komorze, aby broń Boże, nie przydarzyło się im coś złego.

Karol Josypowycz i Kułyma Ochrymiwna, natańczywszy się do woli i powiedziawszy gospodarzom „Gute Nacht”, wsiedli do kolaski i rozmawiając cichutko po niemiecku, pojechali do miasta.

To był wielki i radosny dzień dla bezdietnych

Nykyfora Fedorowycza i Paraskowiji Tarasiwny. Tego bowiem dnia ochrztili i usynowili podrzucone bliźniaki. Tak huczne wyprawili chrzciny, że babka położna długo potem mawiała: — Urodziłam się, ochrzciłam i umrę, ale nie zobaczę takich chrzcin, jakie urządził stary setnik.

Minęło sześć lat od tego doniosłego wydarzenia w domu Sokyry. Pewnego razu, pod wieczór, gospodarze siedzieli na ganku wraz ze swoim druhem Karolem Josypowyczem. Przed nimi na ciemnozielonej łące nad samą Altą bawiło się dwóch malców w czerwonych koszulach, migając niby dwa czerwone motyle na tle ciemnej zieleni. Siedzący na ganku z lubością obserwowali dzieci. Zdawało się, że kierowali ku nim nie tylko oczy, ale i myśli. Przez pewien czas wszyscy patrzyli w milczeniu. Pierwsza przerwała milczenie Paraskowija Tarasiwna.

— Rozsądźcie nas, gołąbeczku, Karolu Josypowyczu, co mamy robić? Ja mówię, że dzieci jeszcze małe, a Nykyfor Fedorowycz odpowiada:

— Nie szkodzi, że małe, ale uczyć trzeba.

— Gdzież tu, powiedzcie na Boga, prawda? Jeszcze choć roczek należałoby zaczekać, a ten myśli rozpocząć z nimi naukę zaraz po święcie Pokrowy ⁶⁰.

— Tak, tak, trzeba zaczynać, dawno już czas zaczynać — powiedział Karol Josypowycz. — Już dawno o tym myślę.

— Święta Barbaro męczennico! Boga się nie boicie, Karolu Josypowyczu!

— Boję się, bardzo się boję, Paraskowijo Tarasiwna, i powiem wam, że gdy miałem zaledwie pięć lat, to już na pamięć deklamowałem niektóre rzeczy Schillera ⁶¹. Nieżyjący już Kotzebue ⁶², gdy recytowałem jego wiersze, powiedział, że zostanę wielkim poetą. W rzeczywistości zostałem małym farmaceutą. Tak

to jest, Paraskowijo Tarasiwna, i wielcy ludzie nieraz się mylą.

— A niech tam, niechaj mylą się, tylko rozsądźcie sami: po święcie Pokrowy.

— Tak, tak, im prędzej, tym lepiej.

— Oj, wiem już, u kogo pomocy szukać — pomyślała Paraskowija Tarasiwna, ale tego nie powiedziała, a Karol Josypowycz, zażywając tabaki, ciągnął dalej:

— Tak, tak, trzeba uczyć. Wasze przysłowie mówi, że za uczonego dwóch nieuczonych biorą, i to jeszcze nie chcą.

— Otóż to. My was, Karolu Josypowyczu, słuchamy. niby samego Boga. Poczekajcie, moi drodzy, chociaż do pyłypiwki ⁶³. Da Bóg, będzie post, czas taki spokojny, toteż moim rybkom zawsze lżej będzie.

— Do pyłypiwki... jak myślicie, Karolu Josypowyczu, można poczekać? — zapytał Nykyfor Fedorowycz.

— Nie można. „Życie jest krótkie, a nauka wieczna” ⁶⁴ — mówi wielki Goethe.

— Panie mój, cóż ja uczyniłam? — pomyślała Paraskowija Tarasiwna. — I po co ja mówiłam o dzieciach? Teraz już wiem, że nie mogę spodziewać się niczego dobrego.

— No, już wy tak sobie róbcie, jak chcecie — powiedziała głośno — ale do pyłypiwki nie pozwolę dzieci męczyć.

— Możesz jej ciosać kolki na głowie, a ona swoje — powiedział Nykyfor Fedorowycz. — Powiedz, skąd u ciebie takie usposobienie?

— Od was przejęłam. Wy nie chcecie nic zrobić pomojemu, więc ja nie zgadzam się z wami.

Dzieci właśnie zjawiły się koło ganku i Karol Josypowycz uściskawszy je, zapytał:

— No, Zosiu, chcesz uczyć się czytać?

Chłopiec zwawo odpowiedział:

— Chcę.

— A ty, Watiu, też chcesz uczyć się czytać?

— Również chcę — odparł jękając się Watia.

— Widzicie, Paraskowijo Tarasiwna — rzekł Karol Josypowycz — a wy hamujecie ich ambicje.

— Bóg z wami, Karolu Josypowyczu! Nie będę już hamować. Trzeba tylko pomyśleć — mówiła gospodyni, całując i ściskając chłopców — jak to wszystko urządzić.

— Co to, to prawda — powiedział Nykyfor Fedorowycz.

— Otóż, Karolu Josypowyczu. Mieszkacie w mieście i w związku ze swoim zawodem spotykacie się z różnego rodzaju ludźmi. Jeżeli poznacie jakiegoś seminarzystę, nawet nie bardzo uczonego, ale nie spryciarza, to zaangażujcie go do naszych dzieci.

— Z wielką ochotą będę szukał takiego człowieka. Nawet mam znajomego seminarzystę, wielkiego amatora chemicznych doświadczeń, ale ten nie byłby odpowiedni. Jednak zapytam go o kolegów.

— Bądźcie łaskawi, Karolu Josypowyczu. Posadzimy je gołąbeczki nad abecadłem — mówił Nykyfor Fedorowycz, pieszcząc dzieci.

O tych dzieciach jako o przyszłych bohaterach mojej powieści powinienem dokładnie opowiedzieć, ale nie wiem, co szczególnego można powiedzieć o sześciolletnich dzieciach. Dzieci, jak to dzieci: ładne, okrągłutkie, rumiane jak niedojrzałe czereśnie, i nic więcej. Chyba tylko to, że chłopcy byli do siebie podobni jak dwie jagody czereśni, co się ledwie zarumieniły. I nic więcej.

Po wzajemnych życzeniach dobrej nocy Karol Josypowycz wsiadł do swojej kolaski i pojechał do miasta, zaś Nykyfor Fedorowycz, pobłogosławiwszy dzieci przed snem, udał się do pasieki.

Paraskowija Tarasiwna, ułożywszy dzieci do snu i odmówiwszy z nimi modlitwy, zapaliła kaganiec-i też udała się na spoczynek.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Paraskowija Tarasiwna 16 sierpnia pojechała do Kijowa, a wróciwszy, wśród wielu zabawek i dewocjonaliów, jak: czapeczka Iwana męczennika, pierścionki Barbary wielkiej męczennicy, i znacznej ilości cyprysowych obrazków, zgrabnie ozdobionych cynfolią, pokazała zabawki, których nigdy dotąd nie przywoziła. Z wyglądu nie były podobne do zabawek, lecz do oprawionych w skórę deszczulek. Jakież było zdziwienie dzieci, kiedy przybrana matka te deszczułki otworzyła. Zobaczyły bowiem zielone grube kartki papieru, zapisane czerwonym i czarnym atramentem. Radość i zdziwienie dzieci były bezgraniczne. Niewinne stworzenia! Nie wiecie, jakie zło ukryte jest w tych różnokolorowych gryzmołach! Przecież to źródło waszych łez, to elementarz.

W oczekiwaniu na pierwszego października Paraskowija Tarasiwna sama pomału zaczęła uczyć chłopców czytania tajemniczych znaków, a za każdą poznaną literę płaciła im słodkim kijowskim obwarzankiem.

Ku jej wielkiemu zdumieniu po kilku dniach dzieci znały cały alfabet na pamięć. Prawda, że i poszewka z obwarzankami była prawie pusta, co zmusiło Paraskowiję Tarasiwnę do zawieszenia nauczania.

— Tak, poza tym — myślała ona — już blisko święto Pokrowy, to niechajże moje gołąbeczki chociaż przez ten krótki okres pobawią się na świeżym powietrzu.

Jasny horyzont młodej wolności moich bohaterów zasłaniały chmury. Burza zbliżała się szybko i wreszcie akurat w święto Pokrowy o godzinie dziewiątej rozpoczęła się dudnieniem kolaski Karola Josypowycza

oraz zjawieniem się jego samego. Za nim, o zgrozo! pojawiło się coś długiego w wyszarzałym chałacie i w starym krótkim fryzowym⁶⁵ szynelu (chyba szytym na wyrost). Był to nie kto inny, jak luminarz, czyli, prościej mówiąc, nauczyciel, którego znalazł Karol Jossypowycz w brudnych seminaryjnych audytoriach.

Stepan Martynowycz Łewycki — osoba związana z tą powieścią, toteż nie szkodzi i o tej osobie kilka słów powiedzieć.

Był on jednym z wielu synów najuboższego na świecie diakona ojca Martyna Łewyckiego, nie pamiętam dobrze z Hłymiazowa czy z Irklijewa, wiem tylko, że ze zołotonoskiego powiatu.

Zdumiewające i niezrozumiałe są wyroki losu ludzkiego! Choćby taki, można rzec, dziwaczny wyrok: Nykyforowi Fedorowyczowi, człowiekowi zamożnemu, nie posłać za jego modlitwy choćby jednego dziecięcia, a ubogiemu, arcyubogiemu diakonowi zaludnić nimi i tak ciasną chałupę.

I, jak na ironię, jedno dziecko od drugiego głupsze i potworniejsze. Ot, choćby, na przykład, stojący przed obliczem Nykyfora Fedorowycza nauczyciel: niewymownie długa i chuda postać z takimiż niezgrabnymi kościstymi rękami. Twarz koloru cielejącej skóry, ogromny nos, wypchnięty ku przodowi długi zaokrąglony podbródek, wielkie zwisające uszy i w dodatku dolna warga tak nabrzmiała, że zarysu ust nie można było zobaczyć. Kształtu oczu też nie było widać, bo były opuchnięte od snu. Cechy wewnętrzne Stepana Martynowycza pozostawały w pełnej harmonii z zewnętrznymi. Spytał go kiedyś, na przykład, profesor na egzaminie:

— Powiedz, Stepo, co ty w ogóle pamiętasz; będę i z tego zadowolony.

Stepa, pomyślawszy dość długo, powiedział:

— Pamiętam, że był pożar za Trubeżem, a później jeszcze w Andruszach.

— No dobrze, Stepo, jak na ciebie, to wystarczy...

Stepa nigdy nie zwalniał się na święta do domu, wiedząc dobrze, że owe omijają ich na w pół zrujnowaną chatę. Świętował więc w tych samych i chłodnych, i brudnych klasach, w których przebywał w czasie wielkiej czterdziestnicy⁶⁶. Zdarzało się, że jeszcze kilku kolegów zostawało na święta w seminarium i jako dobrzy synowie posyłali swoim rodzicom pisemne życzenia świąteczne, prosząc w zakończeniu wzniosłych listów, aby rodzice przysłali na święta trochę różnych łakoci. Stepa też poszedł za przykładem kolegów i postanowił napisać do swoich biednych rodziców list takimi słowy:

„Najdrożsi Rodzice!

Wysyłając ten list z północnego miasta, będącego pod opieką boską Perejasławia, pozostaję Wasz syn...” Pomyślawszy nieco, dodał: „Witam Was z okazji zbliżających się świąt i życzę, żebyście z okazji Bożego Narodzenia przysłali mi chociaż woreczek jagieł i kawałek słoniny, a z łakoci chociaż buty ze szkapiej skóry i...”

W tym miejscu znowu zamyślił się, a podstępny jego kolega Łuka Nesterowski ukradkiem chwycił nie dokończony list i pokazał całemu bractwu ku wielkiej jego ucieście. Od tej pory Stepy nie nazywali inaczej jak „Pożar w butach ze szkapy”. Jednak Stepa nikomu złego słówka nie powiedział. Kpiny zbywał milczeniem.

Zanim Karol Josypowycz poleciał swego protégé Nykyforowi Fedorowyczowi, służąca Maryna uważnie przyjrzała się nowej osobie, a napatrzywszy się dob-

rze, trąciła lekko Paraskowiję Tarasiwnę i wskazując oczami Stepana Martynowycza, szeptem zapytała:

— Czy ono żyje?

— Żyje — odpowiedziała Paraskowija Tarasiwna i wyszła z pokoju, a za nią podążyła Maryna.

— Pan przeholował, Karolu Josypowyczu. Prosiłem pana o nauczyciela dla naszych dzieci, byle tylko nie był jakimś spryciarzem, a pan przywiózł tu jakiegoś dziada.

— Nykyforze Fedorowyczu, nic lepszego dla nauczania dzieci alfabetu nie potrzeba — mówił Karol Josypowycz. — Do tego wystarczy automat, który by mówił, i nic więcej. A gdzie wy znajdziecie, pozwólcie sobie rzec, lepszy jak ten egzemplarz? To wprost złoto dla waszych malców.

— Niechaj już będzie. Więc dzisiaj tylko umówiliśmy się, a od jutra zaczniemy z Bogiem.

— A dlaczego nie dzisiaj? — spytał Karol Josypowycz.

— Dlatego, nie gniewajcie się, że garbatego tylko mogła wyprostuje. Wam już nic nie pomoże, jak urodziliście się Niemcem, tak do śmierci zostanieie Niemcem.

— A was to pewnie pochowają jako Turka albo Francuza?

— Ja to co innego. Ja, dzięki Bogu, jestem u siebie, a wy, Karolu Josypowyczu, w cudzym kraju. Nie powinniście też zapominać, że u nas dziś wielkie święto, a w naszej parafii odpust.

— Jak widzę, jedziecie na nabożeństwo? Bardzo dobrze. Przywiozę wam go jutro rano. Co do warunków, tośmy się już z nim umówili: karbowaniec i dwa garnce jagieł miesięcznie, a gdy ukończy alfabet, jakakolwiek kapota i para butów. Zgadzaście się?

— Chętnie.

Przyjaciele pożegnali się.

Na drugi dzień, to znaczy 2 października, Stepa sam zjawił się na chutorze i mówiący modlitwę, wziął się do dzieła.

Od tej pory każdego dnia bez względu na pogodę — deszcz czy śnieg, na nic nie zważając, nasz pedagog maszerował z chutoru i na chutor, z rana i wieczorem, nie szybciej i nie wolniej, jak puszczona w ruch maszyna.

Nauka elementarza, dzięki uzdolnieniom dzieci, posuwała się szybko naprzód. Nykyfor Fedorowycz ku swemu zadowoleniu stwierdził, że praktyka pokazała słusność wyboru Karola Josypowycza, toteż wielokrotnie dziękował mu za „maszynę”. Zaobserwował dziwne zjawisko: dzieci, które przedtem były takie żwawe, że im nie tylko Paraskowija Tarasiwna, ale i sam Nykyfor Fedorowycz nie mógł dać rady, gdy pojawiał się na podwórzu nauczyciel, stawały się małomówne i niemrawe, jak on sam. Podczas lekcji również siedziały jak zakłete, nie wając się nawet spędzić muchy z nosa. W czasie lekcji chłopcy nie słyszeli od nauczyciela żadnego zbytecznego słowa. I właśnie to, moim zdaniem, było przyczyną ich zakłęcia.

Do 1 grudnia, to jest po dwóch miesiącach, elementarz był przerobiony do ostatniej litery, do „iże chozczet spastitsia”⁶⁷. Sprawdziwszy ostatnie zadanie domowe, Stepa uroczyście wstał, wziął dzieci za ręce i przyprowadziwszy do Nykyfora Fedorowycza, powiedział:

— Elementarz ukończony. Chcecie, egzaminujcie.

— Ja i bez egzaminu wierzę. Cóż będziemy robić dalej, prześwietny nasz Stepanie Martynowyczu? Czy nie nauczylibyście ich do świąt świeckiego abecadła⁶⁸?

— Mogę nauczyć. Mógłbym zacząć od dzisiaj nawet, gdyby tylko był alfabet.

— Nie, dzisiaj i jutro niechaj odpoczną. Zaczniemy od pojutrze.

— Dobrze — powiedział Stepa, wziął czapkę i pokuszył się do miasta. Na jego obliczu malowało się coś w rodzaju zadowolenia z siebie. Znalazłszy się w mieście, Stepa wstąpił do Karola Josypowycza i uroczyście powiedział:

— Dokonałem!

Karol Josypowycz po przyjacielsku uściśnął jego kościstą rękę dziękując za przysługę i zaprosił na obiad zapominając, że Stepan Martynowycz nigdy z nikim obiadów nie jadał. Nawet w ogólnej jadalni nabierał sobie na półmisek kluski i jadł na stronie w kącie.

Pożegnawszy się z Karolem Josypowyczem Stepa poszedł na plac targowy, ściskając w ręku zarobione dwa karbowanice (kapotę, buty i inne rzeczy otrzymał wcześniej).

Chodząc po bazarze, zatrzymał się, rozglądał się dookoła i znów zaczynał chodzić.

Przemierzywszy bazar, machinalnie skierował się za rzekę Trubeż, popatrzył wokoło, skręcił na złotonoski szlak i wlokąc się noga za nogą, znikł za mogiłą Bohdana.

Niemałe było zdziwienie na chutorze, gdy oznaczonego dnia nauczyciel nie zjawił się. Trudno było domyślić się, co to miało znaczyć.

Wieczorem przyjechał na chutor Karol Josypowycz. Do niego więc zwrócono się z zapytaniem, ale on nie umiał powiedzieć nic pewnego. Zdziwiła go tylko niepunktualność nauczyciela. Karol Josypowycz rozpytywał się nawet w seminarium, ale tam już zapomniano nazwiska Stepy. Tylko jakiś uczeń krzyknął: „To pew-

nie «Pożar w butach ze szkapy»". Całe audytorium parsknęło głośnym śmiechem. Karol Josypowycz wyszedł więc z niczym.

Wreszcie 6 grudnia o świcie Stepan Martynowycz zjawił się na chutorze przepraszając za nieobecność.

— Gdzież wy byliście? — zapytał go Nykyfor Fedorowycz.

— Zaniósłem do Hłymiazowa rodzicom pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Te, które od was otrzymałem. Moi rodzice dziękują wam za opiekę.

Nykyfor Fedorowycz z czułością spojrział na niezgrabną postać nauczyciela. Już wcześniej nie pozwalał sobie kpić z niego, ale po jego wędrówce do Hłymiazowa patrzył nań z szacunkiem.

Lekcje poszły zwyczajnym trybem. Do świąt dzieci dosyć biegle nauczyły się czytać świecki druk. Nauczyły się nawet na pamięć wierszowanego pozdrowienia. Był to już figiel Paraskowiji Tarasiwny. Nadszedł nareszcie wieczór wigilijny. Gospodarze zaprosili nauczyciela na świętą wieczerzę. Tym razem Stepa nie mógł się wymówić. Zanim wszyscy usiedli do stołu, Nykyfor Fedorowycz poprosił nauczyciela do swego pokoju, włożył na jego ramiona surdut bawełniany i wręczył mu trzy karbowance. W oczach Stepy zakręciły się łzy, ale szybko opanował się i usiadł za stołem.

Wigilia Bożego Narodzenia u wszystkich chrześcijańskich narodów jest świętem dzieci. Świętują ją tylko w różny sposób: u Niemców, na przykład, choinką, u Rosjan też. A u nas po uroczystej wieczerzy posyła się dzieci do najbliższej rodziny z chlebem, rybą i kompotem. Dzieci, wszedłszy do domu krewnego, mówią:

— Świątyj wieczir! Pryślały bat'ko i maty do was, diad'ku, i do was, diadyno, światuju wieczieru ⁶⁹. — Po tych słowach gospodarze zapraszają uroczyście do stołu, który jest zastawiony różnego rodzaju postnymi łakociami. Częstują dzieci jak dorosłych. Potem zamieniają im chleb, rybę i kompot i odprowadzają ceremonialnie. Dzieci idą do drugiego wujka. Gdy rodzina jest duża, to wracają do domu przed samą jutrznią, rozumie się z podarunkami i z miedziakami związanymi niczym guziki w koszulach.

Bardzo mi się podobał ten piękny zwyczaj. Stanowiliśmy dużą rodzinę. Bywało, posadzą nas na sanki i wożą całą noc w goście.

Pamiętam jeden wzruszający „świątyj wieczir” w moim życiu. Jesienią pochowaliśmy matkę, a na Wigilię ponieśliśmy wieczerzę do dziadka. Powiedziawszy: „Świątyj wieczir! Pryślały nas do was, didu, bat'ko i...” — i wszyscy troje rozplakaliśmy się. Nie mogliśmy wymówić słowa — „i maty”.

Po kolacji Nykyfor Fedorowycz i Paraskowija Tarasiwna poprosili Stepana Martynowycza, by zawiózł z dziećmi wieczerzę Karolowi Josypowyczowi. Nauczyciel, oczywiście, nie odmówił, tym bardziej że czuł na sobie surdut z modnej materii bawełnianej (demi-kotonowy). Gdy zaś powrócił szczęśliwie, zaprosili go, aby jechał razem z gospodarzami na jutrznię.

Wysłuchawszy jutrzni w cerkwi pod wezwaniem Pokrowy, Stepan Martynowycz udał się na nabożeństwo do soboru, gdzie zwykle byli ci seminarzyści, którzy pozostali na święta w bursie. Żeby okazać za prezentować swój surdut, Stepa poprosił pałamarza ⁷⁰, aby zezwolił mu zapalać świece w czasie sumy. I takie oto namiętności obudziły się u Stepy.

Gdy po świętach nauczyciel przybył na chutor, zmienił się nie do poznania. Stał się rozmowny, czego wcześniej po nim się nie spodziewano. Zapytany, jak obchodził święta, odpowiedział:

— Wesoło.

— U kogo byliście?

— Rodziców odwiedziłem — rzekł.

Nauczyciel znowu powędrował do Hłymiazowa, aby zostawić tam otrzymane na święta trzy karbowanice, a jednocześnie pochwalić się nowym surdudem.

Pomału, oprócz elementarzowych, u Stepy stwierdzono i inne wiadomości. Okazało się, że zna on cztery działania arytmetyczne jak swoje pięć palców, ale niezbyt świadomie. Gramatykę języka rosyjskiego zna nie gorzej od samego profesora, tylko bez umiejętności zastosowania jej w praktyce, ale nauczycielowi to nie jest potrzebne.

Zachęta to wielka rzecz! Tylko geniusze własnymi siłami mogą przebić grubą korę ludzkiego egoizmu i zwrócić na siebie uwagę tłumów. Zaś dla natury prostej zachęta to jak deszcz dla pastwiska.

Naturę słabą, uśpioną jak u Stepy, nawet normalna życzliwość, cieplejsze słowo oświeśla jak ogień wygasła lampkę.

Bawełniany surdud, a jeszcze bardziej serdeczny stosunek Nykyfora Fedorowycza rozbudziły słabe, uśpione dotąd siły duszy w nie ukończonym jestestwie Stepana Martynowycza. Ujawniły się w nim nie tylko zdolności zwyczajnego nauczyciela, ale nieprzeciętnego lątynisty. Chociaż automatycznie, ale dosyć wyraźnie czytał on Nykyforowi Fedorowyczowi Tytusa Liwiusza ⁷¹.

Dzięki staraniom Nykyfora Fedorowycza biskup He-deon wydał Stepanowi stychar ⁷² i ofiarował stanowi-

sko diaka w cerkwi pod wezwaniem św. Borysa i Hliba stojącej naprzeciwko chutoru.

Od tego czasu Stepan Martynowycz stał się panem. Doszło do tego, że nosił tylko juchtowe buty. W domu zaś Nykyfora Fedorowycza stał się osobą tak niezbędną, że bez niego w rodzinie jakby kogoś brakowało. Prawda, bystrości, sprytu mało mu przybyło, ale wyraz jego twarzy całkiem się zmienił. Oblicze jego stało się bardziej świeże, spokojne, tchnęło niewymowną dobrocią, tak że patrząc nań nie dostrzegasz dysharmonii linii, a zachwycasz się tylko jego wyrazem.

Wielkiej rzeczy dokonałeś, Nykyforze Fedorowyczu, swym surdudem i trzema karbowanćami. Z idioty zrobiłeś istotę, która choć myśli niezbyt głęboko, ale głęboko czuje.

Zosia i Watia tymczasem uczyli się i rośli. Rośli zaś niby ci bajkowi bohaterowie, nie z dnia na dzień, a z godziny na godzinę. Uczyli się też jak przystało na bohaterów. Nie zapominajmy przy tej okazji o nauczycielu. Stepan Martynowycz uczył ich nie według własnego rozumienia spraw, a tak, jak było napisane w podręczniku. Czasem nawet mawiał:

— Nie ja będę winny, nie ja drukowałem podręcznik...

W trzynastym roku życia jego uczniowie wyglądali co najmniej na piętnastolatków. Chłopcy byli tak do siebie podobni, że tylko Paraskowija Tarasiwna mogła ich rozróżnić. To podobieństwo nie było tylko zewnętrzne. Chłopcy byli podobni do siebie całym swoim jestestwem. Na przykład, gdy Watia chciał się uczyć, Zosia też; Zosia chciał się bawić, Watia też.

Wszyscy odwiedzający chutor setnika Sokyry, nie mówiąc już o Karolu Josypowyczu, wszyscy byli zachwyceni dziećmi. Co się zaś tyczy Nykyfora Fedo-

rowycza i Paraskowiji Tarasiwny, to nawet mówić o tym nie trzeba.

Pewnego razu niespodziewanie wpadł Karol Josypowycz na chutor i trafił niemal na bijatykę gospodarzy.

— Dobrze, niech już będzie po twojemu — mówił szybko Nykyfor Fedorowycz. — Wybieraj, którego chcesz.

— Nie, wy wybierajcie. Ja nie wiem. Ja dla nich jestem obca.

Właśnie w takiej chwili do pokoju wszedł Karol Josypowycz, więc Paraskowija Tarasiwna zwróciła się do niego:

— Tak! Tak, niechaj pan nas rozsądzi.

— Do tej pory nie różniliście się. Dlaczego teraz, powiedzcie, nie zgadzacie się? — rzekł Karol Josypowycz, stawiając w kącie swoją laskę i kapelusz.

— Oto dlaczego, Karolu Josypowyczu. Zgodziliśmy się już co do tego — mówiła Paraskowija Tarasiwna — by jednego naszego syna oddać do wojska, a drugiego do służby cywilnej. Teraz nie wiemy, którego gdzie.

— Obydwu do cywilnej, ale naprzód trzeba ich czegoś nauczyć.

— I ja tak mówię — powiedział spokojnie Nykyfor Fedorowycz.

— Boże! Podrosną, nauczą się. Ksiądz Łukasz już teraz nie może nachwalić się ich umiejętności.

— Przecież oni niebawem skończą po czternaście latek, trzeba o tym myśleć.

— Myślę zrobić z nich dobrych seminarzystów.

— A ja oficerów.

— Niech będzie po twojemu, rób sobie oficera, ja zaś seminarzystę. Otóż teraz sprawa stanęła na tym,

kto ma być seminarzystą, a kto oficerem. Niechajże decyduje losowanie. Losujemy, a wy, Karolu Josypowyczu, bądźcie świadkiem.

Pociągnęli losy i Zosymowi wypadło być oficerem a Sawatijowi — seminarzystą.

Od tego wieczoru Paraskowija Tarasiwna zaczęła jakby wyróżniać w drobiazgach Zosię.

Dostrzegł to wreszcie Stepan Martynowycz i pewnego razu w pasiece po lekturze Liwiusza powiedział że źle, gdy dzieci jednej matki nie są traktowane jednakowo. Mówił niby sam do siebie, ale Nykyfor Fedorowycz słuchał i też niby sam do siebie uśmiechnął się z goryczą.

W rok później zespołową decyzją postanowiono Zosię odwiedzić do kadeckiego korpusu w Połtawie, za Watię oddać do gimnazjum w tejże Połtawie. Jaki postanowiono, tak też zrobiono.

Pewnego pięknego poranka około godziny dziesiątej z chutoru wyruszyła bryczka tak naładowana, że czwórka dobrych koni ledwie ją ciągnęła. Za bryczką sunął prosty jednokonny wóz, również naładowany i po czumacku przykryty wołową skórą. Na wozie znajdowały się zapasy żywności. Na przedzie kłusen pojechał w swojej kolasce Karol Josypowycz, aby go gdzieś przywitać drogich gości na progu swego domu. W końcu transportu szedł, jakby konwojując go, Stepan Martynowycz i mówił do siebie:

— Nadaremnie, jak mi Bóg miły, nadaremnie! Lepiej było do seminarium. Tam i ja mógłbym w czym pomóc. Jestem gotów znowu wstąpić do seminarium — Tak rozmyślając, Stepan Martynowycz natknął się na wóz z żywnością i wtedy zobaczył, że nie tylko wóz, ale i bryczka zatrzymała się przed domem Karola Josypowycza.

U starego tułacza jeszcze raz pokrzepili się czym Bóg dał, jak u pustelnika w celi. Dla pobudzenia apetytu Nykyfor Fedorowycz musiał wypić kieliszek wódki z hofmańskimi kroplami⁷³. Po poczęstunku goście pożegnali się i zaczęli ładować się do bryczki. Karol Josypowycz nie zapomniał włożyć do kieszeni Zosi i Wati po pudełku miętowych pastylek. Transport ruszył i niebawem znikł za rogiem ulicy. Karol Josypowycz i Stepan Martynowycz również się pożegnali. Aptekarz pozostał w domu, bo trzeba było zrealizować recepty. Stepan Martynowycz wrócił na chutor, bo teraz on był tutaj pełnowładnym gospodarzem. Władzę swoją, oprócz kluczy od komory, gotów był przekazać Marynie i, jak dawnymi czasy feudalny pan, gotów był pieszo wędrować, rozumie się, nie do Palestyny, a do Połtawy, żeby — jeśli nie będzie mógł być na egzaminie wstępnym — może w jakiś inny sposób wpłynąć na sprawę bliską jego szlachetnemu sercu.

Przyszedłszy na chutor, zwrócił się do Maryny:

— Łaskawa Maryno! Idę do Andrusz. Biskup przyjechał i wzywa mnie. Jakaś ważna sprawa. Toteż nie wychodź z domu, a jeżeli będę zmuszony tam nocować, to nie martw się. Wszystko będzie dobrze. — Nie pozwoliwszy nawet zaprotestować poczciwej Marynie, Stepa powiedział: — Żegnajcie — i opuścił chutor.

Przechodząc przez miasto przypomniał sobie, że nie ma przy sobie ani kopiejki. Dlatego znów wrócił na chutor, wziął karbowanica, powtórzył Marynie polecenia i dodał, że jeśli i drugą noc spędzi w Andruszach, żeby nie martwiła się. To powiedziawszy, wyszedł.

Jeżeli Nykyfor Fedorowycz wyobraża sobie, że jego wierny Stepa leży teraz w pasiece pod lipą i głośno czyta Liwiusza, to srogo się myli. Stepan Martyno-

wycz, zapomniawszy o wszystkim na świecie oprócz egzaminu wstępnego swoich wychowanków, przyspieszając kroku, przemierzał pyriatyński szlak. Przenocował w Jahotynie i wstawszy o świcie, na późne nabożeństwo był już w Pyriatynie. Posiliwszy się kawałkiem chleba z taranią⁷⁴ i odpocząwszy nieco pod cerkiewnym ogrodzeniem, tak dziarsko ruszył w drogę, że nocnego nabożeństwa wysłuchał w łubieńskim klasztorze u grobu Atanazego, patriarchy aleksandryjskiego. Przenocował w schronisku dla pątników i tutaj usłyszał od pewnego pielgrzyma legendę o śmierci w postawie siedzącej świętego Atanazego⁷⁵ i o tym, jak córka złego Jeremiego Korybuta Wiśniowieckiego miała sen, że była w raju i stamtąd wyprowadzili ją aniołowie, mówiąc, że jeśli ona na własny koszt zbuduje cerkiew w swoich dobrach w pobliżu miasta Łubny, to zostanie na wieki w raju. Wiśniowiecka zbudowała tę cerkiew. W tym miejscu opowiadający zauważył, że jego słuchacz dawno już gra na waltorni, poprosił więc go o akompaniowanie mu. Ten zagrał oktawę niżej. I tak powstał piękny duet. O świcie mój pielgrzym minął Sułę i skierował się przez wspaniałe uroczysko N. prosto na Bohaczkę, napiwszy się tylko wody obok karczmy, co stała przy romodanowskim szlaku. Odpocząwszy w Bohaczcze u przyjmującej pątników staruszki Marii Iwaniwny Jacznej, nauczyciel na wieczór spoczął pod górą niedaleko przeprawy przez Psioł w miasteczku Białocerkiwce. Tutaj jeszcze na promie pewien dowcipny przewoźnik zapytał go:

— A co to, pątniku, do Jerozolimy podążacie? Wstąpilibyście do naszej pani Bazylewskiej i poprosilibyście na kadzidło. Ona jest pobożna pani, może nakarmi was choćby barszczem i rybą z Psła.

Stepan Martynowycz jakby nie słyszał kpin przewoźnika. Odpocząwszy w czasie przewozu i pomodliwszy się do Boga, ruszył dalej i o północy znalazł się koło Reszetyłówki. Aby nie wzięto go za złodzieja, postanowił odpocząć pod wierzbą. Wykąpawszy się w rzece N. i kupiwszy na bazarze za trzy grosze obwarzanków, ruszył w drogę, posilając się nimi. Nie odpoczywał do samej Połtawy.

A Nykyfor Fedorowycz, wędrując, jak się to mówi, po gospodarsku, nie czyniąc szkody ni sobie, ni koniom, na drugi dzień wyjechał z Jahotyńna albo, ściślej mówiąc, z Hryszkowskiej karczmy, co stoi przed Jahotyńnem, zawrócił z pyriatyńskiej drogi w prawo i ruszył hetmańskim szlakiem przez Kowaliwkę w Swidczyne Horodyszczce, aby odwiedzić przy tej okazji swego przyjaciela i syna swego dobrodzieja pułkownika Swiczki, Lwa Mykołajewycza Swiczkę, albo, jak ten siebie nazywał, niedogarka, bo świeca spaliła się na kijowskich kontraktach ⁷⁶.

O tych sławnych kontraktach słyszałem od samego Lwa Mykołajewycza, co następuje: jego zmarłemu ojcu (chyba z wielkiego przepicia) przysłała do głowy mądra myśl spłatać takiego figla, jakiego nie spłatał osławiony pijus Karol Stanisław Radziwiłł ⁷⁷. Otóż pułkownik Swiczka, napełniwszy walizy pieniędzmi, pojechał przed kontraktami do Kijowa i wykupił w mieście cały zapas szampana. Gdy rozpoczęły się bale w czasie kontraktów, okazało się, że nie ma ani butelki szampana.

— Gdzie się podział? — dopytują.

— U pułkownika Swiczki — powiadają.

Idą do Swiczki, ale on nie chce sprzedać.

— Pijcie — mówi — nawet kąpcie się w szampanie, ale nie sprzedam.

Znaleźli się dobrzy ludzie i pili za darmo. Po tym

figlu Horodyszcze i inne dobra wokół Pyriatyna zaczęły topić się niby wosk. Dlatego też spadkobierca słusznie nazwał siebie ogarkiem.

Po dwóch dniach gościny w Horodyszczu ruszyli w drogę i wieczorem przybyli do miasta Łubny. Nie mieli tu bliskich znajomych, toteż wysłuchawszy w klasztorze nabożeństwa, pojechali dalej. Nykyfor Fedorowycz zamierzał pojechać do Myrhorodu, aby odwiedzić grób sławnego Kozaka wielmoży Troszczyńskiego⁷⁸, ale Paraskowija Tarasiwna nie zgodziła się, a setnik nie miał ochoty się sprzeczać. I tak, nie odwiedzając już nikogo, po tygodniu szczęśliwie dojechali do Połtawy.

Tymczasem nasz diak-pedagog załatwił korzystnie wszystkie sprawy swoich wychowanków.

Gdy tylko przybył do Połtawy, udał się do gimnazjum. Do korpusu kadetów bał się nawet zbliżyć, myśląc: — Tutaj są sami Moskale, mogą zastrzelić.

Od woźnego dowiedział się, gdzie mieszka dyrektor gimnazjum. Woźny pokazał mu mały domek stojący na górcie naprzeciwko katedry.

— Tam — powiedział — mieszka nasz opiekun.

Stepan Martynowycz rzekł:

— Dziękuję za informację — i ruszył ku wskazanemu domowi. U wrót spotkał wysokiego, szczupłego, w białym płóciennym chałacie i w słomianym chłopskim kapeluszu na głowie starszego człowieka, który zapytał:

— Kogo szukacie?

— Szukam opiekuna.

— A jaką macie do niego sprawę?

— Chcę go prosić, żeby pomógł Sawatijowi Sokyrze, kiedy ten będzie zdawał egzamin do gimnazjum.

— A Sawatij Sokyra to wasz krewny? — spytał starszy pan uśmiechając się.

— Nie krewny, a tylko mój uczeń. Dlatego właśnie przyszedłem do Połtawy z Perejasławia, aby pomóc wychowankowi.

Taka troskliwość o ucznia spodobała się autorowi przenicowanej *Eneidy*, bo był to nikt inny tylko Iwan Petrowycz Kotlarewski. Autorowi sławej parodii, człowiekowi, który lubił to co szlachetne we wszelkiej postaci, i mój dobry oryginał bardzo się spodobał. Zaprosił do domu Stepana Martynowycza i aby nie zdradzić się, że jest właśnie tym opiekunem, poprowadził gościa do kuchni, posadził na ławie, a na drugiej w końcu stołu usiadł sam i milcząc delektował się profilem Stepana Martynowycza. Gość tymczasem czytał wyrzeźbiony na belce cerkiewnymi literami napis: „Dom ten zbudowany przez sługę bożego N. roku pańskiego 1710”. Iwan Petrowycz kazał swojej lady (starej i jedynej służącej) podać obiad w kuchni. Niebawem obiad był gotowy. Gospodarz poprosił Stepana Martynowycza na skromny posiłek, a ten zgodził się bez żadnej ceremonii, tym bardziej że po reszetyłowskich obwarzankach od wczorajszego dnia nic nie jadł.

Zjadłszy barszcz z suszonymi karasiami Stepan Martynowycz powiedział:

— Dobry barszczyk!

— Hapko, nasyp no ⁷⁹ jeszcze barszczu! — rzekł Iwan Petrowycz.

Hapka wykonała polecenie. Po barszczu i dość długim milczeniu Stepan Martynowycz odezwał się:

— Mam zamiar prosić opiekuna również o drugiego mego ucznia — też Sokyre, tylko Zosyma.

— Proście, a otrzymacie — odparł Iwan Petrowycz.

— Zosym Sokyra będzie zdawać egzamin w korpusie kadetów. Czy mógłby pomóc i temu biedakowi?

— Dobrze wiem, że pomoże.

— Więc bądźcie tak dobrzy i poproście go.

— Poproszę, poproszę. Sprawa tak wygląda, że on choć jest niezbyt mądry, ale zupełnie pozbawiony obłudy.

Stepan Martynowycz wyjął z chusteczki w kratkę grzywiennik⁸⁰ i wsunął go w rękę Iwanowi Petrowyczowi, mówiąc szeptem:

— Przyda się na obwarzanki.

— Dziękuję wam, nie trudźcie się!

Stepan Martynowycz, widząc, że jego napiwku nie chcą przyjąć, zawiązał monetę w chusteczkę i powtórzywszy jeszcze dwa razy swoją prośbę, a otrzymawszy już dziesiąty raz zapewnienie o jej spełnieniu, wziął swój kij oraz kapelusz, pożegnał się z Iwanem Petrowyczem, z Hapką i wyszedł z chaty. Iwan Petrowycz odprowadził go aż do bramy i rzekł:

— Jeśli będziecie kiedyś w naszych stronach, nie zapominajcie o nas.

— Dobrze, dziękuję wam — odparł Stepan Martynowycz i skierował się przez plac ku domowi Łukianowicza, aby stąd lepiej obejrzeć klasztor i pomodliwszy się, ruszyć w drogę.

Długo oglądał klasztor i jego piękne okolice. Wreszcie spojrzawszy na słońce, machnął ręką i poszedł ścieżką prowadzącą do jaru z zamiarem udania się do świętego przybytku. Ponieważ do klasztoru wiodło dużo ścieżek, Stepa, zszedłszy z góry, rozmyślał, która z nich jest najkrótsza. Wybrał, oczywiście, najdalszą, ale szeroką.

Zwróciwszy się w prawo ku wybranej ścieżce znalazł się niebawem na ubitej kołami wąskiej drodze, co wiła się wśród łąk między starymi wierzbami i prowadziła też do klasztoru. Po kilku krokach dojrzał przez gałązki topoli cichą i błyszczącą zatokę Worskły. Dróżka okrążała zatokę, pnąc się w górę, i ginęła w zieleni. Wokół było tak cicho, że mojego bohatera

ogarnął lęk. I nagle wśród tej martwej ciszy rozległ się dźwięczny głos, a jego miękkie tony zdawały się rozlewać po szerokiej zatoce. Stepan Martynowycz zatrzymał się zdziwiony. Niewidzialny człowiek śpiewał dalej. Nauczyciel podszedł bliżej i usłyszał słowa czarownej pieśni:

Ta jarom, jarom
Za towarom.
Maniwciamy
Za wiwciamy ⁸¹.

Wysłuchując się w pieśń Stepa niepostrzeżenie obzedł zatokę i minawszy grupę starych wierzb, znaleźli się przed białą, schowaną w ich zieleni chatą. Na jednej z wierzb ujrzał przybitą do pnia deszczułkę, na której białą farbą namalowana była flaszka i kieliszek. Pod wierzbą w cieniu leżał człowiek, który śpiewał:

Ta do poroha hołowamy,
Wstawaj rano za wołamy ⁸².

Obok śpiewaka stała podobna do rosyjskiego pucharu ośmiokątna butelka z resztką wódki, a nie opodal leżały niedbale rzucone zielone ogórki. Śpiewak skończył pieśń i podnosząc się powiedział:

— Teraz, Abrahamie, wypij po trudach.

I wzięwszy butelkę do ręki, popatrzył pod światło, ile pozostało w niej ducha jasności i rozumu.

— Ehe-he, zła godzino! Cóż będziemy robić, Abrahamie? Niepełna anatema ⁸³!

Po tych słowach kwaśno popatrzył na chatkę i oblicze jego błyskawicznie się zmieniło. Rzucił butelkę i wykrzyknął:

— „Pożar w butach”!

Stepan Martynowycz drgnął na ten okrzyk i wstał z przyzby, na której ułożył się, by odpocząć.

— „Pożar w butach”! „Pożar w butach”! — powtarzał śpiewak, ściskając zdziwionego Stepana Martynowicza. Odstąpił od niego na trzy kroki, popatrzył i powiedział zdecydowanie:

— Nie kto inny, tylko on. On — „Pożar w butach”. — I ściskając mu rękę, zapytał:

— Kudyż tebe oce nese? Czy ne do władzyki czasom? Jak szczo tak, to ja tobi skażu, szczo ty bez mene niczoho ne zrobysz, a kupysz kwartu horiłky, horu perewernu, ne tilki władzyku ⁸⁴.

I rzeczywiście, mówiący był podobny do starodawnego Horyni: młody, ogromnego wzrostu, na szerokich plecach zamiast głowy miał osadzonego jeża. Zza pazuchy wyzierało też czarne półroczone prosię.

— Tak? Mów!

— Ja nie do biskupa, tylko tak sobie — odpowiedział zawstydzony Stepan Martynowycz.

— Dureń, dureń, za kwartę śmierdzącej wódki nie chce zostać diakonem. Jak mi Bóg miły, wyświęcę, zacna szynkareczka ci zaświadczy, że wyświęcę, albowiem wielkie wpływy mam u biskupa.

— Jakże ja bez wiktu dojdę do Perejasławia?

— Dojdę, dojdę, durniu! Ja cię w ciągu dnia¹ pocztą odstawię.

Stepan Martynowycz zaczął rozwiązywać chustkę, a chórzysta (był to rzeczywiście biskupi chórzysta) krzyknął radośnie:

— Anatema! Szynkarko, flądno, wódki! Kwartę, dwie, trzy, wiadro ⁸⁵! Przeklęta duszo!

Stepan Martynowycz, pokornie podając grzywienik, który mu zwrócił Iwan Petrowycz, powiedział, że to są wszystkie jego pieniądze.

— Ts! Ja tak tylko, żeby ją przestraszyć, anateme. Wódka pojawiła się pod wierzwą i przyjaciele roz-

łokowali się wokół malowanej flaszki. Chórzysta wychylił szklanę i nalał memu bohaterowi. Ten próbował odmawiać, ale atleta-bas tak na niego popatrzył, że Stepa wyciągnął ku szklance rękę a chórzysta wykrzyknął:

— I to jeszcze diak!

Chórzysta wziął od Stepana Martynowycza pustą szklanę, nalał znowu, wypił, otarł rękawem grube wargi i ryknął potężnym basem:

— Błogosław, biskupie!

Stepan Martynowycz zdumiał się wspaniałością jego czystego pięknego głosu, a śpiewak, spostrzegłszy to, zaśpiewał jeszcze niżej:

— W pokoju módlmy się do Pana!

— Teraz można dla głosu... — Wypił trzecią szklanę i skrzywiwszy się, milcząco wskazał palcem flaszkę. Stepan Martynowycz zdziwił się, bo zauważył, że flaszka była prawie pusta. Przecząco pokręcił głową.

— Rób, jak uważasz, a ja tymczasem... — chrząknąwszy, zaśpiewał:

Oj iszow Czumak z Donu...⁸⁶

A kiedy rozległy się słowa:

Oj dołe moja, dołe,
Czom ty ne takaja
Jak insza, czużaja⁸⁷

z małych oczu Stepana Martynowycza polały się rześiste łzy. Śpiewak dostrzegł to, więc żeby pocieszyć wzruszonego słuchacza, strzelając palcami zanucił:

U nedilu rano — wranci
Iszły naszi nowobranci.
A szynkarka na ich morh:
Idu, bratyky, na torh!⁸⁸

Skończywszy zwrotkę, wypił resztę wódki, popatrzył na Stepana Martynowycza i wyraźnie wskazał na szynk. Nauczyciel bez protestu wziął flaszkę i ruszył po nową kwartę, a wszedłszy do szynku rzekł:

— Obdarował oto Pan Bóg takim anielskim głosem niegodnego sługę swego.

Zanim szynkarka zrobiła swoje, pedagog zapytał:

— Kim jest ten, z którym biesiaduję?

— To jest bas z klasztoru — odpowiedziała.

— Boski bas — powiedział do siebie Stepan Martynowycz.

— Gdyby nie bas, toby świnię paś! — zauważyła szynkarka. — Pijak zatracony!

— Oczywiście tak, ale, kobieto, takie basy są potrzebne.

— A wy też bas? — spytała szynkarka.

— Nie, nie posiadam żadnego głosu.

— I dobrze, że nie posiadacie.

W pół godziny później Stepa znów zjawił się w szynku z pustą butelką i szynkarka napełniając ją, mruzczała pod nosem:

— Ależ piją, oj piją!

Wróciwszy pod wierzbę, nauczyciel postawił flachę koło basa, a sam położył się na trawie do góry brzuchem, naśladując natchnionego śpiewaka. Bas zaś, bez słowa, napełnił szklanekę wódką i wlał ją w swą otwartą paszczę. Pomacał trawę wokół połówki ogórka i podniósłszy do ust pustą rękę wymamrotał: „Niechaj Bóg zmartwychwstanie!” Obróciwszy się do Stepana Martynowycza, zdecydowanie rozkazał mu:

— Miej odwagę — i Stepan Martynowycz odważył się. Bas też miał odwagę i już nie szukał zakąski, tylko cmoknął językiem i powiedział:

— Ech, gdyby był tu ojciec Metody. To jest bas nad basy! A jednak nie wypije więcej ode mnie!

Bas wypił jeszcze szklanę. Butelka znów była pusta. Popatrzył więc na Stepana Martynowycza i wskazał na szynk. Nauczyciel zaklinał się, że nie ma i pół pieniążka w kieszeni. Wtedy bas rzucił się na niego i chwyciwszy za rękę krzychał:

— Kłamiesz, morderco, włóczęgo! Ty wiernych swych porzuciłeś bez pytania biskupa, a teraz błędzisz po lasach i ludzi dobrych grabisz. Dawaj kwartę, bo zginiesz na miejscu!

— Postawię, postawię, puść tylko duszę na odpuszczenie grzechów — mówił jękając się Stepan Martynowycz.

Bas wypuścił go z rąk i krótko rzekł:

— Idź i przynieś!

Stepan Martynowycz chwycił flaszkę, ruszył do szynku i prawie płacząc zwrócił się do szynkarki:

— Piękna i pocziwa kobieto! (bardzo liczył na wpływ komplementu, a także na dobór słów). Odejmij mnie od paszczy lwa i wybaw od grzesznej ręki. Daj na kredyt choć pół kwarty wódki...

— A dzuś wam pianyci! ⁸⁹ — powiedziała lakonicznie szynkarka i zamknęła drzwi.

Ot i dała na kredyt! Widać, że komplementy różnie działają na płeć piękną. Ogłuszony takim wybrykiem pięknej kobiety, Stepa długo nie mógł dojść do siebie. Gdy już się opamiętał, jeszcze stał i rozmyślał, jak ma się wyratować z tej opresji. Wykoncypował wreszcie, że najlepiej będzie upaść do nóg basowi i prosić o miłosierdzie. Z tą myślą Stepa podszedł ku wierzbie — i o radości niewysłowiona! — bas rozciągnięty na całą długość i szerokość chrapał tak, że liście sypały się z drzewa, niby od świstu sławnego herosa Sołowija Rozbijnyka.

Ujrawszy tak pomyślne zakończenie dramatu, bo-

hater mój, nie zwlekając, rzucił się do ucieczki, mówiąc:

— Stopy moje skieruj według słów Twoich i niech mnie ominie wszelka nieprawość.

Zszedłszy nieco z góry, zboczył z dróżki, ułożył się pod rozłożystą lipą i niebawem chrapał nie gorzej od jakiegoś basa. Dzwon na nieszpory obudził jednak mego bohatera. Ocknąwszy się, długo nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Zaczął więc przypominać sobie wydarzenia dnia i tak od starszego pana w białym chałacie i słomianym kapeluszu powoli doszedł do tragicznej sceny pod wierzbą i szczęśliwego jej zakończenia. Przeżegnawszy się wstał i wszedł na ścieżkę, która doprowadziła go do klasztornych murów. Nieszpory się zaczęły, lektor pośrodku cerkwi czytał już pierwszą kafizmę⁹⁰, a chór śpiewał: „Pracujcie dla Pana ze strachem i ciescie się dłońmi ze drzewem...”

Jakież było zdumienie Stepy, gdy wśród chórzystów, właśnie na prawym kryłasię⁹¹, ujrzał swego, bohaterskiego basa. Jak gdyby nic się nie stało, ryczał sobie, schowawszy nie ogolony podbródek w luźno związany halsztuk⁹².

Gdy ludzie wychodzili z cerkwi, bas dostrzegł swego protegowanego i kiwnął nań, aby podązał za nim.

— No, jeśli znów do karczmy, zginąłem — pomyślał Stepan Martynowycz i szedł za basem jak baranek na zarznięcie. Wbrew obawom, nic złego się nie wydarzyło. Weszli do wielkiej jadalni, gdzie zakonnicy zabierali się już do posiłku. Chórzyci usiedli przy osobnym stole. Bas, milcząc, wskazał miejsce swemu protégé. W jadalni było prawie ciemno. Gdy zapalono świece, chórzyci zobaczyli mego bohatera i krzyknęli:

— „Pozar w butach”!

Wszyscy znali Stepę z seminarium. Po posiłku zaprowadzili go do ogólnej celi. Dowiedziawszy się, że gość następnego dnia wraca do Perejasławia, jednogłośnie zaproponowali mu miejsce w swym furgonie, wyjaśniwszy, że nazajutrz po nabożeństwie biskup odjeżdża do Perejasławia, to jest do Andrusz, i że oni, jego chórzyci, również tam udają się pojazdem pocztowym. Nie było tu nad czym myśleć, tym bardziej że w kieszeni mojego bohatera były pustki.

Na drugi dzień o czwartej po południu furgon wyładowany chórzystami mknął po perejasławskiej drodze, podnosząc tumany kurzu. Gdy przejeżdżali koło karczmy niedaleko chutoru Abazy, furgon zatrzymał się.

Dyszkantom chciało się pić, zaś basom chciało się wypić. Nasz bohater również postanowił wysiąść z furgonu razem z basami, lecz co za koszmara: z karczmy przez okno wyglądała, któż by to pomyślał, Paraskowija Tarasiwna we własnej osobie. Stepa rzucił się na dno furgonu prosząc dyszkanty, aby go zasłonili. Chłopcy hurmem powalili się na niego i tak zasłonili, że nauczyciel o mało się nie udusił.

Chwała Bogu, że basy niedługo w karczmie marudzili. Wróciwszy zaprowadzili porządek i ciszę w furgonie. Poczciarzowi kazali ruszać, a sami gromko zaśpiewali: „O opiewana matko, wszystkie koguty w chatce”. Do basów przyłączyły się anielskie głosy dyszkantów i pieśń wyszła nie byle jaka.

Tak prędko i wesoło jechali bez żadnych dramatycznych przygód, jedynie w jahotyńskiej traktierni basy wspólnymi siłami stłukli za rozrabianie pierwszego basa, protektora Stepana Martynowycza, związali mu ręce i nogi, położyli w furgonie i w takim żalonym stanie przywieźli do Perejasławia.

Przybywszy do Perejasławia Stepan Martynowycz podziękował chórzystom za przysługę, pożegnał się z nimi, a następnie wstąpił do Karola Josypowycza, którego poprosił o pożyczanie półkarbowanica na ułatwienie bardzo ważnej sprawy. Otrzymaawszy pieniądze, wstąpił do sklepu Rosjanina, kupił zieloną chustkę z czerwoną lamówką i ruszył na chutor. Po drodze rozmyślał o swojej wędrówce i dramatycznych, rzec można, pouczających przygodach.

Gdy już był u samych wrót chutoru, ze zdumieniem usłyszał żeński głos i słowa piosenki:

Za try szahy piwnyka prodała,
Za kopijku dudnyka najniała.
Zahraj meni, dudnyku, na dudu,
Niechaj swoho łyszeńka zabudu ⁹³.

— To Maryna, to ona — pomyślał Stepan Martynowycz, wchodząc na podwórze. Cichutko stanął w kuchni i osłupiał ze strachu i pokusy. Maryna, pijana Maryna obejmowała i całowała poczciwego, siwowąsęgo Kornija. Stepa nie mógł wymówić ani jednego słowa, wydał tylko okrzyk zdziwienia:

— Ach!

Maryna odskoczyła od pszczelarza, chwyciła Stepę za poły i zaczęła tańczyć, przyśpiewując:

Oj, mij czołowik
Na Wołoszczynu wtik,
A ja cip prodała,
Ta muzyky najniała ⁹⁴.

— Maryno, Maryno? Ty bezbożna, rozpustna jawnogrzesznico, co robisz? Opamiętaj się! — mówił Stepan Martynowycz. Maryna wcale się nie opamiętała i ciągnęła dalej:

Oj, zahrajte meni,
Muzykanty moi,
A ja wam toho dam
Szczu wy zrodu ne baczyły — i hu! ⁹⁵

I znowu zaśpiewała:

Upyłasia ja,
Ne za waszi ja:
W mene kurka nesłasia,
Ja za jajcia wpyłasia ⁹⁶.

— Cur tobie! ⁹⁷ Odejdź, szatanie! — krzyknął Stepan Martynowycz i wyrwawszy poły z rąk rozbawionej Maryny, pobiegł na pasiekę. Zobaczywszy, że wszystko w porządku, położył się pod lipą, aby po trudach i zdenerwowaniu odpocząć.

— A może oni w czasie mojej wędrówki wzięli ślub, a ja niepotrzebnie nazwałem ją rozpustnicą. — I tak kajając się, Stepa zasnął. We śnie widział, jak Maryna brała ślub z pszczelarzem Kornijem i jak on sam był u niego starszym družbą.

Słońce już zaszło, gdy Stepan Martynowycz obudził się. Wróciwszy na chutor, zobaczył, że brama jest zamknięta, ale kuchnia otwarta. Na podłodze śpi Maryna, a pszczelarz chrapie pod ławą. Stepa popatrzył na nich i ze współczuciem pokiwał głową. Wyszedłszy do sieni, powiedział: — A chustę jednak trzeba jej oddać. Ona jest kobietą pobożną.

Na drugi dzień Stepa oddał Marynie chustkę i poprosił, żeby nikomu ani słowa nie powiedziała o jego nieobecności. Maryna zaś poprosiła Stepę, aby milczał o wczorajszym jej zachowaniu. Oboje przysięgli dochować tajemnicy.

Po długiej nieobecności, trwającej pięć i pół tygodnia, na swój chutor szczęśliwie powrócili Nykyfor

Fedorowycz i Paraskowija Tarasiwna. Z radością otwierał im bramę Stepan Martynowycz, pomagał zejść z bryczki i prowadził do pokojów. Kiedy minęło zamieszanie, ukazała się kolaska Karola Josypowycza. Pod wieczór wszyscy czworo zebrali się na ganku i zaczęły się opowieści o tak długiej podróży. Najpierw mówiła Paraskowija Tarasiwna, a potem już Nykyfor Fedorowycz. Setnikowa rozpoczęła tymi słowami:

— Pożegnawszy się z wami, Karolu Josypowyczu, we środę, w czwartek rano byliśmy już w Jahotyń. W czasie gdy Nykyfor Fedorowycz posilał się, ja z dziećmi wyszłam z bryczki i chodziłam sobie po bazarze. Patrę, stoi tam jakiś okrągły budynek, a wokół niego słupy i słupy. Dzieci mnie pytają:

— Mamusiu, co to jest?

A ja odpowiadam:

— Jak Boga kocham, dziateczki, nie wiem. Trzeba będzie kogoś zapytać. — Patrę, na szczęście idzie jakaś młoda kobieta. Wołam ją:

— Kobieto! a zbliż się — mówię — do nas.

Kobieta podeszła.

— Powiedz, gołąbeczko, co to stoi u was na bazarze?

Kobieta mi mówi:

— Cerkiew.

— Cerkiew — myślę sobie — czy aby ona nas nie oszukuje? — Ale patrę i widzę krzyż na wierzchu okrągłego dachu.

— Panie — myślę sobie — chybaż ja tych cerkwi w Kijowie mało widziała, a takiej, choć przysięgaj, to chyba w samej Jerozolimie nie ma.

Z Jahotyńa pojechaliśmy do Horodyszcz. Znako-
mity człek ten Lew Mykołajewycz. A jakie ma dziatki, jak aniołki boże, szczególnie Natałeczka. A gdy

zaśpiewa — istny cud. Do tego paluszkami jeszcze prztyknie. Tak polubiła mego Zosię, że płakała, kiedy się zegnał. Byliśmy w klasztorze w Łubnach, zamówiliśmy mszę do świętego Atanazego. Jak żywy siedzi za szkłem, mój gołąbeczek. Co cerkiew, to cerkiew, można by ją obok naszej Zwiastowania Najświętszej Panny Marii postawić.

— Tylko nie stawiaj jej obok naszego nowego ikonostasu — przerwał jej Nykyfor Fedorowycz.

— No, ja już na tym się nie znam. W Chorole też nocowaliśmy. Tylko ja, muszę przyznać, nie widziałam, jaki jest ten Chorół. Przespałam go i obudziłam się już w Wyszniakach za Chorolem. Tam właśnie nocowaliśmy, a nie w samym Chorole. Wieś ogromna, ale taka biedna, że strach patrzeć. Dziedzic, mówią, pijak zatracony, mieszka Bóg wie gdzie, w Moskwie, mówią, czy w Petersburgu, a rządca co chce, to robi. Jak się ten dziedzic nazywa, niech go diabli wezmą? Nykyforze Fedorowyczu, czy nie pamiętacie?

— N. — powiedział Nykyfor Fedorowycz — Obołoński.

— Tak, tak, N. Z pewnością N. A cerkiew murowana, przepiękna, stoi za wsią, jak raz naprzeciwko dworu. Mówią, że jakaś generałowa Płamencycka zbudowała ją nad grobem swego ukochanego męża. Prawowierna dusza! Jeszcze w Białocerkiwce nocowaliśmy i promem jechaliśmy przez rzekę. Ależ się bałam. Prom mały, a nasza bryczka, chwała Bogu! Białocerkiwska pani, mówią, bardzo bogata, a je tylko samą taranię, i to w dni mięsne, a z żelaznego kufra z czerwóncami nigdy nie schodzi. Nawet śpi na nim. Powiadają, że gdy zapalił się jej magazyn wszelkiego domowego dobra, powiadają, tylko płótna samego dziesiątki wozów było. Można by choć połowę uratować. I jak wy myślicie? Nie pozwoliła.

— Rozkradną — mówi — lepiej niech się spali. — Tfu, jaka paskudna!

— W Reszetyłówce cerkwi chyba dziesięć będzie, a mieszkają tam sami Kozacy. Obiad jedliśmy w karczmie pod Połtawą. Gdy tylko Nykyfor Fedorowycz położył się, żeby odpocząć, przyjechali chórzyści biskupa.

Stepan Martynowycz zakreślił się w krześle.

— Wchodzą do karczmy, a jeden z nich od razu: — Szynkarko, wódki! — Mało nie umarłam ze strachu. Od urodzenia nie słyszałam takiego strasznego głosu. A chłop ogromny, wysoki, włosy mu na głowie jak szczecina stoją.

— O samej Połtawie nawet opowiadać nie potrafię. Mówcie wy, Nykyforze Fedorowyczu.

Zjawisko niebywałe: żona rezygnuje z mówienia na korzyść męża.

— Dobrze, ja już do końca opowiem, a wy tymczasem zajmijcie się pierogami. Myślę, że Karol Josypowycz i Stepan Martynowycz nie odmówią zjedzenia z nami kolacji.

Obaj słuchający na znak zgody kiwnęli głowami, a Paraskowija Tarasiwna wstała i udała się do pokoi.

— Tak — rozpoczął Nykyfor Fedrowycz — błogosławieństwo boże nie ominęło naszych dzieci. Ja, prawdę mówiąc, nigdy w Połtawie nie bywałem i nie mam tam żadnych znajomych. Tylko słyszałem, że opiekunem gimnazjum jest nasz znakomity poeta Kotłarewski. Dowiedziawszy się, gdzie on mieszka, udałem się prosto do niego.

Wyobraźcie sobie, on mieszka w domku sto razy gorszym od naszego, po prostu w chałupie. Ze służby ma tylko najemnicę Hapkę i najmitę Kyryka. Przywitał mnie osobiście, poprosił do chaty, posadził obok

siebie i zapytał, w jakiej sprawie przybyłem. Opowiedziałem mu i proszę o pomoc. Kotlarewski uśmiechnął się i zapytał:

— Jak wasze nazwisko?

Powiedziałem:

— Sokyra.

— Sokyra, Sokyra — powtórzył on. — Macie dwoje dzieci, Zosyma i Sawatija?

Stepan Martynowycz siedział jak na węglach.

— Jednego chcecie oddać do gimnazjum, a drugiego do korpusu kadetów.

— Prawda — mówię. Nie odważyłem się jednak, by zapytać go, skąd o tym wszystkim wiedział.

— Jesteście, zdaje się, zdziwieni — mówi on — że znam imiona waszych dzieci.

— Dziwię się i to bardzo — odpowiadam.

— Słuchajcie — mówi — opowiem pewną historię.

Stepan Martynowycz zadrżał ze strachu.

— Pewnego razu spaceruję sobie koło swoich wrót — zaczął opowiadać, ale przerwał mu lokaj, który powiedział, że księżna Riepnina prosi go do siebie na herbatkę. Kotlarewski przyjął zaproszenie, a ja chwyciwszy czapkę, już chciałem się pożegnać i iść, gdy poeta powiedział:

— Nie gniewajcie się, przyjdźcie jutro rano i przyprowadźcie swoich kozaków.

Stepan Martynowycz odetchnął głębiej.

— Ależ po co ja się spieszę. Czas jeszcze mamy, a historia krótka — kontynuował Kotlarewski. — Otóż spaceruję koło wrót, patrzę, podchodzi do mnie...

Zaledwie Nykyfor Fedorowycz wymówił te słowa, Stepan Martynowycz padł na kolana i błagalnie zawołał:

— Zmiłujcie się nade mną, niegodym sługą, naru-

szyłem wasze polecenie. Zostawiłem wasz dom i udałem się waszym śladem do samej Połtawy.

Nykyfor Fedorowycz zrozumiał, o co chodzi, i całując Stepana Martynowycza, podniósł go i posadził na stołku.

Gdy Stepa uspokoił się, setnik opowiedział całą historię usłyszaną od opiekuna.

— Boże, przebac mi potępionemu! Ja, co niegodny jestem rozwiązać sznurowadła u jego trzewika, miałem czelność siedzieć obok niego, a nawet spożywać z nim posiłek. I co najgorsze, grzywiennik mu dawałem za protegowanie moich ukochanych uczniów.

O przebac, przebac mi, Boże! Z tak wielkim mężem z opiekunem siedzieć razem jak ze swoim bratem!

Och, aż strach! Jutro, zaraz jutro idę do Połtawy, upadnę do jego nóg. Powiem...

— Nie idźcie jutro — powiedział Nykyfor Fedorowycz — a latem pojedziemy razem.

— Nie, nie doczekam, umrę do lata, umrę bez pokuty. O, cóż ja uczyniłem!

— Uczyniliście to, że dzięki wam nasze dzieci uczyć się będą na koszt państwa — jedno w gimnazjum, a drugie w korpusie kadetów. Tak spodobaliście się Iwanowi Petrowyczowi, że nie tylko urządził nasze dzieci, a jeszcze ofiarował wam swoją *Eneidę* z autografem. I mnie, daj mu Boże zdrowie, także podarował swoją *Eneidę*, również z autografem. Wejdźmy lepiej do domu, bo tutaj już ciemno. W domu wręczone wam książkę i swoją pokażę.

Nie opisuję radości Stepana Martynowycza, kiedy na własne oczy zobaczył książkę i przeczytał: „Wielce szanownemu S. M. Łewyckiemu ku pamięci I. Kotlarewski”.

— Nawet nazwisko moje zna, o mężu wielki! — powiedział Stepa i płacząc, całował autograf.

Po kolacji Karol Josypowycz pojechał do miasta, a na chutorze wszyscy usnęli oprócz Stepana Martynowycza. Nauczyciel wziął swoją książkę, czółnem przepłynął Altę i udał się do swojej nie opalanej szkoły. Zaświeciwszy kaganek, zaczął czytać *Eneidę* i przeczytał ją do końca. Słońce było już wysoko, kiedy do szkoły przybył Nykyfor Fedorowycz. Kaganiec płonął, a Stepan Martynowycz siedział nad książką.

— Dzień dobry, mój przyjacielu! — powiedział Nykyfor Fedorowycz, przestępując próg izby szkolnej.

Stepan Martynowycz podniósł oczy i wtedy zauważył, że kaganiec pali się daremnie.

— Dzień dobry! Dzień dobry, Nykyforze Fedorowyczu! A ja cały czas czytałem książkę. Bezcenna książka! Kiedyś w pasiece głośno ją wam przeczytam. Cudowna książka!

— Rzeczywiście cudowna! Ale ja chcę mówić o czymś innym. Cóż my teraz, mój przyjacielu, będziemy robić? Zostaliśmy samotni! Nie masz już kogo uczyć, a ja nie mam kogo egzaminować! Cóż mamy robić?

— Sam nie wiem — odparł poważnie Stepan Martynowycz.

— A ja myślę tak. Weźcie ode mnie na kredyt dziesięć czy dwadzieścia uli, załóżcie pasiekę, choćby tu, koło swojej szkoły, i zostańcie pszczelarzem. Ja też będę pszczelarzem. A kiedy Bóg miłosierny pobłogosławi wasze przedsięwzięcie, wtedy zwrócicie mi moje pszczoły. Tymczasem będziemy odwiedzać się wzajemnie. Zgoda?

— Więcej niż zgoda.

— Jeśli tak, to przyjmijcie ode mnie i mojej żony ten skromny podarunek za waszą bezinteresowność i prawdziwie chrześcijańską miłość do naszych dzieci.

I setnik podał zwój granatowego sukna, dodając:

— Po krawca Berka posłałem już do miasta. Uszyjcie sobie na święto Pokrowy porządny surdut i co tam jeszcze trzeba.

Stepan Martynowycz trzymał sukno w rękach i patrzył na setnika, nie mogąc wymówić słowa.

— Na to święto będzie sześćościelecie waszego zjawienia się w mym domu.

Stepan Martynowycz ze łzami radości przyjął podarunek i razem wyszli ze szkoły.

W chutorze czekał już krawiec Berko z trójkątnym arszynem⁹⁸. Wziął miarę ze Stepana Martynowycza. Nieraz musiał podnosić się na palcach, gdyż klient był wyjątkowo wysoki, a krawiec bardzo niski. Wziąwszy miarę, krawiec zaczął kroić materiał od ręki, niebezpieczeństwo bowiem było dawać krawcom do domu taki drogi materiał, mogło go wtedy zabraknąć na połę albo rękaw.

Paraskowija Tarasiwna również wyszła popatrzeć, jak będą kroić surdut, i też przyniosła cenne podarunki, niby to od dzieci z Połtawy. Oddając je Stepanowi Martynowyczowi, powiedziała:

— Ten jedwabny czarny szalik przysłał wam Zosia. A to — Watia: również jedwabny, drogi materiał na kamizelkę dla was na święto Pokrowy.

Przyjmując tak cenne podarunki, Stepan Martynowycz wzruszył się do łez i powiedział patetycznie:

— Co ci przyniosę i czym ci odplacę?

Trzeba zaznaczyć, że Stepan Martynowycz mówił trzema językami: czysto po rosyjsku, a gdy okoliczności wymagały, a czasem i bez żadnych przyczyn, czysto po ukraińsku, zaś w sytuacjach patetycznych — językiem cerkiewnym. Prawie zawsze posługiwał się cytatami z *Pisma Świętego*.

Podczas gdy Stepa wylewał łzy podziękui, Paraskowija Tarasiwna wyniosła z pokoju dwa zwoje płótna.

— A to będzie dla was na koszule. To jest prezent ode mnie, nie możecie odmówić przyjęcia — powiedziała. — Szyciem zajmie się chociażby nasza Maryna, a my za robotę damy jej utuczonego wieprzka.

Stepan Martynowycz był niewymownie szczęśliwy. Zakrył twarz rękami i bez słowa wyszedł na ganek, usiadł na schodach i płakał jak małe dziecko.

Niebawem pojawił się Nykyfor Fedorowycz i wzięwszy Stepę pod rękę, rzekł:

— Chcieliśmy wam zrobić przyjemność, a wy płaczecie. Nie obrażajcie nas starych i samotnych, Stepanie Martynowyczu!

— Z radości pościel moją łzami swymi zroszę.

— No to chodźmy na pasiekę. Połóżcie się tam choćby na moim posłaniu i możecie je moczyć, ile chcecie.

Stepan Martynowycz podniósł się i milcząc poszedł w ślad za Nykyforem Fedorowyczem.

Znalazłszy się w pasiece, Nykyfor Fedorowycz wyjął z kieszeni kawałek kredy i literą „Ł” pozaczył dziesięć uli, przymawając:

— Błogosław, Boże, wasz początek. — Wskazując zaś na ule dodał:

— Przyjmijcie je na własność, Stepanie Martynowyczu.

— Dajcie mi choć odetchnąć. Zabijecie mnie waszymi dobrodziejstwami...

Usiedli obaj pod lipą. Przy tej okazji Nykyfor Fedorowycz wygłosił rzetelny odczyt o pszczelarstwie, który podsumował następująco:

— Pszczoła jest najpracowitszym, dla Boga i człowieka najprzyjemniejszym ze wszystkich ziemskich stworzeń. Hodowla jej jest korzystna i przez Boga mile widziana. Ta spokojna praca broni nas przed wszelkimi nieczystymi stosunkami z chciwymi ludźmi,

a jednocześnie przed poniżającym i przygniatającym człowieka ubóstwem. Na podstawie mego długiego doświadczenia i obserwacji doszedłem do wniosku, że pszczoła potrzebuje nie tylko człowieka sprawnego, ale również łagodnego i sprawiedliwego męża. A wy macie w sobie wszystkie te zalety. W nadziei na pomoc boską i jego świętych sług Zosyma i Sawatija niech będzie błogosławione i pomnożone wasze poczynanie!

Stepan Martynowycz słuchał w błogim milczeniu. Nykyfor Fedorowycz ciągnął dalej:

— Lato mija, już, dzięki Bogu, wrzesień na świecie. Teraz już za późno, by powiększać pasiekę, toteż zajmiecie się tym wiosną. Teraz tylko trzeba wybrać miejsce na ule, obsadzić je jakimiś drzewami, na przykład lipami. Ja, da Bóg, schowam pszczoły na zimę do piwnicy i pojedę na dwa lub trzy tygodnie do Baturyna. Tam gdzieś niedaleko Baturyna mieszka wielki pszczelarz Prokopowycz. Posłucham jego mądrych nauk, bo teraz myślę zająć się tylko pszczelarstwem.

Na drugi czy trzeci dzień po tej mądrej rozmowie Stepan Martynowycz z samego rana głęboko zadumany chodził dookoła szkoły z *Eneidą* w rękę. Z książką tą nigdy się nie rozstawał. Po długich rozmyślaniach nauczyciel udał się na chutor, gdzie ujrzał Nykyfora Fedorowycza, który również medytując, spacerował z *Eneidą* w rękę.

Przywitawszy się, Stepa powiedział:

— Wiecie, co ja wymyśliłem?

— Nie wiem, coście wymyślili.

— Wymyśliłem, za przykładem innych diaków, zorganizować szkołę, zebrać dzieci i uczyć je pisać.

— Błogosławię wasz zamiar i pomagać będę w miarę sił moich. — Pomilczawszy nieco, dodał: — Pasieki jednak nie porzucajcie.

— Po co? Pasieka pasieką, a szkoła szkołą.

Otrzymałszy taką pochwałę projektu, nauczyciel tegoż dnia zajął się urządzeniem szkoły. Dach pokrył nowymi snopkami słomy, wezwał dwie kobiety, aby wybieliły budynek w środku i na zewnątrz, a sam wokół niego, nie przejmując się zasadami symetrii, wykopał dołki pod drzewka.

Sąsiadki, patrząc na te wszystkie wyczyny Stepana Martynowycza, nie wiedziały, co myśleć o swym diaku. I wreszcie jednogłośnie orzekły, że ich diak z pewnością się żeni. A gdy zobaczyły go w święto Pokrowy w sukiennym granatowym surducie, wszystkie jak jedna powiedziały: żeni się z protopopówną⁹⁹. Jakże sąsiadki poczuły się zawiedzione, gdy po święcie ich diak przepadł na trzy tygodnie, a kiedy się odnalazł, to już nie sam, a z czterema chłopcami w wieku od siedmiu do dziesięciu lat. Stanowiło to dla sąsiadek nieprzeniknioną zagadkę, chociaż sprawa była w gruncie rzeczy bardzo prosta. Stepan Martynowycz pojechał do domu w Hłymiazowie, skąd przywiózł ze sobą dwóch małych braciszków i dwóch krewnych, aby ich uczyć na własny koszt. W ten sposób został założony fundament szkoły.

Sława o pedagogicznym talencie Stepy (rozumie się, że nie bez udziału Karola Josypowycza) dawno już dotarła do Perejaśławia i poza jego granice. Ostatecznie ugruntowała się, gdy bliźniaków Sokyry przyjęto do szkół. W takich szczęśliwych okolicznościach do pyłypiwki szkoła była pełna uczniów i dostаточно zaopatrzona we wszystko, co było potrzebne do jej istnienia, a w niedaleko leżącym chutorze (nie Sokyry, a innego jakiegoś półpanka¹⁰⁰), liczącym dziesięć chat, zamieszkiwali maleńcy ludzie różnych stanów.

Dla działalności Stepana Martynowycza otworzyły się szerokie możliwości, więc nauczyciel był szczęśliwy.

Niebawem po świętym Mikołaju wrócił Nykyfor Fedorowycz z Baturyna od Prokopowycza. Jakże był zdziwiony, gdy koło szkoły zobaczył niemały kawałek ziemi obsadzony drzewami owocowymi, a w kilku miejscach kupy chrustu i kołków. To ojcowie uczniów Stepana Martynowycza — przeważnie naumowscy i berezańscy Kozacy — ze szczerego serca podarowali opał.

Nadeszła zima. Chutor Nykyfora Fedorowycza i szkołę Stepana Martynowycza zawiąło śniegiem. Jednak wśród śnieżnych wydm między szkołą a chutorem pojawiły się początkowo tylko ślady wielkich stóp Stepana Martynowycza, a potem powstała udeptana dróżka. Po całodzienniej pracy Stepan Martynowycz każdego wieczoru odwiedzał chutor, żeby odpocząć — jak mówił — od dziennego zdenerwowania. Byli mu tu zawsze radzi, a szczególnie Paraskowija Tarasiwna. Prawdę mówiąc, miała z czego się cieszyć. Na świecie nie było drugiego takiego człowieka, który z taką uwagą, a przynajmniej z cierpliwością wysłuchiwałby po raz setny powtarzanej historii o wędrowce Paraskowiji Tarasiwny do Połtawy i z powrotem.

Czasem dodawała do swojej opowieści jakiś epizod niemal szeptem, a kiedy indziej głośniejszym, jeśli zauważyła, że Nykyfor Fedorowycz jest czymś zajęty albo po prostu czyta latopis Konyskiego. Wtedy setnikowa ożywiała się, opowiadając o tym, jak podczas powrotu z Połtawy na Wniebowzięcie Najświętszej Panny Marii przyjechali do miasta Łubny w gorące dni jarmarku. Wieczorem byli w teatrze na sztuce *Kozak-rymotwórca*. (Tu setnikowa mówiła o ton niżej):

— Cudownie! Jakże cudownie! Prawdziwy oficer z tego Kozaka-rymotwórca, a Marusia — panna i baba. Nie mogłam się nadziwić. A gdy zaśpiewała: „Nu-

te, hotawte plaski, zabawy!”¹⁰¹ Prawdziwa panna i ba-
sta, jakby wczoraj z Moskwy przyjechała. Gdy dojdzie
do słów: „Jemu Marusia na wstriecku biežit”¹⁰², na-
prawdę kilka kroków biegnie i wyciąga ręce niby do
oficera... a właściwie Kozaka-rymotwórca, nie wytrzy-
mywałam, bywało, wprost łkałam, tak byłam wzruszo-
na.

— A co was tam tak wzrusza? — spyta nieraz Ny-
kyfor Fedorowycz, jeśli usłyszysz.

— Opowiadam, jak my w Łubnach...

— Wiem, wiem. Kozaka albo oficera-rymotwórcę wi-
dzieli. Plujcie na tę gadaninę, Stepanie Martynowycz,
siadajcie bliżej, ja wam przeczytam, jak nasi Kozacy
wędrowali na Kanał Ładoski i na Orel fortyfikacje bu-
dować. A wy, Paraskowijo Tarasiwna, lepiej zrobicie,
gdy rozkażecie ugotować nam coś na kolację.

Muszę powiedzieć, że Nykyforowi Fedorowyczowi
straszenie się nie podobał głośny *Kozak-rymotwórca*.
Zwykle mawiał, że to brednie w dwóch językach. Je-
stem całkowicie zgodny z poglądem setnika. Ciekaw
jestem, co on by powiedział, gdyby przeczytał *Małoro-
syjską Safonę*¹⁰³.

Sądzę, że on wymyśliłby jakieś odpowiednie określe-
nie, bo słowo „brednie” o tym utworze jest nadto de-
likatne. Wydaje mi się, że nikt tak uważnie nie czytał
bezsensownych utworów filozofa Skoworody, jak księżę
Szachowski. W ukraińskich utworach szanownego księ-
cia ze wszystkimi szczegółami odbił się idiota Skowo-
roda, a wielce szanowna publiczność widzi w tych ka-
lekach prawdziwych Ukraińców. Biedni moi rodacy!...
Powiedzmy sobie, publiczność — człowiek ciemny, jej
można wybaczyć, ale wielki gramatyk nasz M. I.
Grecz¹⁰⁴ w swojej *Historii literatury rosyjskiej* widzi
w nich oprócz wielkich wartości estetycznych również
sens historyczny. On po prostu mówi, że Kozak nazwi-

skiem Kłymowski¹⁰⁵ istniał w czasach Piotra I. Co za głęboka znajomość naszej historii!

Przeczytawszy epizod z latopisu Konyskiego, przyjaciele zjedli kolację i pożegnali się.

Tak albo prawie tak mijały długie zimowe wieczory na chutorze.

Czasem przyjeżdżał Karol Josypowycz zażywać tabaki ze swojej muszlowej tabakierki i wracał nie zjadłszy kolacji. Nieraz tylko wypijał kieliszek wódki i zagryzał kawałkiem obwarzanka, a nieraz w ogóle nie zagryzał.

Zbliżały się święta. Stepan Martynowycz zaczął zwalniać swych uczniów do domu. W chutorze zabito już drugiego wieprza. Paraskowija Tarasiwna osobiście robiła kiełbasy i inne wyroby na święta. Wszystko wskazywało na to, że święto błądzi po ulicy, tylko do chaty boi się wstąpić.

W taki to pełen oczekiwań wieczór na chutor przybył Karol Josypowycz z listem z poczty, a list ten był z Połtawy od dzieci i — na pewno byście nie zgadli od kogo jeszcze — od Iwana Kotlewskiego.

Kiedy Paraskowija Tarasiwna usłyszała o nadejściu listu z Połtawy, wpadła do pokoju z kiełbasą w rękę.

— Gdzie jest ten list? Gołabczku, Karolu Josypowycz, gdzie jest list? Przeczytajcie, dajcie mi go, niechaj go choć ucałuję.

— Odnieście naprzód kiełbasę na miejsce, a potem przyjdźcie posłuchać listu — powiedział Nykyfor Fedorowycz otwierając kopertę.

— Oj, szalona jestem i bez opamiętania! — powiedziała gospodyni i zniknęła za drzwiami.

Niebawem wszyscy usiedli wokół stołu i zaczęło się uroczyste czytanie listów.

Na początku przeczytano listy od dzieci. Powtarzano

każde słowo po kilka razy, właściwie tylko dla Paraskowiji Tarasiwny. Przy tym, rozumie się, nie obeszło się bez łez i okrzyków tego typu:

— Oj, wy moi teolodzy-filozofowie! Sokoły, orły moje modre, **gdyby choć jednym okiem popatrzeć teraz na was!**

Ponieważ zaczynało się ściemniać, domyślna Maryna bez żadnych poleceń gospodyni przyniosła do pokoju świecę i postawiła na stole.

Nykyfor Fedorowycz otworzył list od Iwana Petrowycza. Z początku popatrzył na podpis, a potem zaczął czytać:

„Szanowni moi przyjaciele, Nykyforze Fedorowyczu, Paraskowijo Tarasiwna i Stepanie Martynowyczu!”

Wszyscy w milczeniu spojrzeli po sobie. Ponieważ list był pisany w języku ukraińskim, który nie każdy rozumie, a niejeden zrozumiałby, ale ust nie chce kłać chłopskimi słowy, więc podam tylko treść pisma, mimo że moja mizerna opowieść nie mało na tym straci.

Po zwyczajnych życzeniach z okazji zbliżających się świąt Iwan Petrowycz opisuje zalety dzieci i wyraża zdziwienie z powodu ich nadzwyczajnego fizycznego i duchowego podobieństwa. Stwierdza, że rozróżnia ich tylko po mundurach. „Ja po nich posyłam — pisze — każdej soboty. W niedzielę dzieci cały czas przebywają ze mną, a ja zachwycam się nimi. Nie pragnąłbym mieć lepszych własnych dzieci od waszych. Moja «Mucha»¹⁰⁶ każdego tygodnia pełna jest opisów ich przymiotów”. Dalej Kotlarewski pisze, że lepiej byłoby prowadzić dzieci jedną wybraną drogą: wojskową lub cywilną. Potem zaznacza, że nie ma złego bez dobrego, bo z różnorodnego ich wychowania można zdobyć psychologiczne doświadczenie, które pokaże, jaka może być różnica w wychowaniu dwóch jednakowo zorganizowanych podmiotów.

Dalej pisze, że był bardzo zadowolony, gdy dowiedział się, że chłopcy dobrze czytają po niemiecku, a jeszcze lepiej po łacinie. Więc zapytuje, kto ich uczył. (w tym miejscu Karol Josypowycz i Stepan Martynowycz milcząco spojrzeli po sobie). Kotlarewski informował też, że Hapka również pokochała chłopców i każdej niedzieli obdarowuje ich pierożkami i obwarzankami na cały tydzień.

„Pewnego razu Zosia poprosił mnie o grzywiennik na jakąś tam kadecką potrzebę, ale ja mu go nie dałem. Z doświadczenia wiem, że źle jest, gdy dzieciom daje się pieniądze”.

— A może ono, biedactwo, chciało dać nauczycielowi, aby lepiej uczył — powiedziała Paraskowija Tarasiwna, ale Nykyfor Fedorowycz spojrział na nią po swojemu i zamilkła.

Opiekun pisał dalej: „Proszę się o nich nie martwić: podczas świąt będą u mnie. Na Wigilię pošlę ich z wierzszą do mego przyjaciela N. On też ma dzieci i chłopcy wesoło spędzą tam Boże Narodzenie”.

Dalej zaznaczał, aby go starego nie zapominać i aby w czasie wakacji przybyć do Połtawy, bowiem w Połtawie kwatery są tanie, a jego Hapka gotuje bardzo smaczny barszcz z suszonymi karasiami.

„Jak ona to robi — pisał — tylko Bóg wie. Bywajcie zdrowi i nie zapominajcie samotnego I. Kotlarewskiego.

P.S. Kłaniajcie się memu dobremu Stepanowi Martynowyczowi Łewyckiemu, gdy go zobaczycie”.

Po odczytaniu listu Karol Josypowycz wstał, zażył tabaki i powiedział:

— Ecce homo! ¹⁰⁷

Stepan Martynowycz również się podniósł i zaszlochął ze wzruszenia. Jakże tu nie płakać? Jemu, nędz-

nemu diakowi, przysyła ukłony i to kto? Opiekun gimnazjum!

Paraskowija Tarasiwna też wstała i obróciwszy się ku obrazom świętych, żegnała się ze łzami w oczach mówiąc:

— Dziękuję Ci, Panie litościwy, za Twoje miłosierdzie, za Twoją świętą łaskę! Posłałeś, Boże, moim małym sierotom na obczyźnie anioła stróża. — Dalej setnikowa modliła się w milczeniu, a Nykyfor Fedorowycz pogrążony w głębokiej zadumie siedział oparłszy się łokciami o list. Potem złożył list, pocałował go, głęboko westchnął, wstał z za stołu i milcząc wyszedł do drugiego pokoju. Wrócił pół godziny później. Widać było, że miał oczy zaczerwienione.

Paraskowija Tarasiwna zwróciła się doń z pytaniem:

— Czy on ma pasiekę? Gdy byliśmy w Połtawie, zapomniałam zapytać Hapki. A może posłać mu beczkę miodu? Na święta już nie zdążymy, to można by na okres wielkiego postu.

— Poślemy dwie — powiedział Nykyfor Fedorowycz i zaczął chodzić w milczeniu po pokoju.

Goście pożegnali się i poszli swoimi drogami, dziwując się zasłyszonym wieściom.

Minęły święta i zima mija, a nadchodzi wiosna. Za tydzień Wielkanoc. Stepan Martynowycz zwalnia swych uczniów do domów rodzicielskich, ale przypomina, aby wracali do szkoły po Wniebowstąpieniu Pańskim. Wakacje dla uczniów nauczyciel ustanowił według wzoru seminaryjnego.

Po świętach Stepa wydał zarządzenia w domu, to jest przekazał opiekę nad szkołą i młodszymi braćmi starszym braciom — dwom teologom i trzeciemu filozofowi. Nakazał im, aby w wolnym czasie kopali niezbyt głęboki rów obok posadzonych drzew.

Wydawszy te polecenia, pożyczył u znajomego mieszczanina biedkę, rozumie się nie taką wystawną jak Karola Josypowycza, ale taką sobie prościutką. Od drugiego, też znajomego mieszczanina, pożyczył na dwadzieścia dni i nocy konia z chomątem. Zaprzął konia do biedki i pewnego pięknego poranka, pożegnawszy się z chutorem i szkołą, pojechał lekkim truchtem do Połtawy.

Paraskowija Tarasiwna posłała dzieciom swoje, choć zaoczne, ale matczyne błogosławieństwo, torbę specjalnie upieczonych obwarzanków, a swemu Zosi dodatkowo pół karbowańca. Pieniądze Stepa miał wręczyć chłopcu w tajemnicy przed Iwanem Petrowyczem, ale nie spełnił obietnicy. Za pół karbowańca zakupił mszę do świętego Atanazego za zdrowie Zosyma i Sawatija, a Zosi zapowiedział, aby nie prosił Iwana Petrowycza o pieniądze.

W Połtawie nie spotkało go nic nadzwyczajnego oprócz tego, że był obecny w katedrze na uroczystości wyświęcania na diakona swego dawnego znajomego basa i że nowy diakon poprosił go do siebie, spoił, a następnie poturbował, na podstawie czego Stepan Martynowycz doszedł do wniosku, że przyjaciela żaden stan nie uratuje. Jak był basem, tak zostanie nim do grobowej deski.

Po powrocie z dalekiej i ubogiej w przygody wędrówki, zastał szkołę w porządku. Wdzięczni bracia okopali dokoła nową jego winnicę i w dodatku ogrodzili ją łożą. Podziękowawszy im, jak należy, to jest kupiwszy po parze juchtowych butów i materiału jedwabnego na kamizelki, poprosił ich o pomoc w przeniesieniu pszczoł na swoją pasiekę, co zostało zrobione na drugi dzień.

Teraz Stepan Martynowycz był nie tylko diakiem

i nauczycielem trzydziestu uczniów, ale również pszczelarzem niezgorszym.

Mijały niepostrzeżenie dni, miesiące i lata. Zosia i Watia rośli fizycznie i duchowo w Połtawie, zaś Nykyfor Fedorowycz i Paraskowija Tarasiwna starzeli się spokojnie na chutorze. Na każde święta regularnie otrzymywali od dzieci życzenia.

Z czasem listy przychodziły każdego miesiąca, a nawet częściej. Było to już nie naiwne dziecięce pisanie, ale listy, w których zarysowywały się charaktery piszących. Tak na przykład Zosia zawsze wypowiadał się dosyć lakonicznie, że on prawie nędzarz wśród wychowanków, ale z zajęć frontowych pierwszy. Watia natomiast pisał bardziej szczegółowo. Skromnie donosił o swoich sukcesach, o ubóstwie nawet nie wspominał, a na temat swego dobrego i szlachetnego opiekuna zapisywał całe stronicie. Z jego listów można było dowiedzieć się o ubiorze, nawykach i zajęciach, słowem o codziennym życiu autora *Natałki Połtawki*, *Moskala-czarownika* i przenicowanej *Eneidy*.

Pod koniec czwartego roku nadeszły od dzieci listy o takiej treści:

„Najdrożsi Rodzice!

Końcowy egzamin zdałem doskonale: otrzymałem dobre oceny ze wszystkich przedmiotów, a z frontowych zajęć zostałem prymusem. Posyłają mnie do Szlacheckiego Pułku¹⁰⁸ w Petersburgu. Dlatego też proszę przysłać mi na początek ile tylko możecie pieniędzy na nieprzewidziane wydatki.

Wasz pokorny syn Z. Sokirin”.

— Sokirin, Sokirin — zły znak — powiedział Nykyfor Fedorowycz i otworzył drugi list.

„Moi łagodni i mili Rodzice!

Bóg pobłogosławił Wasze o mnie staranie i moją wy-
teżoną pracę. Zdałem egzamin prawie zadowolająco ku
wielkiej mojej radości i radości naszego ukochanego
przez wszystkich i poważanego dobroczyńcy, który
przesyła ukłony Wam i dostojnemu Stepanowi Marty-
nowyczowi. Po egzaminie otrzymałem cenną nagro-
dę: sam rektor wręczył mi publicznie przepięknie opraw-
ioną *Eneidę* Wergilego w języku łacińskim i w tym
samym czasie ogłosił, że zaszczycono mnie skierowa-
niem na wydział medyczny uniwersytetu na koszt pań-
stwa. Uniwersytet mogę sam wybrać. Dlatego proszę
o Wasze rodzicielskie błogosławieństwo i o radę, czy
wybrać charkowski czy bliższy, kijowski. Wolałbym
ten drugi, gdyż tam są wybitni profesorowie, szcze-
gólnie na wydziale medycznym. Pragnąłbym też być
bliżej Was, moi nieocenieni, moi mili Rodzice!

Czekam Waszego błogosławieństwa i rady i całuję
Wasze rodzicielskie ręce.

Pozostaję kochający i wdzięczny Wasz syn. S. Soky-
ra. P. S. Ucałujcie ode mnie niezapomnianego mego
Stepana Martynowycza. Wczoraj i dziś dobroczyńca
nasz skarży się na ból w nogach i w krzyżu. Z tego po-
wodu już trzeci dzień nie wychodzi z domu. Pomódl-
cie się razem ze mną o jego zdrowie drogocenne”.

Przeczytawszy list, Nykyfor Fedorowycz powiedział:

— No, chwała Ci Panie, choć jeden podobny jest
do człowieka.

— I to jeszcze do jakiego człowieka! — dodał Ka-
rol Josypowycz. — Ja wam powiem, że z niego wy-
rośnie doktor, magister, profesor, i to znakomity pro-
fesor medycyny i chirurgii, a na dodatek członek wie-
lu towarzystw naukowych. Zapewniam was, że tak
będzie. Oto i eskulap młody! — wykrzyknął bębniąc
po tabakierce.

— A z Zosi, myślicie, nic nie będzie? — zapytała Karola Josypowycza Paraskowija Tarasiwna.

— Broń Boże tak myśleć! On może zostać dobrym oficerem, pułkownikiem, generałem, a nawet marszałkiem polnym. Zależy to tylko od niego.

— Stukajcie, a będzie wam otworzone, proście, a będzie wam dane — rzekł półgłosem Stepan Martynowycz.

— To, co już było, widzieliśmy, a co będzie, zobaczymy — podsumował sucho Nykyfor Fedorowycz i poszedł do siebie na pasiekę.

Długo chodził wokół uli zdenerwowany jakimś mieszanym, niewyraźnym uczuciem pomiędzy radością a smutkiem. Uspokoiwszy się nadzieją na wszechobecną Opatrzność, wrócił do chaty, powtarzając powiedzenie Bohdana Chmielnickiego:

„Szczobude, to tej bude, a bude te, szczo Boh nam dast’ 109.

Na drugi dzień setnik napisał serdeczny i dziękczynny list do Iwana Petrowycza, a dzieciom posłał po 25 rubli, najpokorniej prosząc Iwana Petrowycza, aby wręczył je chłopcom. Jednocześnie błagał o łaskawą informację, jak synowie otrzymane pieniądze spożytkują. Interesował się tym, ponieważ — jak mówił — pieniądze w młodych rękach to rzecz niebezpieczna i jemu jako ojcu taką prośbę należy wybaczyć.

Sawatijowi radził wybrać uniwersytet kijowski. Prosił też Iwana Petrowycza, aby ustawił Zosyma tak, jak Bóg podpowie jego szlachetnemu sercu.

Miesiąc później mieszkańcy chutoru mieli szczęście ścisnąć Watię u siebie. W drodze do Kijowa namówił kolegów, aby zatrzymali się na dobę w Perejasławiu, gdyż chciał zobaczyć rodziców. Koledzy chętnie zgodzili się, tym bardziej że zaprosił ich na chutor.

Zosia również wyjechał z kolegami z Połtawy, ale w kierunku Charkowa, więc nie mógł wstąpić do domu.

Po pierwszych powitaniach Watia pobiegł do szkoły z drogą mu *Eneidą* w ręku. Znalazłszy swego wychowawcę w otoczeniu uczniów, co brzęczeli jak pszczoły wokół matki, rzucił się mu na długą szyję. Po pierwszym, drugim i trzecim pocałunku Watia podał nauczycielowi cenną książkę, mówiąc:

— Pan pierwszy odsłonił mi zasłonę łacińskiej mądrości, panu też należy się ta najmądrzejsza i najdroższa dla mnie książka łacińska.

Wzruszony Stepan Martynowycz ucałował podarunek. Obejrawszy oprawę, otworzył książkę i zobaczył między kartkami czerwony banknot. Było to dziesięć karbowańców od wdzięcznego Wati.

— Zapomnieliście o pieniądzach. Oto one.

— Nie, to panu przekazuje przeze mnie Iwan Petrowycz, aby zechciał je pan ofiarować swoim ubogim rodzicom. (W rzeczywistości była to reszta z 25 karbowańców przysłanych Wati do Połtawy).

Z radości Stepan Martynowycz zwolnił uczniów, aby pobawili się, a sam z Watią poszedł na chutor, trzymając w ręku otwartą książkę i deklamując wiersze sławnego poety. I gdyby Watia tak samo uważnie słuchał, jak Stepan Martynowycz czytał, to obaj znaleźliby się po kolana w kałuży, a tak w błoto wpadł tylko sam pedagog.

Spędziwszy w gościnie na chutorze dwie czy trzy doby, Sawatij zaczął szykować się do drogi, a jego koledzy tak byli zadowoleni z wiktów gościnnej Paraskowiji Tarasiwny, że ani myśleli o wyjeździe. Toteż nie mało zdziwili się, gdy Watia zaczął żegnać się ze swoimi przybranymi rodzicami. Nie było rady i oni też się pożegnali. W kilka dni później spacerując po Szu-

lawszczyźnie¹¹⁰, przygotowywali się do egzaminu wstępnego na uniwersytet.

W czasie swego pobytu na uniwersytecie Sawatij w każde wakacje przyjeżdżał na chutor i przeobrażał się w pszczelarza. Wtedy zaczęli już drukować w gazetach artykuły Prokopowycza na temat pszczelarstwa. Sawatij uważnie je czytał i nie bez sukcesu stosował w praktyce ku wielkiemu zadowoleniu Nykyfora Fedorowycza.

Czasem z Karolem Josypowyczem robili chemiczne doświadczenia, a nawet preparowali żabę według metody Magendie¹¹¹.

Wieczorami wszyscy zbierali się na ganku i Sawatij czytał głośno *Eneidę* Kotlarewskiego albo prawdziwą *Eneidę* Wergiliusza. Ponieważ student namiętnie lubił muzykę, szczególnie rodzinne smutne melodie, więc z niemałym powodzeniem brał u Nykyfora Fedorowycza lekcje gry na gęślach. Po dziesięciu lekcjach sam sobie akompaniował do piosenki:

Stała chmara nastupaty,
Staw doszczyk ity¹¹².

Do Kijowa student zawsze wracał z teczką miejscowych roślin i kilkoma pudełkami motyli oraz wszelkich owadów.

Podczas pobytu w Szlacheckim Pułku Zosia pisał systematycznie każdego miesiąca listy prawie jednokowej treści. Niektóre, a ściślej mówiąc większość z nich, stanowiły warianty następujących słów:

„Ja niebawem dzięki łasce bożej chorąży¹¹³, ale nie mam ani kopiejki”.

Z tego powodu Nykyfor Fedorowycz mówił:

— A będziesz oficerom i hroszi budut!¹¹⁴

Pewnego razu Watia napisał do brata, aby przysłał mu litografowaną reprodukcję obrazu *Ostatni dzień*

*Pompei*¹¹⁵ i na zakup posłał trzy karbowanice. Zosia mądrze pomyślał, że trzy karbowanice to pieniądze, a czymże jest reprodukcja? Arkusik zepsutego papieru — nic więcej. Więc napisał do brata, że o takim obrazie w Petersburgu nie słyszał i że pieniądze z czasem wyśle. Jeśli zaś chce, to na Newskim Prospekcie sprzedają wiele obrazów, może więc jeden z nich kupić i przesłać. Watia odpowiedział, żeby kupić jakikolwiek miedzioryt, jeśli nie można dostać *Ostatniego dnia Pompei*. Zosia kupił moskiewskie litograficzne groszowe dzieło *Cień Napoleona na wyspie św. Heleny*¹¹⁶ Watia otrzymawszy dzieło, nie mógł nadziwić się estetycznemu smakowi rodzzonego braciszka i znakomitą grawiurę rzucił do pieca.

Niebawem po spaleniu *Cienia Napoleona* głośne stały się *Martwe dusze*¹¹⁷. „Biblioteka dla Cztienija”¹¹⁸, a za nią i stateczni prawomyślni ludzie skrytykowali książkę i autora, uważając, że jest brudna i niemoralna, a autor jest siewcą szkodliwych intencji w dziedzinie wychowania szlachetnie urodzonej młodzieży.

Nie bacząc jednak na obrońców moralności i bojowniczkę o piękno rosyjskiego słowa, *Martwe dusze* rozleciały się po szerokim rosyjskim cesarstwie prędzej niż ptaki niebieskie.

Kilka egzemplarzy dostało się do Kijowa i trafiły, rozumie się, na uniwersytet. Inspektor z niezadowoleniem, a nawet ze strachem zauważył, że studenci zbierają się w grupy i coś ze śmiechem czytają. Początkowo pomyślał:

— Pewnie jakaś kanalia napisała na mnie paszkwil (co jest całkiem prawdopodobne). — Jednak zauważywszy, że studenci czytają książkę, poczuł w sercu ulgę.

Inspektor mało interesował się rozwojem literatury

ojczystej i nie należał do bandy dozorców moralności. Więc dowiedziawszy się, że książka nosi tytuł *Martwe dusze* (z pewnością makabryczna), machnął ręką i powiedział:

— A niechaj czytają, aby tylko nie pili na Chresty¹¹⁹ i okien nie rozbijali.

Jak widzimy, inspektor nie żywił żadnych obaw z powodu powieści *Martwe dusze*.

Sawatij początkowo uważnie słuchał *Martwych dusz*, potem ze skupieniem przeczytał powieść, a przeczytawszy powziął gorące postanowienie za wszelką cenę zdobyć książkę i podczas wakacji czytać ją głośno na chutorze.

Zebrawszy wszystkie drobne i pożyczwszy półtora karbowanca udał się do biura ubezpieczeń na życie, które było równocześnie księgarnią. Zapytał, czy są *Martwe dusze*, a księgarz tylko oczy wytrzeszczył. Wydało mu się, że klient pyta o te martwe dusze, które ubezpieczyły swój ziemski pobyt w jego biurze. Zwróciwszy się do interesanta, odpowiedział, że są tylko dwie.

— Proszę bardzo o jeden egzemplarz.

Księgarz znów znalazł się w położeniu bez wyjścia.

— Pan mnie nie rozumie. Czy otrzymał pan książkę pt. *Martwe dusze* Mikołaja Gogola?

— Nie, nawet ogłoszenia nie czytaliśmy.

— Więc nie ma nadziei, żeby kiedykolwiek otrzymać ją od pana — powiedział Sawatij i wyszedł na ulicę. Chciał iść do Glücksberga, ale przypomniał sobie, że tam rosyjskich książek nie sprzedają. Wstąpił więc do domu, napisał do brata list, włożył do koperty pieniądze i odniósł na pocztę. Biedaczek! Zupełnie zapomniał o *Cieniu wielkiego Napoleona*.

Po upływie miesiąca Sawatij otrzymał zawiadomienie z poczty, że na jego nazwisko nadeszła przesyłka

o wartości pięciu karbowanów srebrem. Ucieszony udaje się do inspektora, a od niego prosto na pocztę i pyta o przesyłkę, którą mu oddają. Pomacał — miękkie.

— Ona! — powiedział i wybiegł z poczty.

Na ulicy przeciął sznurek składanym scyzorykiem i rozpakował przesyłkę. Popatrzył na książkę i z przerażeniem przeczytał:

— *Niklas-Niedźwiedzia Łapa* ¹²⁰.

Pociemniało biedakowi w oczach i otwarta przesyłka wypadła mu z rąk. Postawszy chwilę, poszedł smutny przed siebie, a książka została na ulicy, dopóki jej nie znalazł jakiś biedak. Obejrzawszy ją uważnie, ruszył prosto do szynku. Szynkarz miał okazję nabyć za szalkę ¹²¹ wódki utwór nieśmiertelny. Jako człowiek piśmienny i dociekliwy z lubością czyta w wolne chwile, a nawet głośno swoim spóźnionym gościom.

W przesyłce nie było listu, ale była lakoniczna arcy-naiwna notatka: „*Martwe dusze* zakazane. I cenzor, i autor siedzą w fortecy. Przesyłam ci znakomitą książkę *Niedźwiedzia Łapa*. Twój brat”. I podpis.

Nie bacząc na to, że cenzor i autor siedzieli w fortecy, *Martwe dusze* niebawem pojawiły się w biurze ubezpieczeń na życie i swobodnie były sprzedawane.

Watia, idąc pewnego razu koło biura, zobaczył egzemplarz powieści na wystawie. Dobrze, że nie znał notatki brata, bo musiałby go nazwać niegodziwym kłamcą.

Przeczytawszy kilka razy z upodobaniem tekst z okładki, Watia postanowił za wszelką cenę kupić cenną książkę, tym bardziej że zbliżały się wakacje.

Po uroczystości zakończenia zajęć tego samego dnia oddał w zastaw uniform jako rzecz teraz całkiem niepotrzebną. Za otrzymane na niewielki procent pieniądze kupił upragnioną książkę, którą miał wielką

przyjemność czytać głośno na chutorze. Wieczorami czytał na ganku, zaś we dnie pod lipą w pasiece.

Setny już raz czytał prawie na pamięć uważnie słuchającej Paraskowiji Tarasiwnie *Opowieść o kapitanie Kopiejkinie*¹²², gdy na podwórze swoją biedką wjechał Karol Josypowycz i z daleka pokazał list. Wobec tego opowieść o Kopiejkinie, rzecz zrozumiała, została przerwana. Czytanie listu rozpoczął sam Nykyfor Fedorowycz naprzód po cichu.

Zapoznawszy się z listem, setnik rzucił go na podłogę i ze złością powiedział:

— Wie tylko tyle, ile pieniędzy żądać. Trzysta rubli — to nie żarty! — Po tych słowach setnik poszedł do pokoju, a za nim podążył Karol Josypowycz.

Paraskowija Tarasiwna ostrożnie podniosła list, podała go Wati i prosiła, aby przeczytał (sama bowiem знаła tylko drukowane litery), ale nie tak głośno jak o tym kapitanie. Więc Watia czytał półgłosem:

„Drogocenni Rodzice moi!

Z łaski bożej zostałem chorążym gwardii przybocznej grenadierskiego pułku, a Wy sami powinniście wiedzieć, na jakiej stopie powinien żyć oficer gwardyjski. Tu nie Połtawa i nie mizerny Perejasław, a jak mówią dobrzy ludzie, stolica. Dlatego też na pierwsze wyposażenie potrzeba mi co najmniej 300 rubli srebrem. Wasz syn Z. Sokirin”.

Watia przeczytał list, złożył go i oddał matce.

— Przeczytaj całość i wtedy mi oddaj, a ja go schowam.

— Przeczytałem wszystko.

Biedna matka nie wierzyła, policzyła rzędy liter, a przekonawszy się o prawdzie gorzkiej rzeczywistości, rzuciła list pod stół i zakrywszy oblicze rękami gorzko zapłakała.

Biednaś ty i nieszczęśliwa! To tylko kwiatki, a za-
truty owoc jeszcze się nie zawiązał.

Po kilku dniach setnikowa ze łzami w oczach wy-
błagała u męża trzysta karbowanćów. Ponieważ set-
nik nie chciał pisać listu, a Watia już wyjechał, więc
sama cerkiewnymi literami wypisała takie posłanie:

„Zosiu mój, orle mój! Wyplakałam, wybłagałam
i wysyłam ci pieniądze, ale Nykyfor Fedorowycz gniewa
się na ciebie”.

Włożyła pieniądze do listu i sama zawiozła na pocztę.
Pocztmistrz wielce się zdziwił, widząc list z pie-
niędzmi bez adresu na kopercie. Pojechała więc do
Karola Josypowycza, który kopertę zaadresował i list
został wysłany.

Otrzymawszy pieniądze, gwardyjski chorąży nie
zwrócił uwagi na list, a ściślej mówiąc na opakowanie.
Jednak jego kolega podniósł go i przeczytawszy, scho-
wał do kieszeni. Na drugi dzień pismo pokazał puł-
kowej braci w sali ćwiczeń. I zaczęła się uciecha. Po-
czątkowo Zosia nie pojął, o co chodzi, a gdy zrozumiał,
to pewnego pięknego poranka po ćwiczeniach zaprosił
całą zacną kompanię do restauracji Saint-George'a¹²³
na rozkoszne śniadanko.

Wypiwszy, podał następującą informację w sprawie
lakonicznego listu. W Połtawie ma on kochankę, bo-
gata, niepiśmienną kupcową. Kradnie ona mężowi
pieniądze i obdarza nimi waszego pokornego sługę.

— Ura! — zaryczała kompania. — Za zdrowie wszy-
stkich niepiśmiennych kochanek!

Toasty powtarzały się do samego wieczora. Wieczo-
rem zaś bractwo ruszyło podziwiać Taglioni¹²⁴, rozu-
mie się na rachunek szczęśliwego kochanka.

Nie minęło pół roku, gdy na chutor przyszedł list
takiej treści:

„Przez was, delikatni i troskliwi Rodzice, muszę porzucić gwardię i prosić o przeniesienie do armii, dlatego że jestem biedakiem, a u was skrzynie pękają od złota.

Wasz szlachetny syn Sokirin”.

Przyczyna przeniesienia Sokirina do armii była następująca:

Pewnego razu u Marcinkiewicza¹²⁵, w tej sławnej szkole tańca (którą odwiedzał regularnie co piątek), rozpoczął w pijanym stanie bójkę z również pijanymi Czerkiesami o podejrzanego autoramentu dziewczęcę. Nie obeszło się bez interwencji policji. Koniec był taki, że Czerkiesom jako Azjatam przebaczone, zaś Sokirina — Europejczyka przeniesiono w tym samym stopniu do armii.

Po tym przeniesieniu nastąpiło drugie, tylko już nie było potrzeby zmyślania nowych historyjek przez mego birbanckiego bohatera, gdyż przerwał on wszelką korespondencję, jak się wyraził, ze sknerami, to jest ze swoimi dobroczyńcami.

Przed pisarzem bardziej płodnym niż ja, grzesznik, i lepiej obeznanym z bytem wojskowym bardzo licznej szlachetnej młodzieży, przed takim właśnie pisarzem otwiera się szerokie pole, obsiane takimi gorzkimi nasionami, że gdy płody jego dojrzeją, to potomkowie nasi nie będą musieli kupować aloesu¹²⁶.

Utalentowany zaś pisarz, jak dobry ogrodnik, mógłby po trochu wrywać chwasty z pszenicy. I to byłoby właściwe. Ale utalentowani pisarze, którzy znają ten byt, więcej uwagi poświęcają sołdackim przysłowiom i smutnym, choć z pozoru chwackim pieśniom.

Chcąc nie chcąc, muszę wyjaśnić przyczynę przeniesienia mego bohatera z armii do wewnętrznej straży, to jest do astrachańskiego batalionu garnizonowego.

W mieście Niżyn kwaterował armijski pułk piechoty NN. Do tego pułku przenieśli mego przyjaciela. Zamieszkał on w białej chatce z sadem i kwietnikiem, akurat naprzeciwko greckiego cmentarza. Już pierwszego dnia zobaczył na klombie taki kwiatek, że aż mu ślinka poleciała. Tym cudownym kwiatem była młoda piękna dziewczyna, jedyna nadzieja najuboższego starego mieszczanina wdowca Makuchy.

Dalszy ciąg i koniec powieści, cierpliwi czytelnicy, wiadomy. Nie mam zamiaru fatygować was powtarzaniem tysiąca i jednej, niestety, nie wymyślonej powieści lub poematu w tym płaczkowym rodzaju, co *Eda Boratyńskiego*, *Katarzyna Szewczenki* i *Nieszczęsna Oksana Osnowjanenki*¹²⁷. Dalszy ciąg i zakończenie takie same, z tą tylko różnicą, że przyjaciela mego mało nie zmusili do ożenku z mieszczką Jakyłyną, córką Makuchy. Tymczasem dobry stary dowódca pułku stanął w obronie swojego oficera. Dobry więc stary dowódca pułku nie mógł nic innego wymyślić, jak niebawem przenieść oficera. Toteż oficer następnego dnia wystąpił z prośbą o przeniesienie, a tymczasem odwiedził Jakyłynę, która już ledwie chodziła. Zapewniał jej starego ojca, że lada dzień otrzyma listowne błogosławieństwo rodziców. Gdy nakaz przeniesienia był gotów, Zosym z radości wstąpił do tak zwanej cukierni Nemynaja i nieźle wypiwszy przed wyjazdem, zaczął opowiadać jakiemuś nietrzeźwemu, ale bogatemu Popandupulo, swoją rycerską historię. Oficer opowiadał tak zachwycająco, że bogaty Grek nie wytrzymał i trzasnął go pięścią w pysk. Oficer oddał Grekowi, a Grek znowu oficerowi i tak się rozpoczęło. Starszy Grek szybko się zmęczył. Właśnie w tym czasie zjawiał się obrońca pokoju w osobie horodniczego i nakażał walczących aresztować. Rozpoczęło się dochodzenie. Bogatego kupca Greka zwolniono, a szlachetnego

biednego oficera ożeniono z mieszczką Jakyłyną i przeniesiono do astrachańskiego batalionu.

O, moja biedna Jakylyno! Gdybyś mogła przewidzieć swoje nieszczęście, swoją przyszłą gorzką dołę, uciekłabyś do lasu, albo utopiłabyś się w zgniłym Ostrze i nie brałabyś ślubu ze szlachetnym oficerem. Lecz ty, naiwna mieszczanko, w głębi swej czystej duszy uwierzyłaś pustym słowom, że czuła miłość poskramia nawet dziką bestię. Jest to tylko frazes i nic więcej. A ty, głupiutka, myślałaś, że to jest prawda. Biedna, jakże drogo zapłaciłaś za swoją prostoduszność! Zginęłaś. Nie uratowała cię od złego losu ani czuła miłość do pijanego potwora, ani nawet jedyna twoja nadzieja złota — twój jedynak, twoje cudowne dziecko. Oboje poniewieraliście się na brudnej ulicy astrachańskiej, dopóki nie zabrała was i nie pochowała wielkoduszna policja.

Mimo tych wszystkich swawolnych wyczynów przyjaciel mój bliski był osiągnięcia stopnia kapitana, zaś jego brat zaledwie kończył uniwersytet Świętego Włodzimierza. Po egzaminach otrzymał tytuł lekarza z uposażeniem według dwunastej grupy. Po uroczystości zakończenia studiów oświadczone mu, że decyzją władz jako stypendysta państwowy otrzymuje skierowanie do orenburskiego trzeciorzędnego szpitala. W kancelarii wypłacili mu awansem trzecią część uposażenia, należność za koszty przejazdu i delegację. Jako ubogi absolwent szybko pożegnał się z kolegami i już następnego dnia bez wielkiego żalu opuścił, być może na zawsze, stary Kijów. Koledzy chcieli odprzewodzić go choćby do Riazanowa, ale oczywiście zapali, bo Sawatij przeprowił się przez Dniepr przed wschodem słońca, a do Browar przyjechał akurat wtedy, gdy dozorczyńni Turczynka rozdmuchiwała w sieni na letniej kuchni ogień, aby ugotować kawę. Wypiwi-

szy niedrogo szklanekę kawy i kupiwszy też tanio flaszkę browarnianego likieru (wynałazek tejże dozorczyńni Turczynki), już wieczorem na ganku rodzinnego chutoru wesoło opowiadał życzliwym słuchaczom o swoim egzaminie.

Sawatij postanowił spędzić dwa tygodnie na chutorze, być może ostatnie w gronie najbliższych i najdroższych dłań ludzi.

Nie bacząc na jednostajność wiejskiego, a tym bardziej chutorskiego życia, dni miały jak sekundy. Takie one są w ogóle, szybkie w radości i powolne w smutku. Gdyby na chutorze wszyscy, nie wyłączając Maryny, życzyli szybkiego końca tym dwom fatalnym tygodniom, to trwałyby one przynajmniej miesiąc. Jednak dlatego, że wszyscy pragnęli oddalić smutny dzień rozłąki, to on ku strapieniu wszystkich zbliżał się zbyt szybko.

W przededniu wyjazdu, po obiedzie, Nykyfor Fedorowycz wziął Sawatija pod rękę i jak zwykle zaprowadził do pasieki. Niedaleko od celu zatrzymał się i wskazując na dwie wspaniałe lipy, które rosły u wejścia do pasieki, powiedział:

— Te dwa drzewa przywiozłem z biskupiego gaju w Andruszach tego samego roku, kiedy znaleźliśmy was na chutorze. Posadziłem je na pamiątkę owego radosnego wydarzenia. Patrz, jakie one teraz szerokie i wysokie, i jaki mają wspaniały kwiat. Niestety, nie dał mi Bóg na starość widzieć was takimi pięknymi, jak te lipy. Twój brat zhańbił szlachetną naturę człowieka. Znieważył wszystko, co jest święte na ziemi, w osobie waszej najczulszej, choć nie rodzonej matki, a mojej dobrej żony. O mnie mógł zapomnieć: jestem człowiekiem surowym i nie lubię zbędnych czułości w stosunkach z dziećmi. Lecz ona, moja biedna męczennica, oczu zeń nie spuszczała. I cóż teraz? Piąty już

rok nawet wieści o sobie nie przysłał. Jakby utonął. Ona biedna dzień i noc modli się za niego i płacze. Prawda, moja wina... Ale to było jej pragnienie, aby został oficerem, a nie szlachetnym człowiekiem. Trzeba skosić, co się posiało.

Z powagą weszli obaj do pasieki, usiedli pod lipą i Nykyfor Fedorowycz mówił dalej:

— Tak, ciężko, bardzo ciężko kończyć dni swoje i nie wiedzieć, jak realizują się nasze nadzieje. Ty, Watiu, jedziesz teraz do takiego dalekiego kraju, o którym u nas nikt nie słyszał. Pisz do starych. Nie leń się, opisuj wszystko, co zobaczysz i co się z tobą będzie działo. Pisz o wszystkim. To dla nas samotnych i starych będzie i nowe, i pouczające. A jeśli na obczyźnie będziesz miał jakąś potrzebę, pisz do mnie jak do lombardu, z którego wysłałiby ci twoje własne pieniądze. Zawsze dla ciebie będę miał jakieś czterysta rubli. A tymczasem daję ci trzysta, tyle samo, ile posłała Zosi moja stara. Droga daleka, a droga lubi pieniądze. — I setnik podał paczkę banknotów.

Sawatij odmówił ich przyjęcia, wyjaśniając, że drogę ma opłaconą i że otrzymał trzecią część pensji. Jeśli zaś na miejscu będzie potrzeba, to napisze, bo pieniądze to w drodze kłopot.

— No, jak uważasz. Nie będę cię uczyć. Kto pieniędzy nie potrzebuje, ten jest bogatszy od bogacza. Powiedziałem ci, Watiu, wszystko, co miałem na sercu. I jeszcze raz proszę: nie zapominaj nas starych, szczególnie matki. Ona biedna milczeniem Zosi jest całkowicie przynębiona.

Potem setnik udał się, jak zwykle, pod słomiany dach na odpoczynek. Sawatij wziął do ręki *Eneidę* Kotlarewskiego i przeczytał kilka stron półgłosem, czym ukołysał starego do snu. Zauważywszy, że monotonnym czytaniem osiągnął upragniony cel, lekarz

zamknął książkę, wstał i cicho wyszedł z pasieki. Do samego wieczoru błądził wokół chutoru, rozmyślając o swojej nieznannej przyszłości.

Wieczorem, gdy wszyscy zebrali się na ganku, pojawił się i Sawatij. Po kilku wypowiedzianych bez zastanowienia słowach, jakby przypomniał sobie nagle o czymś ważnym. Toteż zwracając się do Nykyfora Fedorowycza rzekł:

— Już dawno chciałem przyjrzeć się skrzypcom ojca, tylko wciąż zapominam, a przecież mówił ojciec kiedyś, że to drogi instrument.

— Tak, nawet bardzo drogi, tym droższy, że na nim grał mój dobrodziej, odpoczywający w pokoju ojciec Hryhorij. Zapisał mi je przed śmiercią.

— Pozwólcie chociaż na nie spojrzeć.

— Popatrz, popatrz, ale co ty w nich zobaczysz?

— Może i coś zobaczę.

Po tych słowach Watia udał się do pokoju Nykyfora Fedorowycza, wyjął skrzypce z futerału, brzęknął na strunach, a wszedłszy do wielkiej świetlicy, zagrał początkowo melodię, a potem wariacje Lipińskiego¹²⁸ na temat znanej pieśni czerwonoruskiej:

Czy ja taka urodyłaś,
Czy bez doli ochrestyłaś? ¹²⁹

Efekt był nadzwyczajny. Prawie dwie minuty siedzieli słuchacze jakby zaczarowani. Pierwszy podniósł się z ławki Nykyfor Fedorowycz, wpadł do świetlicy, ze łzami w oczach uściskał wirtuoza i rzekł:

— Synu mój, radości moja! Nadziejo moja złota! Kiedy i gdzie nauczyłeś się grać na skrzypcach tę boską pieśń?

Sawatij opowiedział, że przypadkowo spotkał w Ki-

jowie, prawdę mówiąc na Chrestach, siwego staruszka skrzypka, który tak grał, że włosy stawały dęba.

— Zaznajomiłem się z nim. Prosiłem, aby mnie odwiedzał. To on nauczył mnie nie tylko grać na skrzypcach, ale czuć i rozumieć muzykę.

— Napisz do Kijowa, niechaj przyjedzie do mnie ten boży człek. Wszystko, nawet moją pasiekę, mu oddam.

— On już nie żyje. Na swoich barkach wyniosłem go na Szczekawicę¹³⁰.

— Dzięki ci, dziecko moje jedyne, żeś przykrył ziemią ciało wielkiego człowieka.

— Otóż to — ciągnął dalej poważnie. — Długo myślałem, komu zostawię, komu przekażę mój drogi spadek: moje skrzypce, gęśle i książki. Myślałem czasem, grzeszny, do grobu je zabrać ze sobą, gdyż nie widziałem wokół siebie człowieka godnego władać takim dobrem. Teraz widzę takiego człowieka. Jesteś nim ty, moja nadziejo! Weź sobie skrzypce już teraz. A książki i gęśle otrzymasz w spadku po mnie z całym moim dobrem. Tymczasem niechaj pocieszają naszą samotną starość.

Setnik podszedł do gęśli, otworzył je, brzęknął w struny, pogładził rękami swą gęstą, szeroką brodę (on już nosi ją od trzech lat), niczym jaki Osjan¹³¹, uderzył w struny —

I wieszczije zarokotali¹³².

Po takim preludium zaśpiewał swoim starym, drżącym, ale natchnionym głosem. Dołączył doń swój świeży tenor Sawatij i razem zaśpiewali:

U stepu mohyla
Z witrrom howoryła:
Powij, witre bujneseńkyj,
Szczob ja ne czorniła¹³³.

Karol Josypowycz, choć taki był twardy, też nie wytrzymał, opuścił świetlicę i wyjął z kieszeni chusteczkę. Gdy zaśpiewali:

Łetyt' oreł czerez more:
Oj, daj, more, pyty!
Tiażko, ważko syrotyni
Na czużyni żyty...¹³⁴

Karol Josypowycz już do świetlicy nie mógł wrócić, pozostał na ganku dotąd, póki nie odjechał swoją biedką do miasta.

Na drugi dzień zaproszono na obiad pokrowskie i błahowiszczeńskie duchowieństwo¹³⁵. Na początku sam prałat przeczytał akafist¹³⁶ do Przenajświętszej Bogarodzicy, a Stepan Martynowycz ze swoim szkolnym chórem odśpiewał *O opiewana Matko*. Potem razem odprawiono nabożeństwo, a Stepan Martynowycz, w liturgicznej szacie, czytał *Dzieje Apostolskie*. Po zakończeniu modłów zaśpiewano chórem trzykrotnie *Mnohaja lita*¹³⁷.

Obiad dla duchownych podano w świetlicy, zaś dla uczniów na deskach przed domem. Po obiedzie sama Paraskowija Tarasiwna wydała uczniom po knyszu¹³⁸, po plastrze miodu i po piątku.

Pod wieczór, gdy Sawatij Nykyforowycz zmieniał konie na pierwszej stacji, wielce się zdziwił ujrawszy wśród swoich rzeczy beczkę miodu i worek jabłek.

W Połtawie odwiedził dom nieżyjącego już Iwana Petrowycza. Przywitała go ślepa Hapka i młody, niezgrabny człowiek. Odprawiwszy w domu nabożeństwo za spokój duszy swego dobrodzieja, lekarz wyjechał z Połtawy pogrążony w zadumie. W myślach swych błogosławił pamięć dobrego człowieka. Objechawszy sobór, skierował się w dół obok ciemnej, drewnianej

cerkwi z trzema kopułami, którą zbudował Martyn Puszkar¹³⁰. Zatrzymał pocziarza i długo patrzył, ale nie na zabytek architektury XVII wieku, lecz na białą chatę w zielonym sadku po przeciwnej stronie ulicy. Przechodnie myśleli, że on prosił o wodę i że jakoś długo jej nie podają. Chata wydawała mu się pusta, więc już miał rzec pocziarzowi: — ruszaj, gdy raptem w rozbitym oknie chatki ukazała się młoda kobieta z dzieckiem na rękach. Lekarz drgnął, patrząc na kobietę, i ledwie wykrztusił z siebie:

— Można wstąpić?

— Można — odpowiedziała kobieta, więc lekarz zeskoczył z wozu, przeszedł przez przełaz w płocie i znalazł się w chatce.

— Dzień dobry, Nastko! Poznałaś mnie?

— Nie. — Kobieta zarumieniała się i drgnęła.

Długo i smutno patrzył na jej cudowną, z gracją opuszczoną ku piersiom głowę. Ona też milczała. Gdyby nie drgały na jej piersiach zakładki białej koszuli, można by pomyśleć, że zamieniła się w kamienną rzeźbę. Rumieniec zniknął, a lica pokryła bladość. Zdawało się, że jasnowłose dziecko bawi się w objęciach marmurowej Penelopy. Sawatij wziął ją za rękę i zapytał:

— Nie poznałaś mnie, Anastazjo?

— Poznałam. Jeszcze na dworze poznałam, tylko wstyd było mi się przyznać — mówiła.

Z jej piwnych, pięknych oczu popłynęły ogromne łzy. Dziecko wyciągnęło ręce do Sawatija i gaworzyło:

— Tata, tata!

— Jadę daleko, Nastko, i wstąpiłem, aby się pożegnać.

— Dziękuję wam! — powiedziała szeptem.

— Zegnajże, moja Nastko! — Lekarz pocałował ją

w policzek i szybko wybiegł na ulicę. Siadł do pojazdu i odjechał.

Nastka długo stała w miejscu i szeptała.

— Żegnajcie, żegnajcie... — Popatrzawszy na dziecko, gorzko zapłakała.

Przejechawszy most na Worskle, Sawatij popatrzył w kierunku Połtawy. Zdawało się, że szukał oczyma białej chatki, która już dawno schowała się w zieleni.

— Już jej nie widać — powiedział cicho i utkwiał wzrok w zanurzonej w zieleni sadów Połtawie. Uwagę jego zwrócił budynek jakby przylepiony na górze koło soboru i maleńka kamienna wieżyczka, Bóg wie po co wybudowana naprzeciwko drogiej mu chatki po drugiej stronie jaru. Ta na wpół zrujnowana wieżyczka wiele przypominała memu smutnemu bohaterowi. Patrząc na nią, przywoływał w myślach ten czas, kiedy w każdą niedzielę przychodził z gimnazjum i nieraz chował się w niej, bawiąc się w ciuciubabkę z jasnowłosą, zwawą wnuczką Hapki, Nastką, obecnie matką takiego pięknego dziecka, jakim sama kiedyś była.

Piękna była trzynastoletnia Nastka, bardzo piękna, szczególnie w niedzielę, gdy przychodziła do babki na cały dzień w gości. Wepnie, bywało, we włosy czerwona wstążkę, powplata rozmaite kwiaty, a gdy czereśnie dojrzeją, to i czereśnie. Z samego rana biegnie do babki, siądzie sobie, niby dorosła, koło chaty i zamysli się. O czymże mogła myśleć trzynastoletnia dziewczynka?

Myślała o tym, czy wcześniej wstaną panicze i czy pójdą do cerkwi — to i ona wtedy pójdzie z nimi.

— A gdy opuszczą cerkiew i zjedzą obiad, pobawimy się w ciuciubabkę. Schowam się w komórce na górze, a Watia przybiegnie i odnajdzie mnie — myślała Nastka i czerwieniła się mocniej od swej wstążki,

kwiatów i czereśni. W zapomnieniu nieraz krzyknęła:

— Ach!

— Czegoż ty tam achasz? — pytała Hapka, wysunąwszy głowę przez okno.

— Zaba, babciu!

— Przecież ona nie gryzie, tylko gdy skoczy na nogę, brodawka będzie. Idź do chaty, zmarzłaś!

— Nie, babciu, nie zmarzłam. — Nastka zostawała koło chaty i znów zamyślała się.

Wati minęło szesnaście, a Nastce piętnaście lat, gdy chowali się przed Zosią gdzieś w burzanach albo uciekali aż za Worskłę. Nieraz nazbierali przeróżnych kwiatów i usiedli, by odpocząć pod dębami.

Watia splecie wianek z kwiatów, położy go na główkę Nastki i patrzy na nią cały dzień aż do wieczora. Później wzięwszy się za ręce przyjdą do domu i nikt ich nie zapyta, gdzie byli i co robili. Zosia tylko czasem powie:

— Widzisz, uciekli i nie wzięli mnie ze sobą!

Minął jeszcze rok i dziecięca miłość przestała być miłością dziecięcą. Nastka wyrosła na smukłą, urodziwą szesnastoletnią dziewczynę, a Watia na siedemnastoletniego pięknego młodzieńca. Nocami nie mógł spać. Nastka również. W sadzie swym pod górką śpiewała do północy:

Ziyszła zoria iz wieczora,
Ne nazoryłasiasia... ¹⁴⁰

Watia, stojąc na górze, do północy słuchał, jak śpiewa Nastusia.

Niebawem rozpoczęły się drżące uściski rąk, przelotne pocałunki i długie wieczorne wystawanie pod wierzbą. Prawda, że spotkania te kończyły się długimi pocałunkami. Watia w tych sprawach był prawdziwym rycerzem... Jednak szatan jest potężny i Bóg wie,

czym mogłyby się zakończyć nocne schadzki pod wierzbą, gdyby Watia nie zdał celująco egzaminu i niespodziewanie nie wyjechał do Kijowa. Była to jego pierwsza i, można sądzić, ostatnia miłość.

W Kijowie, spacerując nieraz przed wieczorem w wielkiej alei parku, spotka ślicznotkę, ale chłód go owionie i oszołomiony młodzian długo stoi w miejscu, patrząc na migoczącą w tłumie piękność, aż opamiętawszy się, szepcze:

— Nie pora — i zwraca oczy na oświeconą zachodzącym słońcem panoramę starego Kijowa. Potem zbiega w dół tarasami i wychodzi na Chreszczatyk¹⁴¹. Przychodzi do domu, zapala świecę i bierze się do jakiejś encyklopedii, zanurza się w atramencie razem z piórem i w jasne ognisko swojej samotnej młodości.

W Zosi równie wcześnie obudziło się coś na kształt namiętności do Olimpiady Karliwny, dorosłej córki inspektora, i tak samo zostało przerwane nagłym jego wyjazdem do Szlacheckiego Pułku. A kiedy ów piękny, smukły młodzieniec wdział mundur gwardyjski, poczuł w sobie tajemniczą siłę magnesu do pięknych oczu. Zosia nie opanowywał się w świętym drzeniu, ujrzawszy urodziwą kobietę, a piękne jego oczy pokrywały się mętną wilgocią albo pały ogniem szalonego tygrysa. Nie zważał na to, czy była to zamężna kobieta, czy panna, zalecał się nie zadając sobie pytań, i prawie zawsze z powodzeniem. Zosia stał się prawdziwym Don Juanem z załączkiem jeszcze jakichś namiętności, które hańbią człowieka.

Po przybyciu do Astrachania Zosym w kołach morskich i garnizonowych oficerów zyskał sławę chwata do wszystkiego, to znaczy krętacza, w języku wojskowym to trywialne słowo zastąpiono wyrazem „chwat”.

Otóż przyjechawszy do Astrachania Sokirin ukrył swoją Jakylynę i synka w brudnym zaułku na Swistunie¹⁴², a dla siebie wynajął kwaterę w mieście. Żonę zapewniał, że taki stan rzeczy wynika z wymogów służby. Naiwna uwierzyła mu. Tylko dowódca batalionu i jego adiutant z personalnego formularza wiedzieli, że Sokirin jest żonaty. Domyślał się tego również policjant, gdyż w podległym mu kwartale mieszkała sztabskapitanowa Sokirina. Pozostali astrachańscy mieszkańcy nawet nie domyślali się niczego.

Mamusie natomiast widziały w nim przyzwoitą partię dla swoich przywiedłych już Kaś i Oleniek. Kapitan patrzył na to wszystko obojętnie, robił co chciał, pił czysty rum, a na czychyr¹⁴³ — nawet spojrzeć nie chciał, nazywając go ormiańskim kwasem.

Do tego wszystkiego przejawiał genialne zdolności do pożyczania pieniędzy, których nie oddawał. Z tego powodu nazywano go często nie Nozdriewem¹⁴⁴ (astrachańskie wykształcone towarzystwo wtedy jeszcze nie słyszało o *Martwych duszach*), a po prostu szachrajem. Kapitan do nikogo jednak nie miał o to pretensji. Cudowny temperament! Może właściwiej byłoby powiedzieć, do czego może doprowadzić siebie człowiek w odpowiednim towarzystwie!

W niedzielę i święta Sokirin pilnie uczęszczał do ormiańskiej cerkwi i na zamiejskie ormiańskie hulanki, gdzie niebawem pozyskał sobie niejednego birbanta, szczególnie z grona synów bogatych i starych rodziców. Wśród niezliczonych jak sziołó w¹⁴⁵ pojawiały się karty i zaczynała zabawa prawie zawsze kończąca się bijatyką, toteż kapitan nieraz wracał do miasta z uszkodzonym „portretem”. W takich wypadkach odwiedzał on swoją biedną żonę Jakylynę, zapewniając, że chciał kupić jej turkmeńskiego argamaka¹⁴⁶ przywiezionego z twierdzy Nowopietrowskiej,

dosiadł go na próbę i oto, co się stało. Żona, naturalnie, wierzyła, a on meldował się jako chory i czekał, aż „portret” nabierze należnego wyglądu. W tym czasie znaczył karty, co wywoływało niemałe zdziwienie Jakyłyny. Podgoiwszy „portret” i poznaczywszy karty kapitan zniknął, by po jakimś czasie znów zjawić się w celu leczenia „portretu”.

Innym razem zapewniał Jakyłynę, że chciał kupić jej u kupca NN wiatską trójkę koni i oto co narobiła ta przeklęta trójka.

Historia z „portretem” powtarzała się tak często, że prostoduszna Jakylyna zaczęła podejrzewać coś złego.

Zimą 1847 roku kapitan nie zjawiał się u Jakyłyny z uszkodzonym „portretem” prawie trzy miesiące. Poczekała więc jeszcze miesiąc — nie ma, jeszcze miesiąc — nie ma i nie ma. Myślała już, że może go, broń Boże, zabiły konie, gdy pewnego pięknego poranka zjawił się łącznik z głównego odwachu i powiedział:

— Ich wielmożność nakazują wam, aby wasza wielmożność dali im dwadzieścia kopiejek albo coś z rzeczy...

— Jaka wielmożność? — krzyknęła z przestraczem.

— Jego wielmożność, kapitan sztabowy Zosim Nikiforowicz.

— Gdzież on jest?

Łącznik z początku uśmiechnął się, ale ponieważ też był Ukraińcem, więc kapitanowa zrozumiała, o co chodzi. Prędko ubrała się, wzięła Hrycia za rękę i powiedziała mu:

— Idziemy!

Biedna, ty zakończyłaś i śledztwo, i sąd — sama tego nie podejrzewając. Kapitana trzymali na odwachu i sądzili za różne przestępstwa, często w śledztwie nie udowodnione. Ty zaś swoim zjawieniem się wszy-

stko zakończyłaś. Przed wszystkimi strażnikami nazwałaś go swoim mężem, a przecież w mieście wiadomo było, że jest on zięciem Ormianina NN. Tak samo wszystkim w mieście wiadomo było, że piękna Ormianka pozwoliła porwać się w tajemnicy i wziąć ślub w Czarnym Jarze¹⁴⁷. Wiadomo, że kapitan jako prawdziwy bohater romansu ani słowem się temu nie sprzeciwił, zapaliwszy się bardziej do czerwieńców szanownego ojczulka niż do pięknych oczu swojej ukochanej.

Ambitny Ormianin chętnie mu przebaczył, ale w sprawie posagu lakonicznie powiedział:

— Czeka!¹⁴⁸

— Zle! — pomyślał mój rycerz. — Malutko dał grosza. Trzeba będzie uderzyć z innej strony.

Przyszedłszy do domu, zaczął z początku wymyślać, a potem namawiać i prosić swoją Ormianeczkę, żeby okradła ojca, tłumacząc, że dla jej szczęścia jest to konieczne, gdyż ojciec, stary sknera, umrze z głodu, a pieniądze ukradnie kucharka. Nie bacząc na wszystkie argumenty kapitana Ormianeczka zdecydowanie powiedziała:

— Czeka!

— Jak czeka, to czeka! Użyję innych środków.

Kapitan wypędził Ormiankę z mieszkania, zabrawszy jej salopkę i drogie paciorki.

— Za straty i ubytki — powiedział.

Po tej katastrofie kapitan zaczął pomnażać swoje nikczemne, trudne do opisanego występki, aż wreszcie doszło do tego, że go posadzili na odwachu.

Zanim mu prawnie udowodniono, że jest krętaczem na dwie ręce, a do tego bigamistą, w czasie jego areztu biedna Jakyłyna wynajmowała się do czyszczenia uklei, a wieczorem przynosiła więzionemu mężowi zarobiony grzywienniczek.

Zanim wyznaczą godną karę memu rycerzowi, przeniosę moją niemądrą opowieść w niezmierzone kirgiskie stepy.

— Dlaczego tak arcymądrze, Panie Boże mój miłosierny, stworzyłeś wszystko na świecie? Nie rozumiem i nie pojmem. W jednym dniu, a może nawet w jednej godzinie zobaczyli bracia świat boży życiodajny, a teraz Zosia jest w randze kapitana, a Watię wypuścili tylko co ze szkoły. I nie rozumiem i nie pojmem, jak to tak na tym bożym świecie się dzieje?

Tego dnia, gdy odprowadzili Watię z Perejasławia, tegoż dnia Paraskowija Tarasiwna postawiła sobie takie pytanie i wiele razy je sobie stawiała. Nie znajdując nań odpowiedzi, postanowiła udać się do Nykyfora Fedorowycza, ale po namyśle zrezygnowała. Może do Karola Josypowycza. — Również zrezygnowała. — On jest Niemcem — myślała — jeszcze coś niewłaściwego powie z powodu swej niemieckiej natury. Może Stepan Martynowycz? — Nie! On mnie nie rozumie. A może zrozumie? Jestem po prostu głupia, a on przynajmniej książki czyta, to może coś i wyczytał. Nie wiem, czy przyjdzie do nas wieczorem, czy nie? Może samej pójść do niego? Tak niby popatrzeć na pasiekę.

I zawiąawszy na głowie ładną chustkę, a w drugą zawiąawszy dziesięć obwarzanków ruszyła za Alę.

Przechodząc koło szkoły, setnikowa zatrzymała się, by posłuchać, jak uczą się dzieci, a potem idąc dalej, szeptała: — Biedne dzieci! Trzeba im kiedyś obiad przygotować.

Zobaczywszy tak drogiego gościa, Stepan Martynowycz wybiegł ze szkoły bez czapki, w białym płóciennym chałacie i dwoma skokami dogonił setnikową u wejścia do sadu i pasieki.

— Witam panią w naszej Palestynie! — powiedział.

— Ach, jakieście mnie przestraszyli!

— Pokornie proszę o przebaczenie mego grzechu — mówił nauczyciel, otwierając furtkę do sadu.

— Dzisiaj siedzę w domu sama jak palec. Nykyfor Fedorowycz w pasiece, a Maryna piele ogród. Siedzę więc sobie i myślę: pójdę i tylko popatrzę, jaki to sad i jaka pasieka u Stepana Martynowycza, i jego odwiedzę, bo on coś zapomina o nas.

— I pomyśleć o mnie, broń Boże, coś takiego grzesznego! Przecież ja i wczoraj, i przedwczoraj, i każdego wieczora siedzę u was, przyjdę i dzisiaj, jak Bóg da, że wszystko porobię.

— Gdy was nie widzę cały dzień, to wydaje się, że to cały rok.

Po tej rozmowie weszli do szopy, czyli pod strzechę z gałęzi, drzewa i słomy. W szopie na ziemi leżała kupa słomy, przykryta białą płachtą, i poduszka. Było to skromne łożo Stepana Martynowycza. Obok stał gliniany dzbanek z wodą i taki sam kufel, zaś spod poduszki wyglądał rozek wiernej *Eneidy*. Paraskowija Tarasiwna patrzyła przez chwilę na to wszystko i ze współczuciem powiedziała:

— Pięknie, wszystko przepięknie: nic więcej powiedzieć nie mogę. Tylko — rzekła siadając na pustym ulu — tylko dlaczego zostawiliście książkę w pasiece? Jeszcze, nie daj Boże, jakiś zły człowiek przyjdzie i ukradnie, a książka, sam pan wie, droga!

— Droga, droga książka, Paraskowijo Tarasiwno. Ona stanowi jedyną dla mnie naukę. Obdarz, Panie, królestwem Twoim dobrą duszę naszego dobrodzieja Iwana Petrowycza.

— Myślmy razem z Nykyforem Fedorowyczem, że da Bóg, jak doczekamy, to po świętym Szymonie odprawimy nabożeństwo za spokój duszy Iwana Petro-

wycza, a jednocześnie wydamy obiad dla ubogich. Czy nie zechcecie zaśpiewać podczas nabożeństwa razem ze swoimi uczniami „So swiatymi upokoj”¹⁴⁹.

— Mogę, oczywiście, mogę.

— Jak to wszystko u was powyrastało! Patrzcie jaka lipa, po prostu cudowna!

— Z pewnością ta lipa będzie wysoka. Jednak nie będzie taka, jaką widziałem za Dnieprem koło bramy klasztoru Mosznińskiego. Na tej lipie brat odźwierny łoże sobie urządził, aby ukryć się przed muchami.

— Myślę, że tam za Dnieprem wszystkie lipy są takie?

— Nie, nie wszystkie, są i mniejsze.

— A czy nie czytał pan w jakiejś książce przypowieści, która by odpowiadała kolejom życia Zosi i Wati?

Tu Paraskowija Tarasiwna opowiedziała, co ją zadziwia w karierze Zosi i Wati, i dodała:

— Ja myślę, że Zosia generałem zostanie, a biedny Watia i do stopnia kapitana nie dojdzie. Dlaczegoż to tak jest, nie wie pan? Nie czytał pan?

— Nie wiem, nie czytałem — pomyślawszy chwilę odpowiedział Stepan Martynowycz. Po chwili jednak rzekł:

— Myślę, że o tym obszernie jest napisane u Efrema Syryjczyka albo u Justyna Filozofa¹⁵⁰. U Tytusa Liwiusza natomiast nie ma.

— Bądźcie zdrowi — powiedziała Paraskowija Tarasiwna podnosząc się prędko z uly. — Oto ja panu prezencik przyniosłam, ale podczas rozmowy o nim zapomniałam. — Mówiąc te słowa, setnikowa rozwiązywała chustkę z obwarzankami.

— Chwilkę by pani zaczekała, dobyłbym plasterek swego miodu.

— Dziękuję, innym razem — już za furtką powie-

działa Paraskowija Tarasiwna, a Stepan Martynowycz nosił się dopiero z zamiarem ruszenia prawą nogą, aby odprowadzić gościa choćby do Alty.

Podczas wizyty setnikowej w pasiece szkoła opustoszała i stała sobie jak zwyczajna chata. W tym niezbyt długim czasie uczniowie rozmawiali ze sobą szeptem o swoich sprawach, ale kiedy dyżurny uczeń powiedział:

— Podwoje piekła otwierają się — co znaczyło, że furtka do pasieki otwiera się, wszyscy wrócili na swoje miejsca i zaczęli czytać niby rój pszczół.

Paraskowija Tarasiwna, idąc koło szkoły, nie zatrzymała się, ale rzekła:

— Biedne dzieci! Jak one pięknie czytają, a on je nieszczęsne pewnie jeszcze bije — prawdziwy wilkolak!

— Jeśli już nie udało się jej odprowadzić do Alty, to chociaż czólno przytrzymam, dopki nie usiądzie, i popchnę ku drugiemu brzegowi — mamrotał do siebie Stepan Martynowycz wychodząc z pasieki.

Ależ gdzie tam! Jego szarmanckie plany nie ziściły się. Paraskowija Tarasiwna nawet nie liczyła na taką niesłychaną grzeczność, skoczyła do łódki niby nadnieprzański rybak, machnęła wiosłem i łódka niebawem stuknęła o przeciwległy brzeg rzeki. Stepan Martynowycz zdążył tylko achnąć i kwita.

Zbliżając się do domu, Paraskowija Tarasiwna zauważyła biedkę Karola Josypowycza i konia okrytego pianą. Gdy u takiego dobrego gospodarza, jak Karol Josypowycz, koń aż mokry, to znaczy, że coś się wydarzyło. Zaledwie zdążyła o tym pomyśleć, zobaczyła, że Nykyfor Fedorowycz tak śpieszy się do domu, że aż mu biała broda powiewa na wietrze. Za nim szedł Karol Josypowycz w swym niebieskim fraku z metalo-

wymi, nie ozdobionymi żadnym rysunkiem guzikami. Zobaczywszy swoją Paraskowiją Tarasiwnę, Nykyfor Fedorowycz krzyknął radośnie:

— Parasko! — i jednocześnie podniósł prawą rękę z listem. Zobaczywszy list, Paraskowija też krzyknęła:

— Od którego?

— Od Wati. Z samego Orenburga!

Paraskowija Tarasiwna na chwilę jakby oniemiała, a Karol Josypowycz, przywitawszy się, niby sam siebie spytał:

— Chyba już dwa miesiące, jak wyjechał?

— Na święto Narodzenia Marii Panny będzie siedem tygodni — odpowiedziała Paraskowija Tarasiwna.

— Szybko, dalibóg, szybko... — mówił aptekarz. — Nie spodziewałem się, aby tak szybko. Dobrze, bardzo dobrze!

Wszyscy troje weszli na ganek. Nykyfor Fedorowycz poszedł do swego pokoju po okulary, a Marynę posłał po Stepana Martynowycza, mówiąc:

— Powiedz, aby szybko przyszedł. List będziemy czytać. Od Wati — powiedz — otrzymaliśmy list.

Nie zdążył przetrzeć szkieł w okularach i wyjść na ganek, gdy Stepan Martynowycz już przeprawiał się przez Altę. Szybkość godna podziwu.

Kiedy wszyscy usiedli na swoich miejscach, Nykyfor Fedorowycz włożył na nos okulary, rozpieczętował list, rozłożył go i lekko kaszlnąwszy, zaczął czytać:

„Moi niezapomniani, moi najdrożsi Rodzice!”

Głos Nykyfora Fedorowycza zadrżał i setnik zaczął się skarżyć, że jego szkła w okularach są słabe albo się zakurzyły, więc listu czytać nie może. Dlatego też dał go Karolowi Josypowyczowi i prosił, by powoli przeczytał. Karol Josypowycz też włożył okulary, a zamiast kasłać, zażył tabaki.

„Moi niezapomniani — czytał — moi najdrożsi Rodzice!”

Nykyfor Fedorowycz wstrzymał oddech, a Paraskowija Tarasiwna jakby zastygła w słuchaniu. Zapomniała nawet ocierać łzy.

Tymczasem Karol Josypowycz czytał dalej:

„Całuję listownie wasze cnotliwe ręce i proszę Boga — dawcę życia — niechaj przedłuży Wasze drogocenne życie. I w drodze, i tutaj na miejscu, dzięki Bogu, nie miałem kłopotów ze zdrowiem, tylko jakoś dziwię się, że niczemu i nikomu jeszcze się nie przyjrzałem. Nawet tydzień nie minął, gdy stanąłem na miejscu. Przebaczcie mi wielkodusznie, moi niezapomniani Rodzice, chciałem bowiem napisać do Was już drugiego dnia, ale z powodu wielu spraw nie zdążyłem. Musiałem zameldować się u przełożonych, to to, to tamto i tak zszedł tydzień. Teraz już, dzięki Bogu, jakoś się urządziłem; wynająłem maleńkie dwupokojowe mieszkanie naprzeciwko szpitala w starej Słobódce.

Wczoraj byłem na dyżurze, a dzisiaj mam dzień wolny. Aby go nie zmarnować, wziąłem pióro i chciałem opisać Wam moją zakończoną wędrówkę, lecz gdy to dobrze rozważyłem, okazało się, że nie ma o czym pisać. Cała przestrzeń, jaka przewinęła się przed moimi oczami, dotąd w pamięci mi migoce. Żadnej linii granicznej nie mogę sobie dobrze przypomnieć. Pamiętam tylko to niewyraźne wrażenie, które zrobiły na mnie zawołzańskie stepy. Przeprawiwszy się przez Wołgę, zjadłem obiad w Samarze i zaraz wyjechałem. Po pięknych brzegach Wołgi ukazał się przede mną step, prawdziwy kałmucki step. Droga od Samary do pierwszej stacji wydała się ciężka, do drugiej — lżejsza. Oczy moje zaczęły się oswajać z bezbrzeżnymi równinami.

Na trzech odcinkach przejazdu daleko w stepie

można było gdzieś zobaczyć wzdłuż brzegów rzeki Samary nieregularne rzędy zarośli. Wreszcie i one znikły. Zaczęła się pustka jakby wymiótł. Widziałem tylko — około trzech razy — nad wielką drogą budowę nowych osiedli kolonistów. Koło nich krążyły w czterokątnych, podobnych do tych, które nosili woźnice, czapczkach brzydkie Kałmuczki z niemowlętami na plecach, prawdziwe Cyganki, tyle że nie wróżyły.

Za miastem Buzułak pokazały się we mgle na horyzoncie płaskie wyżyny Obszczego Syrtu. Zachwycając się tym majestatycznym widokiem, niepostrzeżenie wjechałem do twierdzy Tatiszczewa¹⁵¹. Tutaj oddałem dozorczy skierowanie, a sam zostałem na ulicy. Zanim wymieniono konie, przypomniałem sobie *Córkę kapitana*¹⁵². Przed oczami stanął mi jak żywy groźny Pugacz¹⁵³ w czarnej baraniej czapce, w czerwonej oponczy i na białym koniu. Zupełnie niczym nasz starodawny kat.

Słońce tylko co zaszło, gdy przepравиłem się przez Sakmarę. Pierwsze, co w dali zobaczyłem, to był różowy, wielki budynek z meczetem i przepięknym minaretem. Budynek ten, który niedawno zbudowano według rysunku Briułłowa, nazywa się tutaj Karawan-Saraj. Za Karawan-Sarajem ujrzałem miasto, to jest wysoki ziemny wał, pokryty czerwonym kamieniem, i niezgrabną sakmarską bramę, którą wjechałem do Orenburga.

Według mnie w fizjonomii Orenburga jest coś antypatycznego, ale wygląd zewnętrzny może czasem zmylić, toteż lepiej będzie, jeśli nie będę Wam pisać o mieście, dopóki mu się nie przyjrzę.

Mam zamiar pisać tu dziennik i wysyłać Wam każdego tygodnia kartkę, a wy, czytając, będziecie wi-

dzieć mnie jak na dłoni. A tymczasem wybaczcie mi, że nie piszę o sobie szczegółowo.

Przeżkażcie ukłony Karolowi Josypowyczowi i powiedzcie Stepanowi Martynowyczowi, że wielbię jego wielkość duszy całym sercem i myślą.

Całuję Wasze ręce dobroczynne, moi niezapomniani, moi nieocenieni Rodzice. Nie zapominajcie wiecznie kochającego Was syna Wati!”.

Przeczytawszy list Karol Josypowycz ostrożnie złożył go i podając Nykyforowi Fedorowyczowi, powiedział:

— Szlachetny młodzieniec!

Setnik w milczeniu przyjął list, ucałował go, włożył do leżącego na stole latopisu Konyskiego i zszedł z ganku. Paraskowija Tarasiwna modliła się do Boga i płakała, zaś Stepan Martynowycz, westchnąwszy głęboko, zadumał się.

Rozważywszy rzecz solidnie, wstał z ławy, mrugnął okiem w stronę Karola Josypowycza, dając do zrozumienia, że wymyślił coś ważnego. Odprowadziwszy aptekarza na stronę, mówił szeptem:

— Sam wiem po sobie, bo wędrowałem do Połtawy, jak trudno w obcych stronach bez pieniędzy. A on teraz, dobrze to wiem, bieduje. To, że on nie prosi o pieniądze, o niczym nie świadczy. Zeszłego roku sprzedałem moskiewskim kupcom trochę wosku i miodu. Szkoła mnie karmi i odziewa, a pieniądze gniją, jak talent w ziemi zakopany. Wyślę mu, co mam. Co o tym sądzicie? Czy wysłać?

— Nie, poczekaj pan — powiedział też szeptem Karol Josypowycz. — Jeżeli ma pan pieniądze, to znajdziemy na nie lepszą dziurkę.

Po tych słowach rozmowa urwała się. Aptekarz pojechał do miasta, a Stepan Martynowycz, przeprawiwszy się przez Altę, nie poszedł do szkoły, aby uczni-

wie nie przeszkadzali mu w myśleniu, jaką to dziurkę znalazł Karol Josypowycz dla jego pieniędzy. Dumał, to leżąc, to stojąc w swojej pasiece, aż do samego wieczora, ale nie wymyślił, gdzie to miała być ta dziura na jego pieniądze.

Chodzi o to, że Karol Josypowycz otrzymał z Astrachania w jednej kopercie dwa listy: jeden do siebie, a drugi do setnika Sokyry, jeśli jeszcze żyje, albo do Paraskowiji Tarasiwny.

W liście do Karola Josypowicza Zosia przedstawił ogólnie swoje ciężkie położenie i prosił, jeśli starzy jeszcze żyją, aby aptekarz znalazł odpowiednią chwilę i wręczył im list oraz poparł sprawę wysłania mu pieniędzy. W wypadku odmowy on będzie musiał się powiesić.

Karol Josypowycz dobrze wiedział, że list Zosi nie spodoba się Nykyforowi Fedorowyczowi, więc postanowił nie pokazywać mu go, a przeczytać tylko Paraskowiji Tarasiwnie i Stepanowi Martynowyczowi i wspólnymi siłami złożyć potrzebną kwotę, aby uratować biednego Zosię.

Właśnie o tej dziurze mówił niedomyślnemu Stepanowi Martynowyczowi.

Niebawem nadarzyła się okazja do przeczytania listu, wtedy gdy Nykyfor Fedorowycz, zgodnie ze swoim zwyczajem odpoczywał po obiedzie w pasiece.

List zawierał taką właśnie niemądrą treść:

„Wielkoduszni moi Rodzice!

Cztery lata przebywałem w niewoli u niemiłosiernych górali. Wreszcie dzięki łasce wielkodusznych ludzi zostałem wyzwolony, ale teraz w Astrachaniu znajduję się w skrajnej biedzie. Z powodu utraty zdrowia w czasie służby wojskowej staram się o przejście w stan spoczynku choćby na trzecią część uposażenia. Tymczasem nie opuszczajcie waszego pokornego

syna i przyślijcie choć sto rubli na razie, za co będę Wam dożgonnie wdzięczny. Wasz nieszczęśliwy syn Zosim Sokorin. Karol Josypowycz zna mój adres”.

Paraskowija Tarasiwna nie słuchała listu do końca, jęknęła i upadła na podłogę. Karol Josypowycz krzątał się koło zemdlonej, a mój pedagog, zobaczywszy tę tragedię, też jęknął i stał z otwartymi ustami, aż gospodyni oprzytomniała. Prostek! Zupełnie się nie znał na takich kobiecych słabościach.

Odzyskawszy przytomność, Paraskowija Tarasiwna krzyknęła: — Zosiu mój, dziecino moja! — i znów padła bez czucia. Pedagog próbował uśmiechem powitać wracającą do życia, ale nie zdążył i pozostał z poprzednim wyrazem twarzy. Paraskowija Tarasiwna znów oprzytomniała, poprosiła o wodę, szepnęła jakieś słowo i zapłakała, biedna, niczym małe dziecko. W tym czasie Nykyfor Fedorowycz, odpocząwszy w pasiece, wszedł do świetlicy, aby poprosić Paraskowiję Tarasiwnę o kwas jabłkowy, którego w zeszłym tygodniu ledwie spróbowali.

Zobaczywszy swoją żonę siedzącą na podłodze po-grążoną w nieutulonym płaczu, zapytał obecnych o przyczynę tych gorzkich łez. Karol Josypowycz w dwóch słowach zapoznał setnika z tragedią i podał mu fatalny list. Setnik, włożywszy okulary, powoli i uważnie przeczytał go i tak samo powoli go złożył. Oddając list Karolowi Josypowyczowi rzekł cicho, aby Paraskowija Tarasiwna nie słyszała:

— Kłamie!

Karol Josypowycz podzielał ten pogląd, tym bardziej że Zosia w swym liście do niego ani słowem nie wspominał o niewoli u okrutnych górali. Nie odrzekł jednak nic, tylko podrapał się po nosie i zażył tabaki. Czyżby tamten, Donner Wetter¹⁵⁴, postanowił wykorzystać jego, poważnego, starego człowieka jako na-

rzędzie swojego smutnego kłamstwa — tak lub prawie tak myślał prostoduszny poczciwiec.

Tymczasem Paraskowija Tarasiwna powoli zaczęła się uspokajać i przestała płakać. Tylko jeszcze od czasu do czasu pochlipywała. Obecni pocieszali ją jak umieli. Aby do reszty uspokoić żonę, Nykyfor Fedorowycz wyjął ze swej szkatuły sturublowy banknot i dając go niepocieszonyj swojej Paraskowiji powiedział:

— Masz, poślij mu.

— Mój gołąbeczku modry — mówiła Paraskowija Tarasiwna, przyjmując pieniądze. — Napisz do niego choć jedno słóweczko, pociesz go nieszczęsnego.

— Pisz sama.

— Jakże ja będę pisać, gdy nie umiem.

— Jak chcesz, a ja pisać nie będę.

— Może wy, Karolu Josypowyczu, napiszecie?

— Poproście Stepana Martynowycza, ja mam nieładny charakter pisma.

— Pan jest jego nauczycielem, Stepanie Martynowyczu. Napiszcie, gołąbeczku, chociaż jedno słóweczko, ja za pana dzień i noc będę się modlić do Boga i pstruchy¹⁵⁵ na chałat kupię, bo ciągle w płóciennym chodzicie.

Stepan Martynowycz zgodził się, a Nykyfor Fedorowycz dobył z tej samej szkatuły pióro, kałamarz i papier, i położywszy to wszystko na stole, wyszedł ze świetlicy razem z Karolem Josypowyczem.

Gdy zostali w świetlicy we dwoje, Stepan Martynowycz usiadł przy stole, położył przed sobą papier, wziął pióro do ręki i przyjął taką pozę, jaką zwykle malarze obdarowują pisarzy, gdy przedstawiają ich nieśmiertelne oblicza, ocienione szafirowymi skrzydłami geniusza twórczości.

Nauczyciel poprosił o podyktowanie listu. Parasko-

wija Tarasiwna również usiadła przy stole naprzeciw piszącego i nieświadomie przybrała pozę matki bolesnej.

— Pisz pan tak — dyktowała ze łzami w oczach: „Zosiu mój, dziecko moje jedyne!”

Stepan Martynowycz długo myślał, aż wreszcie napisał:

„Jedyny mój synu, łaskawy dobrodzieju, Zosymie Nykyforowycz!”

Nauczyciel dobrze wiedział, że nie godzi się pisać słów, które wypowiada niepiśmienna baba. Wykali-grafowawszy tytuł zapytał, co pisać dalej.

— Dalej piszcie tak: „Orle mój, Zosiu! Posyłam ci sto karbowańców”.

Stepa, rozumie się, to i inne zdania pisał po swemu. List wyszedł dosyć oryginalny. Nie można powiedzieć, żeby był krótki, bo kartka papieru została zapisana obustronnie. O drugą kartę Paraskowija Tarasiwna bała się prosić męża.

Kiedy głośno i bez pośpiechu list został przeczytany, Paraskowija Tarasiwna pomyślała:

— A ja, głupia plotę, co mi na język wpadnie, a to tak trzeba było mówić. — Kobieta popatrzyła ze złością na piszącego.

Do wieczora wszystko było gotowe. List i pieniądze doręczono Karolowi Josypowyczowi z prośbą o wysłanie. Aptekarz, podjąwszy się tej misji, pożegnał się z gospodarzami, a siadając do swej biedki przywołał Stepana Martynowicza i szepnął mu na ucho:

— Pańskie karbowańce wolne: dziurkę zatkano.

Smagnął batem swego bułanego i zniknął z oczu. Stepan Martynowycz brnął do swej szkoły i nie mógł zrozumieć, co to za przekłeta dziura, o której chytry Niemiec nie chce po prostu mówić.

Pieniądze doszły do Astrachania w samą porę, gdyż biedna Jakyłyna miała febrę i leżała w miejskim szpitalu. W związku z tym nie miał kto dostarczać memu bohaterowi codziennego pożywienia. I nagle jakby manna spadła z nieba! Ponieważ był więźniem, pieniądze wydawano mu w małych ratach, ale i to wystarczyło, by chyłkiem zaczęli go odwiedzać koledzy i przepowiadać mu nie jak dotąd hańbę, a całkowitą wolność i pełne zadośćuczynienie.

Tego on już nie pojmował. Przez wyrażenie „całkowita swoboda” rozumiał wilczy paszport¹⁵⁶, natomiast formuły „pełne zadośćuczynienie” mimo wysiłku w żaden sposób nie mógł rozgryźć.

W miesiąc po tych wydarzeniach mieszkańcy chutoru zostali uradowani pierwszym tygodniowym arkuszem z Orenburga. Naśladując tygodniowy dziennik swego dobroczyńcy Iwana Kotlarewskiego, Watia swój nazwał „Orenburską Muchą”. Na chutorze nazwa ta się przyjęła. Mawiano zwykle: — Przyleciała do nas „Orenburska Mucha”, albo: — Czekamy na „Orenburską Muchę” itd.

„Połtawska Mucha” zmarłego Kotlarewskiego była prawdziwą pszczołą, a to było tylko niewinnym naśladownictwem o tej samej nazwie. Mucha Wati na żadne ułomności i podłości ludzkie nie napadała, jak ta połtawska, bo był to po prostu opis codziennego, prozaicznego życia uczciwego i skromnego człowieka. Ale mieszkańcy chutoru cenili te zapiski wyżej od wszelkiej poezji.

Czytając tygodniowe sprawozdanie swego miłego Wati, z miłością śledzili każdy jego ruch. Widzieli go, jak idzie ulicą i spotyka tylko epolety i kaski, kaski i epolety, Kozaków i żołnierzy; żołnierzy i Kozaków. Nawet kobiety chodzą tu w żołdackich szynelach.

Z tym nie zetknął się Watia nawet na targu w Kijowie. Albo widzą go, jak siedzi na górze, patrzy na Ural i na gaj za Uralem, a za gajem na kantor wymiany. Dalej już step i step, jak byś nie patrzył, nic nie zobaczysz. A Watia wciąż patrzy i o czymś myśli. Widzą go, jak on smutny wraca do mieszkania, odmawia modlitwy i kładzie się spać. Rankiem zaś wstaje, wdziewa mundur i idzie na dyżur do szpitala. Wszystko, wszystko dokładnie widzą, nawet i to, jak naczelny lekarz robi mu wymówkę, że jeden guzik nie jest zapięty. W związku z tym Paraskowija Tarasiwna powiedziała, że u tych naczelnych mógłbyś aniołem być, a i tak nagany nie unikniesz.

„Orenburska Mucha” sprawnie pojawiała się na chutorze każdego tygodnia, ale z upływem czasu stawała się coraz bardziej jednostajna. W końcu doszło do tego, że wszystkie dni tygodnia były co do joty podobne do poniedziałku. Niedziela różniła się od poniedziałku tym, że Watia (jeżeli nie miał dyżuru) był na sumie. Starzy z rozkoszą czytali „Muchę”, wcale nie podejrzewając, że treść jej stała się nad wyraz monotonna.

Wreszcie Watia otwarcie zaczął skarżyć się na nudę i jednostajność. „Niechajby na warownię choć raz posadzili dla urozmaicenia — pisał — ale i to nie przytrafiło się”. Do społeczności orenburskiej odnosił się nieprzyjaźnie, a damy z lepszego towarzystwa nazywał wprost niepiśmiennymi kokietkami. Słowem, Watia zaczynał nudzić się. Jadąc do orenburskiego kraju planował sobie, że w wolnym czasie przygotowuje dysertację doktorską z medycyny i chirurgii, ale wkrótce opanowała go taka tęsknota, że gotów był zapomnieć i to, czego się nauczył, zaś o poszerzeniu wiadomości nawet nie myślał.

Ta moralna depresja trwała ponad półtora roku. Na

widok Orenburga opanowywała go senność. Lekarz rozważał projekt przeniesienia się do innej miejscowości, tłumacząc to klimatem, ale od czasu założenia Orenburga nie było jeszcze człowieka, który skarżyłby się na jego klimat. Klimat cudowny, chociaż cebuli i innych jarzyn tu nie uprawiano. Ale, jak myślę, bardziej dlatego, że wszystko to przywożono z Ufy. A do Ufy, zważcie, ni mniej, ni więcej, jak tylko pięćset kilometrów. Pewnego razu z nudów odwiedził on Karhałę. Zawsze to — myślał — wioska, więc nie bez zieleni. I wyobraźcie sobie jego rozczarowanie: domy, wrota i meczety, a zieleni tylko tyle, co kępki pokrząwy pod płotami. Smród zaś taki, że przybysz nie mógł nawet napić się herbaty.

— Otóż macie i wieś! Ale nie ma czemu się dziwić. Powiedziano o Tatarzynie: aby był kumys i kawałek zdechłej koniny, on już szczęśliwy. Zobaczę — myślał — inną miejscowość. Pojechał więc do Niżenki — nad orskim szlakiem. I cóż? I tam chaty i wrota. Tylko meczetów nie ma, ale nie widać i cerkwi. Ponieważ dzień był gorący, lipcowy, był zmuszony zmienić projekt, splunąć i z powrotem wrócić, dziwiąc się temu, co zobaczył. Zastukał w cisowe wrota. Otworzyła je niebrzydka młódka, ale nad wyraz zaspana i brudna, chociaż była to niedziela.

— Czy można u was zatrzymać się i odpocząć pół godziny? — zapytał.

— Można, dla ce nie można! — odpowiedziała kobieta przeciągając słowa.

Watia wszedł na podwórze i skierował się ku chacie, ale od drzwi powiało taką stęchlizną, że tylko nos zasłonił. Na podwórzu nie można było znaleźć miejsca na odpoczynek. Poleciał więc swemu furmanowi, by rozścielił wojskok pod wozem na ulicy, i położył się, aby pomyśleć o rozkoszach wiejskiego życia, zanim konie odpoczną.

W tym czasie też wyszła do niego na ulicę ta sama zaspana brudna kobieta i łuskając nasiona arbuza patrzyła, albo lepiej powiedzieć, na nic nie patrzyła. Wątpia zwrócił się do niej:

— A czy ty, ślicznotko moja, nie ugotowałabyś mi czego do jedzenia?

— A czy ja jakaś kucharka?

— No, choćby zupę rybną, na przykład. Przecież macie Ural pod samym nosem; chyba ryby tu mnóstwo?

— Nie ma. My się tym nie zajmujemy.

— A czymże wy się zajmujecie?

— Basztany ¹⁵⁷ siejemy.

— No to zerwij mi parę ogórków.

— Nie. My siejemy tylko arbuzy.

— A co jeszcze siejecie? Cebulę, pomidory?

— Nie. My cebulę kupujemy w mieście.

— Otóż to tak — pomyślał podróżny. — Wieś z miasta włoszczyznę wozi.

— Cóż wy jeszcze robicie?

— Przygotowujemy kołacze i produkujemy kwas.

— A czym się żywicie?

— Kołaczami i kwasem, zanim basztan dojrzeje.

— A potem basztan?

— Basztan.

— Nie jesteście wymagający. Nie ma o czym mówić.

Zamilkł, rozmyślając nad tym, jak niewiele trzeba, aby człowieka upodobnić do bydłęcia. A jakaż błogosławiona ziemia! Jakie rozkoszne łąki i łąchy uralskie. I cóż? Mieszkańcy cebulę otrzymują z miasta i... lekarz nie skończył w myśli tej tyrady — woźnica przerwał ją przypomnieniem.

— Konie, panie, odpoczęły.

— A to dobrze! Zakładaj — pojedziemy.

Zanim woźnica zaciągnął sponie ¹⁵⁸, lekarz siedział już na wozie. Po chwili tylko tuman kurzu wzbił się

w powietrze i ścieląc się po ulicy, zasłonił i wrota, i stojącą obok nich młodą kobietę.

Odtąd Watia nie wyjeżdżał już z Orenburga, aż do czasu gdy pewnego pięknego kwietniowego poranka zawiadomiono go, że jest odkomenderowany z transportem na Raim. O, jakże plastycznie opisał on ten kwietniowy poranek w swym dzienniku! Żywo przedstawił w nim i nie widziany nigdy step, który porównywał do Sahary, i patriarchalne życie jego mieszkańców, i barantę¹⁵⁹, i kradzieże — słowem wszystko, co wyczytał w powieściach od *Piotra Iwanowicza Wyżygina* Jana Bułharyna po *Trzy strony świata* Niekrasowa i Stanickiego. Wyraźnie wszystko to sobie przypomniał.

Odesławszy poczwórnie zwiększony sobotni arkusz na pocztę, Watia stawiał się gdzie trzeba na służbę i następnego dnia skoro świt koło bramy orskiej jefrajter, wymawiając prędko słowa, pytał:

— Pozwólcie dowiedzieć się, jaki jest pański stopień i nazwisko i dokąd pan sobie życzy jechać?

Z kołnierza szynelu dała się słyszeć dosyć opryskliwa odpowiedź:

— Lekarz Sokyra do twierdzy Orskiej. Podnieś szlaban! Ruszaj!

Trójka przemknęła przez przedmieście obok cerkwi i dzwonnicy, na którą Pugaczow wyciągnął był dwie armaty, oblegając Orenburg.

Do stancyi Ostrownej Watia zachwycał się widokami okolic Uralu i wstępował wyłącznie do pocztowych stacyi, zresztą wtedy tylko, gdy miał pragnienie. Zbliżając się do Ostrownej, zamiast szarej i gołej stancyi zobaczył spowitą w zieleni wieś, więc mechanicznie spytał pocztowca:

— Tutaj też mieszkają orenburscy Kozacy?

— Też, wasza wielmożność, tylko Chochły¹⁵⁹.

Watia drgnął.

— A stacja pocztowa tutaj jest?

— Dalej, w Oziernej.

— Tam również Chochły mieszkają?

— Nie, nasi Rosjanie.

Podjechawszy bliżej do wsi, lekarz rzeczywiście zobaczył ukraińskie osiedle: te same zielone wierzby, te same bielutkie w zieleni chaty, i ta sama dziewczyna w spódnicy i polnych kwiatach we włosach pędząca krowę. Lekarz wzruszył się tym widokiem, który tak żywo przypomniawszy mu jego piękną ojczyznę.

Koło pierwszej chaty kazał się zatrzymać i zapytał siedzącego na przyzbie wąsacza, czy można u niego przenocować?

— Można, dlaczego nie można. Radzi jesteśmy dobrym ludziom.

Lekarz zwolnił woźnicę i został na noc. Tutaj, po raz pierwszy w orenburskim kraju, ucieszył swoją duszę oczystą pogawędką. Aby zachęcić nieskorego do rozmów (jak w ogóle moi krajanie) gospodarza, zapytał, czy mają oni szynk.

— Szynku, to u nas, prawdę mówiąc, nie ma, ale wódkę ludzie dobrzy trzymają na wszelki wypadek.

Lekarz posłał po wódkę, poczęstował gospodarza i gospodynię, a małeńkiemu Iwasiowi dał kawałek cukru.

Gospodarz zrobił się bardziej rozmowny, a gospodyni zwawiej uwijała się z patelnią przy piecu. Tylko Iwaś stał z palcem i cukrem w ustach i patrzył na gościa spode łba.

Niebawem zakrzyczały za chatą kurczęta i tak samo niebawem pojawiły się one dla gościa na stole z małosolnymi ogórkami.

— Jedzcie łaskawie — zapraszała gospodyni stawiając na stole kurczęta — a ja tymczasem skoczę do Doma-

chy, może pożycz mi dziesięć jajek, bo u nas, muszę się przyznać, zabrakło. — I gospodyni prędko wyszła z chaty.

Na drugi dzień z rana gospodarz wynajął lekarzowi parę koni do stacji, a jego domyślna żona podała mu na drogę dwa smażone kurczaki, dziesięć jajek i tyleż małosolnych ogórków.

Przyjmując te dary, lekarz zapytał, ile też jest wienien za wszystko.

— Prawdę mówiąc, nam nic nie trzeba, ale myślę, że dziecku trzeba buciki kupić — odpowiedziała.

Gość podał jej pięćdziesiąt kopiejek.

— Bóg z wami, przecież dziecku Wokuła uszyje buciki i za dziesięć kopiejek.

— No, to już wasza sprawa — powiedział lekarz i pożegnał się ze swoimi gościnnymi krajanami.

Przenocował jeszcze Sokyra w Huberli (przedostatnia stacja przed twierdzą Orską), głównie po to, aby zachwycać się na drugi dzień Górami Huberlińskimi. Tego właśnie drugiego dnia pod wieczór na horyzoncie ukazała się twierdza Orska. Oto jak Watia przedstawił w swojej „Musze” wrażenia, które zrobiła nań forteca.

„29 kwietnia. Do godziny 12 spacerowałem po huberlińskim gaju i podziwiałem otaczające go góry, czystą rzeczkę Huberlej, przecinającą las i wijącą się koło kozackich chat. Posiliwszy się resztkami podarunku domyślnej krajanki, pożegnałem malowniczą Huberlę. Kilka godzin wznosiłem się krętą drogą ku Górom Huberlińskim. Obok pomnika, ustawionego przy drodze ku pamięci jakiegoś tragicznego wydarzenia, napiłem się cudownej wody ze źródła. Stanąwszy na szczycie, zobaczyłem olbrzymią, monotonną pustynię.

W pustyni sterczała jedna jedyna budka, a koło niej wysoka żerdź, okręcona słomą. To była kozacka pikietka. Minąwszy ją, zacząłem zjeżdżać zboczami do stacji Podgornej. Zmieniwszy konie, znowu wznosiłem się ze dwie godziny na płaską wyżynę. Z tej wyżyny ponownie zobaczyłem mrozącą mi duszę pustynię.

Po chwili tego przygnębiającego wrażenia zacząłem się wpatrywać w smutną panoramę i zobaczyłem białą plamkę obwiedzioną czerwonoburą wstążką.

— A oto i Orska bieleje — powiedział furman jakby sam do siebie.

— Tak, to ona, sławna twierdza Orska! — prawie jednocześnie powiedziałem i ja. Zrobiło mi się smutno, nie do zniesienia smutno, jakby Bóg wie jakie nieszczęście czekało na mnie w tej fortecy. Straszna pustynia okalająca twierdzę wydawała mi się rozkopaną mogiłą, gotową pochłonąć mnie żywcem. W Huberli byłem całkowicie szczęśliwy, wspominałem Was, moi niezapomniani, wyobrażałem sobie, jak Stepan Martynowycz czyta Tytusa Liwiusza pod lipą, a ojciec, słuchając go, robi czasem swoje uwagi o rzymskim mówcy-historyku. I nagle wszystko tak się zmieniło!

Czy aż tak silnie otoczenie wpływa na naszą wyobraźnię? Widocznie tak. Zbliżywszy się do twierdzy, pomyślałem (dziwna myśl), czy w tej fortecy śpiewają pieśni, i gotów byłem, Bóg wie po co, założyć się, że nie śpiewają. W takiej scenerii możliwe jest tylko martwe milczenie, które przerywają ciężkie westchnienia, a nie głośnie pieśni.

Posuwając się bliżej i bliżej po szerokiej, ledwo zielenią pokrytej łące, mogłem już dokładnie określić twierdzę: białą plamą była niewielka kamien-

na cerkiew na górze, czerwonoburą wstążką — dachy państwowych budynków — koszar, warsztatów itp.

Przebywszy drewniany most na chwiejnych palach, znaleźliśmy się w fortecy. Był to obszerny plac, otoczony z trzech stron kanałem szerokim na trzy arszyny i proporcjonalnie wysokim wałem, a z czwartej strony Uralem. Oto macie i fortecę. Nie na darmo Kirgizi nazywają ją Jaman-Kały. Moim zdaniem to odpowiednia nazwa. Na miejscu tej Jaman-Kały planowano kiedyś założenie wojewódzkiego miasta. Piękne byłoby to miasto! Chociaż, prawdę mówiąc, i Orenburg niewiele jest lepszy, jeśli idzie o okolicę. Oto co ożywiało pierwszy plan tego sennego obrazu: grupa nacechowanych aresztantów, którzy poprawiali drogę przed przyjazdem dowódcy korpusu, zaś bliżej koszar na placu maszerowali żołnierze.

Jadąc koło ćwiczących żołnierzy zwróciłem uwagę na jednego z nich: wysokiego, wysmukłego i — dziwne zrzędzenie losu — nadzwyczaj podobnego do mego brata Zosyma. Tak mnie to uderzyło, że całą noc nie mogłem zasnąć, wyobrażając sobie różne, najmniej możliwe historie o bracie, a do tego wszystkiego śmierzcząca tatarska chałupa przydzielona mi na kwaterę, ostatecznie rozwiała mój sen.

30 kwietnia. Z bólem głowy zameldowałem się dzisiaj u komendanta, a od niego poszedłem zapoznać się z kolegą po fachu. Ten wydał mi się podobny do dojrzałej moreli. Po obopólnych przywitaniach powiedział mi w charakterze komplementu, że jestem bardzo podobny do jednego nieszczęśliwca, przysłanego tu niedawno z Astrachania.

Zapytałem go, co znaczy słowo «nieszczęśliwiec». Wyjaśnił, a ja, pożegnawszy się z nim, poszedłem szukać kancelarii batalionu. Tam zapytałem pisarza, czy

jest w batalionie niedawno przysłany szeregowiec Zosim Sokirin.

Pisarz odpowiedział, że jest, a spojrzawszy mi w oblicze, dodał: Zosim Nikiforowicz.

— Czy można przeczytać jego confirmację ¹⁶¹?

— Można.

I przeczytałem co następuje: «Po confirmacji sądu wojskowego za różne występki przeciwko prawu i moralności komenderuje się do Specjalnego Korpusu Orenburskiego w randze szeregowca Zosima Sokirina, z wysługą» ¹⁶².

— Czy można zobaczyć tego szeregowca? — zapytałem pisarza.

— Można. Proszę iść za mną.

Usłużny pisarz zaprowadził mnie do koszar. Nie opisuję wam brudu i smrodu, które wywołują oburzenie, lecz, niestety, zawsze cechują koszary. Nie czytacie, na miły Bóg, tego listu matce, bo ona biedna nie zniesie takiego ciężkiego uderzenia. Na narach w grubej brudnej koszuli siedział Zosia i położywszy głowę na kolanach jak *Tytan* Flaksmana ¹⁶³, śpiewał jakąś żołnierską wulgarną piosenkę!

Zobaczywszy mnie, zmieszał się, ale szybko opanował i przemówił:

— To ty, bracie Watiu?

— Ja.

— A to ja — powiedział stając przede mną na baczność.

Zmroziła mnie ta nie udawana obojętność. Byłem oszołomiony jego odpowiedzią i długo nie mogłem wydobyć z siebie słowa, a on wciąż stał przede mną wyciągnięty w strunę, jakby kpił. Wreszcie zebrawszy siły, spytałem go, czy nie potrzeba mu czegoś.

— Potrzeba — odpowiedział nie zmieniając pozycji.

— Cóż ci jest potrzebne?

- Pieniądze!
- Nie mogę ci dużo dać.
- Ile możesz.

Dałem mu dziesięciorublowy banknot.

— Dziękuję, bracie — powiedział biorąc pieniądze.

Wychodząc z koszar, prosiłem go, aby odwiedzał mnie w wolnych chwilach, zanim wyjadę w step.

Bywało mi czasem smutno, bardzo smutno, ale takiego przygniatającego smutku jeszcze nigdy nie znałem. Wydawało mi się, że widziałem Zosię we śnie, że w rzeczywistości nie jest możliwe takie przeobrażenie człowieka, taka zatrała ludzkich cech. Przyszedłszy na kwaterę, sprawdziłem swój portfel, a nie znalazłszy dziesięciu rubli, przekonałem się, że to prawda. Zosiu, Boże mój! Cóż cię tak strasznie zmieniło? Czyżby wychowanie? Nie, wychowanie raczej nic nie robi z człowiekiem, najwyżej zepsuje go, ale zmienić go w potworne bydlę żadne wychowanie nie może.

— Cóż cię więc doprowadziło do takiego pożałowania godnego stanu, mój biedny Zosiu?

I nie mogłem znaleźć na to odpowiedzi”.

W pozostałych dniach swego pobytu w twierdzy Orskiej Watia nie zapisał w pamiętniku nic ciekawego. W twierdzy koncentrował się transport, aby 12 maja wyruszyć w step, więc oprócz Baszkirów, wozów, wielbłądów, Kozaków, żołnierzy, nic innego nie widział. A to, co obserwował wtedy, było bardzo nieciekawe, szczególnie nie nadawało się na papier.

Brat odwiedził go tylko raz z jakimś pijanym oficerem, z którym był na ty. Prosił o pieniądze — z początku 100 rubli, potem 50, potem 25 i wreszcie 10.

Dziesięć Watia obiecał mu dać na drugi dzień, kiedy wytrzeźwieje. Zosia zaklinał się, że jest całkiem trzeźwy. Towarzysz jego zaręczał honorem, że Zosia nawet

rosy w ustach nie miał, a już co do tego... Widząc, że poręka najszlachetniejszego chłopca nie odnosi skutku, Zosia poprosił brata o karbowańca, aby wypić. Watia z rozsądku nie odmówił, bo w przeciwnym razie mógłby doprowadzić pijane bydłę do szału, a wtedy już niedaleko do policji, słowem wizyta mogła zakończyć się bardzo teatralnie.

Otrzymaawszy karbowańca, Zosia sprawnie przytknął palcem, mówiąc: — Żyjemy! — i zrobiwszy w tył zwrot, wyszedł z pokoju.

— Dziwak, ale najszlachetniejszy chłopiec! — powiedział jego kumpel, żegnając się z Watią.

To było ostatnie spotkanie braci w twierdzy Orskiej.

Dwa dni po tym spotkaniu Watia wysłuchał za rzeką Orą nabożeństwa przed podróżą. Pół godziny później transport ogromną masą ruszył w step, podnosząc szare tumany kurzu. Za następne pół godziny zza Ory zaczęli powracać do twierdzy wszyscy odprowadzający, lecz wśród nich nie było widać „dziwaka, ale najszlachetniejszego chłopca”. Watia, nie pożegnany, ginął w chmurach pyłu.

W ostatnim liście z twierdzy Orskiej Watia pisał do mieszkańców chutoru, żeby dłuższy czas nie spodzielali się jego „Muchy”, że wyrusza on w step, a w marszu z takim ogromnym transportem nie będzie, być może, czasu na pisanie. „Kiedy wrócę z Raimu, wtedy, Bóg da, opiszę wam wszystko, com widział, i to w miarę możliwości szczegółowo”.

Jednak tak się złożyło, że musiał on w twierdzy Raimskiej zastąpić lekarza N. i zostać w stepie na okres czterech lat.

„Moi kochani, moi niezapomniani mieszkańcy chutoru!

Obiecałem Wam po powrocie do Orenburga opisać dokładnie swoją wyprawę. Sądzono mi jednak było nie wracać tam prędko. Zastępuję tu kolegę i zostałem w twierdzy, zanim los sprowadzi tu kogoś innego, aby zastąpił mnie. Dopóki to się nie stanie, obiecuję po dawnemu posyłać Wam moją «Raimską Muchę» z każdą pocztą.

Ponieważ poczta kursuje nieregularnie, nie przejmujcie się, że «Mucha» będzie nieakuratnie docierać na wasz szlachetny chutor.

12 maja transport, składający się z trzech tysięcy wozów i tysiąca wielbłądów, ruszył z twierdzy Orskiej. Podczas pierwszego etapu (chyba z nieprzyzwyczajenia) nic nie mogłem zobaczyć ni usłyszeć, oprócz chmury pyłu, wozów Baszkirów, wielbłądów i na wpół nagich Kirgizów — poganiaczy wielbłądów. Słowem, przejście pierwszego odcinka odbyło się prędko i niepostrzeżenie. Drugiego dnia ruszyliśmy o wschodzie słońca. Ranek był cichy, jasny i przepiękny. Jechałem z uralskimi Kozakami przodem, pół wiorsty od transportu, więc swobodnie mogłem oddawać się memu łagodnemu smutkowi i oglądaniu otaczającej mnie przyrody. Był to równy, bez najmniejszego wokół wzniesienia i pokryty niby białym obrusem trawą ostnicą nieprzejrzanym step. Piękny, ale jednocześnie smutny obraz! Ni krzaka, ni parowu, całkowicie nic prócz ostnicy, a i ta stoi, nie poruszy się, niby skamieniała. Nie słychać ni szelestu konika, ni szczebiotu ptaka, nawet jaszczurka nie błysnie przed tobą swoim pstrym zgrabnym grzbietem — wszystko oprócz ostnicy martwe, nieme i nie oddychające, tylko z tyłu głucho jęczy jakaś wielka poczwara — to posuwający się transport. Słońce podniosło się wyżej i wyżej. Step zaczynał jakby drgać, ruszać się. Jeszcze kilka minut — i na horyzoncie ukazały się białosrebrzyste fale i

step przeobraził się w ocean-morze. Boczne forpoczty zaczęły rosnać, rosnać i szybko zmieniły się w staki pod żaglami. Czar trwał niedługo. Pół godziny później step znowu przybrał swój ponury, monotony wygląd. Tylko boczni Kozacy, jadący po dwóch, poruszali się jak ogromne ciemne drzewa. Zza horyzontu zaczęła wyłaniać się biała chmurka. Strasznie ucieszyło mnie to zjawisko: Zawsze jakaś różnaitość. Zaczynam zachwycać się nią, a ona, obłudna, to raptem rozplynie się w powietrzu, to znów pojawi się zza horyzontu.

— Widzisz, psy, co wymyślili! — powiedział jeden z Kozaków.

— A co takiego, Diżu Stepanowyczu? — zapytał go drugi.

— Chybaś ślepy, nie widzisz? Step płonie!

— Rzeczywiście, pali się. A psy!

Zacząłem uważniej wpatrywać się w horyzont i rzeczywiście zamiast chmurki zobaczyłem białe kłęby dymu, które szybko znikwały w rozpalonym powietrzu. W południe powiał nam na spotkanie cichy wiaterek i poczułem lekki zapach dymu. Niebawem ukazała się srebrna wstążka Ory i długa zatoka obdarzyła nas świeżym powietrzem. Odetchnąłem swobodnie i gdy transport rozkładał się swoim wielkim czworobokiem wokół zatoki, ja już kąpałem się w rzece. Pożar był jeszcze wciąż przed nami, więc widzieliśmy tylko dym, bo płomienie nie pokazywały się zza horyzontu. Po zachodzie słońca na widnokręgu zaświeciła blada luna. W miarę zbliżania się nocy luna czerwieniała i zbliżała się do nas. Zza ciemnej, ledwo wygiętej gdzieniegdzie linii horyzontu, zaczęły ukazywać się czerwone języki i strumienie. W transporcie zrobiło się cicho, oczekiwano na coś nadzwyczajnego. I rzeczywiście, dziwny obraz ukazał się moim zdumionym oczom:

cała przestrzeń, widziana przeze mnie w ciągu dnia, jakby rozszerzała się i oblała ognistymi strumieniami, rozchodzącymi się prawie równolegle. Cudowny, nieopisany widok! Całą noc przesiedziałem pod swoim namiotem i podziwiając ognisty obraz, wspominałem naszego czcigodnego artystę malarza Pawłowa ¹⁶⁴, który mówił mi często: ucz się i ucz malować, ta nauka żadnej nauce nie zaszkodzi. I naprawdę, jakby przydała się teraz ta piękna sztuka!

W pobliżu transportu, na ciemnej, ledwie pogiętej linii i na ogniowym tle pojawił się sunący długi rząd wielbłądzich sylwetek. W tej chwili nie na żarty zrobiło mi się przykro, że nie umiem malować. Wielbłądy posuwały się jeden za drugim po pochyłości i ginęły w czerwonej mgłę jak chińskie cienie. Na jednym z nich między garbami siedział nagi Kirgiz i improwizował swą jednotonną jak i jego step pieśń. Obraz był pełny. Jednak pod wpływem zmęczenia natychmiast usnąłem pod namiotem. We śnie widziałem znowu tę samą ognistą scenę z dodatkiem *Sodomy i Gomory* Martina ¹⁶⁵.

Obudził mnie ordynans. Transport był gotów do drogi. Zdażyłem jeszcze jakoś tam wypić szklanek herbaty, zanim zabrali mój namiot. Potem dosiadłem konia i pojechałem przodem z Kozakami.

Długo jechaliśmy spalonym stepem i teraz, patrząc na tę bezbrzeżną czarną równinę, przekonałem się, że nie we śnie, ale naprawdę widziałem wczoraj pożar. Około południa podeszliśmy znowu do brzegów Ory i rozłożyliśmy się na nocleg.

Następny odcinek drogi pokonywaliśmy w pobliżu rzeki.

Step był bardziej urozmaicony: gdzieniegdzie ukazywały się pochyłości, miejscami białały urwiska brze-

gów Ory, gdzieś widać było trzciny, a nawet krzaki saksaułu ¹⁶⁶. Przeprawiwszy się na drugi brzeg, transport znów rozłożył swój ogromny czworobok.

Jak zwykle transport ruszył o wschodzie słońca, tylko ja, inaczej niż zawsze, jechałem w straży tylnej. Ora pozostała na prawo od nas, step stawał się, jak poprzednio, jednostajny i nudny. W połowie odcinka zauważyłem, że ludzie zaczęli oddzielać się od transportu, jedni konno, inni pieszo, ale wszyscy w tym samym kierunku. Zapytałem jadącego obok mnie baszkirskiego towarzysza o przyczynę i ten wyjaśnił, wskazując nahajką na ciemny punkt: «Mana aula ahacz» (tutaj święte drzewo). Słowo to zdziwiło mnie. Jak to? W tej martwej pustyni drzewo? Naturalnie, jeśli ono istnieje, to powinno być święte. Za tłumem ciekawych i ja puściłem swego wronego. Rzeczywiście, dwie wiorsty od szlaku, w parowie zieleniła się stara topola. Zastałem wokół niej liczny tłum, który ze zdumieniem i nawet (tak mi się wydało) z uwielbieniem patrzył na zielonego gościa w pustyni. Wokół drzewa i na jego gałęziach pobożni Kirgizi porozwieszali kawałki różnokolorowych materii, wstążki, pasma malowanych końskich włosów, a najbogatszą ofiarą była skóra dzikiego kota, mocno przywiązana do gałęzi. Patrząc na to wszystko poczułem szacunek dla dzikusów z powodu ich niewinnych danin. Ostatni odjechałem od drzewa i długo jeszcze oglądałem się, jakbym nie wierzył oglądanemu cudowi. Obejrzałem się znowu i zatrzymałem konia, aby ostatni raz zachwycić się ubóstwianym zielonym olbrzymem pustyni. Powiał lekki wiaterek i olbrzym kiwnął do mnie uprzejmie swoją kędzierzawą głową, a ja, w zapomnieniu, powiedziałem jakby do żywej istoty:

— Żegnaj! — i cicho pojechałem za skrywającym się w tumanach kurzu transportem.

Zatrzymaliśmy się nad rzeką Kara-Butak, w pobliżu budowanego tu fortu. Tutaj spędziliśmy dzień. Ponieważ jechał z nami ksiądz, na drugi dzień zostało odprawione nabożeństwo. Poświęcono też plac pod fort. W gronie innych osób budowniczy fortu zaprosił mnie na obiad w kubitce. Tu właśnie zawarłem z nim znajomość, jedynym człowiekiem w całym bezludnym orenburskim kraju.

Po długiej, bardzo serdecznej rozmowie pożegnałem się z nim już w nocy. Na drogę podarował mi flaszkę piolunu i dwie cytryny — drogocenny dar w takiej pustyni jak Kara-Kum¹⁶⁷, gdzie miałem możliwość ocenić wartość podarunku.

Od Kara-Butak do Irgizu¹⁶⁸ przeszliśmy jeszcze dwie niewielkie rzeczki Jaman-Kajrakły i Jaszi-Kajrakły. Fizjonomia stepu była tak samo ponura, z tą tylko różnicą, że gdzieniegdzie na płaskich wzniesieniach widniały, niczym latarnie morskie, kirgiskie, z kamienia lub z trzciny i gliny zlepione „mazanki”, jak nazywają je uralscy Kozacy. Ciekawe też, że cała ta przestrzeń usypana jest kwarcem. Dlaczego nikomu nie przyjdzie do głowy na brzegach tych rzek poszukać złota? Może i w kirgiskim stepie powstałoby nowe San Francisco. Kto wie?

Przebywszy usianą kwarcem przestrzeń, przeszliśmy w bród rzekę Irgiz i ruszyliśmy wzdłuż lewego płaskiego brzegu. W dali na horyzoncie siniała góra, uwieńczona mogiłami bohaterów i kirgiskich świętych, którą nazywają „mana aulia”, to znaczy tutaj: święty.

Zostawiwszy górę z prawej strony, przystanęliśmy na brzegu Irgizu niedaleko mogiły bohatera Dustana. Był to sklecony z gliny pomnik, przypominający ogólnym wyglądem sarkofagi starożytnych Greków.

Zatrzymaliśmy się w tym samym miejscu, gdzie

wczoraj banda Chiwińców napadła na przechodzący przed nami transport i porwała kilku ludzi, a kilku zabiła. Po raz pierwszy widziałem zniekształcone trupy bez głów, porzucone w stepie niczym padlina. Naczelnik transportu kazał je pogrzebać, a ksiądz odprawił żałobne nabożeństwo za dusze zabitych.

Jeszcze jeden odcinek i znaleźliśmy się w twierdzy Uralskiej. Nigdy nie zapomnę tego smutnego wrażenia, jakie zrobił na mnie wygląd fortu. Z odległości około piętnastu wiorst zobaczyliśmy na wzniesieniu niewyraźny kształt. Zapytany przewodnik odpowiedział krótko:

— Irgiz-Kała.

Zbliżyliśmy się na taką odległość, że można było rozpoznać przedmioty. Wyobraźcie sobie na szarym tle grupkę szarych mazanek pod trzciniowymi dachami, otoczoną ziemnym wałem. To był pierwszy fort stepowy, jaki zobaczyłem, i jego smutny wygląd zrobił na mnie takie nieprzyjemne wrażenie. Rzeczywiście, z daleka przypominał on raczej zagrody lub koszary niż ludzkie siedziby.

Minąwszy fort Uralski, zatrzymaliśmy się dwukrotnie nad jeziorami, a trzeci nocleg i biwak dzienny spędziliśmy nad rzeką Dżałowły. Za tą zgniłą rzeczką zaczyna się straszne Kara-Kum (czarne piaski). Dzień był cichy i gorący. Przez cały czas rozmawiano tylko o Kara-Kum. Ci, co bywali na pustyni, opowiadali okropności, a my, którzy tam nie byliśmy, wiadomo, słuchaliśmy i baliśmy się.

Przed świtem zaczęto juczyc płaczliwe wielbłądy i smarować wozy. Naczelnik transportu naglił, aby ruszyć jak naprędzej i przejść odcinek przed upałem. Wyobraźcie sobie nasze zdziwienie: gdy weszliśmy w piaskowe wzgórza, słońce wzniosło się już dość wysoko, a spodziewanego upału ani śladu. Im wyżej

wznosiło się słońce, silniej świstał północny wiatr i robiło się chłodniej, tak że w południe musieliśmy przywdziać szynele.

Przez trzy doby nie zdejmowaliśmy ubrań, więc zaczęto drwić z tych, co opowiadali o okropnościach Kara-Kum. Nagle wiatr zaczął szybko cichnąć i w południe całkowicie ustał. Do studni było jeszcze około dziesięciu wiorst, lecz te dziesięć wiorst wydało mi się dziesięciokrotnie dłuższe.

Upał był nieznośny. Nigdy w życiu nie odczuwałem tak strasznego pragnienia i nigdy w życiu nie piłem takiej paskudnej wody jak dziś. Oddział posłany naprzód, aby wyczyścić studnie, czemuś ich nie znalazł. Przyszliśmy więc na zgniłą słono-gorzko-kwaśną wodę. W dodatku nie można było jej pić, nie precedziwszy. Pełno w niej było wszy i mikroskopijnych pijawek.

W takiej sytuacji przypominałem sobie o prezencie mego karabutackiego przyjaciela i dzięki jego domyślności wypilem szklanekę herbaty z cytryną.

Niczym tak szybko nie ugasisz pragnienia, jak gorącą herbatą zagryzaną cukrem. Ten tylko odczuje prawdziwą wartość tego chińskiego produktu, kto choć raz przechodził przez ową kirgiską Saharę.

Transport ruszył dwie godziny przed świtem. Nocą, moim zdaniem, najlepiej przechodzić przez Kara-Kum. Nocą nie dostrzegasz jednostajności piaskowych garbów i nie potrzebujesz dalekiego horyzontu. Konie i wielbłądy widzą to inaczej: one w dzień i pod ciężarem, i na wolności — muszą walczyć ze swoim najokrutniejszym wrogiem — gzem, zaś w nocy wróg ten milknie i one cieszą się spokojem.

Gdy wzeszło słońce, zobaczyliśmy przed sobą ogromną bładoróżową równinę. Było to wyschłe jezioro, którego dno pokryło się cienką warstwą białej jak cukier soli. Takie równiny i przedtem spotykaliśmy

między piaszczystymi garbami pustyni Kara-Kum, ale nie tak obszerne jak ta i nie oświetlone wschodzącym słońcem.

Długo nie mogłem oderwać oczu od tego gigantycznego białego obrusa, lekko spowitego w różowy cień.

Jeden z Kozaków zauważył, że ja bacznie patrzę na białą płaszczyznę, i przestrzegał mnie:

— Niech wasza wielmożność nie patrzy, można oślepnąć!

Rzeczywiście, poczułem lekkie drganie światła, więc zamknąłem oczy i ruszyłem się, by dogonić przewodnika, który wyjechał daleko naprzód. I tak przekłusowałem całą oślepiającą równinę. Po jej drugiej stronie z wysokiego wzgórza zachwyciłem się nie oglądanym nigdy widokiem, będąc sam atmem tego olbrzymiego płótna. Przez całą białą równinę czarną smugą rozciągał się nasz transport, a właściwie jego połowa. Druga połowa, niby ogon czarnej żmii, wiła się, przewalając się przez wyniosłości piaskowe. Cudowny i straszny widok!

Błyszczące tło, białe tło obrazu, znowu zaczęło działać na moje oczy, więc szybko ukryłem się w piaszczystych wzgórzach.

Przed wieczorem wielu ludzi zgłosiło się do mnie, prosząc o poradę lekarską. Nie widzieli oni nic prócz szarej mgły. Nie stwierdziłem jednak objawów ślepoty. Zasłoniłem im na drugi dzień oczy włosianymi siatkami. Na tym się zakończyła sprawa.

Pagórki zaczęły się wyrównywać, pojawiały się dosyć szerokie równiny. Na prawo od drogi już trzeci dzień widzimy siną górę, a ona jakby oddalała się od nas.

W miarę tego, jak piaskowe wzniesienia wyrównywały się, coraz węższa stawała się szeroka biała wstę-

ga końskich i wielbłądzych szkieletów rozciągająca się przez Kara-Kum.

Jeszcze jeden odcinek i na widnokregu w południowej stronie zobaczyliśmy ledwo dostrzegalną niebieską linię. Było to Morze Aralskie. Smutny transport wnet ożywił się, jakby poczuł świeżość w powietrzu, ciesząc się powiew morza.

Na drugi dzień kąpaliśmy się już w Saryczaganaku (zatoka Morza Aralskiego). Jeszcze jeden dzień posuwaliśmy się brzegami zgniłych słonych jezior tejże zatoki i znowu wyszliśmy na równinę, pokrytą krzakami saksaułu. Ten następny odcinek do jeziora Kamyszłybasza (zatoka Syr-darii) przeszliśmy w nocy, gdyż w ciągu dnia było to niemożliwe. Temperatura w cieniu doszła do 40°, a w rozpalonym piasku w ciągu pięciu minut jajko gotowało się na miękko. Ostatni odcinek drogi przebyliśmy też w nocy. Gdy wschodziło słońce, podeszliśmy do fortu Raimskiego.

Widok ze stepu na fort był jeszcze smutniejszy niż na Kała-Igriz.

Na równej poziomej linii ledwo wznoszą się nad wałem długie, kryte trzcina koszary, i oto cały Raim. Na spotkanie wyszedł nam prawie cały garnizon. Oblicza blade, pozbawione radości, jak u aresztantów. Ogarnął mnie strach.

— Czy panuje u was jakaś choroba? — spytałem jednego z oficerów.

— Chwała Bogu, wszystko w porządku — odpowiedział.

Podjechawszy do fortu, zobaczyliśmy zielony pas trzciny i gdzieś tam wyglądającą z ciemnej zieleni srebrzystą Syr-darię.

Otóż jestem w Raimie.

Między dwoma szerokimi jeziorami występuje wysoki cypel, na którym zbudowano fort zwany Raimem

od abby wzniesionej tu sto lat temu nad ciałem bohatera Raima. Resztki tej abby weszły w granice fortu.

Miejsce mego terazniejszego pobytu opiszę w następnym liście. A teraz modłę się o Wasze zdrowie, moi mili, moi niezapomniani mieszkańcy chutoru. Proszę Was nie zapominajcie i mnie w tej ponurej pustyni.

P. S. Niechaj Stepan Martynowycz dokładnie opisze mi, jak tam jego szkoła i pasieka. Karolowi Josypowyczowi po prostu kłaniam się. Wiem, że on na pisanie nie ma czasu”.

W dwa lata po nadejściu na chutor wspomnianego listu przez kilka miesięcy z obowiązku służbowego przebywałem w Zołotonoszy i w Perejasławiu. Podczas pobytu w Perejasławiu prawie codziennie odwiedzałem mieszkańców chutoru, jak dawnych i bliskich moich przyjaciół i, rozumie się, zawsze byłem uczestnikiem prawie publicznego czytania „Raimskiej Muchy”. Mówię „prawie publicznego czytania”, bo Nykyfor Fedorowycz czytał ją wszystkim, którzy odwiedzali go na chutorze. Słuchając przez całą zimę „Muchy” zauważyłem w niej jakieś smutne, monotonne tony. Mieszkańcom chutoru to, oczywiście, nawet na myśl nie przyszło.

Pierwsze arkusze ze stepu lekarz jeszcze jakoś urozmaicał, opisując na przykład życie na wpół nagich koczowniczych Kirgizów, porównując ich z biblijnymi Żydami, a ich aksakałów¹⁶⁹ z patriarchą Abrahamem.

Czasem opisuje on mieszkańców fortu, porównując ich z różnorodnym tłumem wyrzuconym na bezludną wyspę, a osiedle nazywa żartobliwie chałupą, która nie chroni od słońca, ani od deszczu, ani od chłodu i mrozu, jest siedliskiem niezliczonej ilości pcheł i pluskiew. Przed skorpionami i tarantulami rozście-

lają na podłodze chaty filc, którego one, według Kirgizów, strasznie się boją, bo filc śmierdzi baranem, a baran, jak wiadomo, łakomy jest na nie jak my (nie osądzam nikogo) na ostrygi.

W jednym z listów Watia opisuje też w tonie humorystycznym swego krajana, który brał udział w opisanej ekspedycji nad Morze Aralskie i powrócił do twierdzy z szeroką brodą. Kozacy uralscy (nie wyłączając oficerów) wzięli go za swego pozbawionego kapłaństwa księdza, cierpiącego za wiarę (krajana ten, jak widać, należał do nieszczęśliwych) — i on błogosławił ich wielkim krzyżem i zbierał ofiary w naturze w postaci spirytusu. Komedja ta trwała dopóty, dopóki dowódca kompanii nie nakazał mu zgolić brody. Gdy nie stało brody, ustały hołdy i ofiary.

Ponadto Watia pisze, że był to człek niegłupi, że zaprzyjaźnił się z nim serdecznie, tak serdecznie, że gdyby nie ten rozmowny i wykształcony ziomek, to Watia mógłby zostać gorliwym mnichem kamedułów. Ten szczęśliwy rodak, a szczęśliwym lekarz nazywa go dlatego, że nie zważając na okropne położenie teraz i w przeszłości (przekroczył on już pięćdziesiątkę) — nigdy, nawet w najszczerzej rozmowie, nie narzekał na swój los. Z tego powodu w żartach Watia nazywał go kantonistą¹⁷⁰, a więc człowiekiem spowitym zamiast w pieluszkę, w żołnierski szynel.

Sokyrą pisze, że ów rodak podał mu takie ważne wiadomości o brzegach i wyspach Morza Aralskiego, takie informacje o treści geologicznej, że podziękowały za nie sam Murchison¹⁷¹.

W przedostatniej kopercie znajdował się także drukowany rozkaz Specjalnego Korpusu Orenburskiego, gdzie napisano, że Zosim Sokirin odznaczył się tak, że z podoficera został awansowany na podchorąż-

zego, co bardzo Watię cieszy, ale dziwi się też i nie może zrozumieć — czym mógł się odznaczyć.

Ostatni list, w którym Watia pisał, że w forcie panuje szkorbut, a konie zdychają dziesiątkami od zarazy syberyjskiej, był czytany przez poczciwego Stepana Martynowycza, gdy Nykyfor Fedorowycz leżał na śmiertelnym łożu. Na drugi dzień setnik został namaszczony świętymi olejami, a trzeciego dnia o trzeciej godzinie rano odesłał on swoją poczciwą duszę na łono Abrahama.

Nykyfor Fedorowycz mnie i Stepana Martynowycza wyznaczył na wykonawców swojego testamentu, bo Karol Josypowycz wyjechał tej zimy w goście do swego Dorpatu i tam pozostał.

Paraskowiji Tarasiwnie w testamencie pozostawia prawa matki tylko w odniesieniu do Sawatija, a o Zosymie nawet nie wspomina. Prosi też, żeby pogrzeb odbył się w cerkwi Pokrowy i żeby jej historyczna ikona w czasie pogrzebowego nabożeństwa była ustawiona koło trumny u jego głowy.

Cerkwi Pokrowy ofiarowuje dwa pudy złotego wosku, pud białego wosku i wielki świecznik przed obraz Matki Boskiej.

Prosił, aby ciało jego pochowano koniecznie w paśmie i aby na jego grobie od strony głowy posadzono lipę, a u nóg czereśnię.

Prosił też, aby nie zamawiano krzyża kamiennego w Trachtemyrowie, dlatego że kamień to tylko zbędny ciężar na grobie grzesznika, lecz żeby powieszono na lipie i czereśni ikony Zosyma i Sawatija. Wyraził też życzenie, aby corocznie na Pokrowę odprawiano nabożeństwo za jego grzeszną duszę, za duszę prawego Iwana Kotlarewskiego, a równocześnie corocznie urządzo obiad dla biednych i wszystkich, kto tylko zechce, w liczbie około stu ludzi. Gęśle i latopis Konyskiego

schować do szafy z książkami, zamknąć, a klucz pocztą posłać Sawatijowi.

„A jeszcze — dodaje on — kto odważy się, oprócz mego Sawatija, położyć świętokradczą rękę na ten skarb mój, niechaj będzie przeklęty”.

Marynie wyznaczył dziesięć rubli w srebrze corocznie aż do śmierci, a Stepanowi Martynowyczowi dwadzieścia pięć rubli oraz jednorazowo dwadzieścia pięć uli pszczół.

Pochowawszy swego najlepszego przyjaciela dokładnie według testamentu, wyjechałem niebawem do Kijowa na miejsce swej służby, polecając Stepanowi Martynowyczowi, aby każdego miesiąca pisał mi dokładnie, co dzieje się na chutorze.

Pierwszego każdego miesiąca systematycznie otrzymywałem list od mego wielce szanownego przyjaciela. Listy jego, oczywiście, nie oślepiały błyskawicami intelektu i wyobraźni czy uczoności ani nowym spojrzeniem na rzeczy, ani też nowymi ideami. Nie było w nich błyskotliwego stylu jak na przykład w *Listach z granicy* pisanych przez prawodawcę języka rosyjskiego¹⁷² albo w *Listach z Finlandii*¹⁷³ jego szczerego przyjaciela i pomocnika.

Nie, u mego przyjaciela nic z tego nie było. Za to w tych prostych listach jakby diament w koronie cnót pałała jego niepokalana dusza.

Czytając je byłem jakby osobiście na chutorze, spostrzegałem najmniejsze szczegóły: widziałem na przykład, jak nieostrożną Marynę, co przyszła w wolną chwilę na pasiekę, pszczoła użądliła w nos. Maryna była taka śmieszna, że nawet Paraskowija Tarasiwna się uśmiechnęła.

Zwolniwszy uczniów na Wielkanoc, Stepa nie zbierał już ich, aby mieć więcej czasu na doglądanie pasiek i w ogóle na dozór gospodarstwa, gdyż Paraskowija Tarasiwna wyrzekła się wszystkiego i zamierzała zostać zakonnica, tylko nie w klasztorze Frołowskim w Kijowie, a w chronionej przez Boga pustelni Czernihowskiej.

Była już gotowa do drogi, i dowód otrzymała, i torbę uszyła, gdy nagle, jak z nieba zjawił się na chutorze Zosym Nykyforowycz. Zjawił się i wszystko przewrócił do góry nogami. Początkowo ukrywał swoje podłe namiętności, powoli jednak wyłaziło szydło z worka. Zosym założył w domu szynk i karciarskie zbiegowisko. Odsunął od wszelkiego wglądu w sprawy gospodarstwa pokornego mego towarzysza i wreszcie wypędził z domu najpoczciwszą łagodną staruszkę Paraskowiję Tarasiwnę. Biedna, znalazła przytułek w szkole u litościwego Stepana Martynowycza i ponad trzy lata słuchała szalonych pieśni pijanych karciarzy.

Chciałem wystąpić w obronie prawowitego spadkobiercy, ale setnikowa błagała mnie, aby nie ruszał Zosi, bo może on sam powróci na dobrą drogę.

Minął jeszcze rok, ale poprawy nie było. Wreszcie zdecydowałem się napisać do Sawatija i poradziłem mu, że jeśli chce wnieść spokój w ostatnie dni swej matki i zachować choćby niewielką część swego spadku, to niech poda się do dymisji, a jeśli to niemożliwe, niech weźmie półroczny urlop i czym prędzej — tym lepiej — przyjeżdża na chutor.

Sawatij tak też uczynił. Podał się do dymisji, bo czas obowiązkowej służby za wykształcenie skończył się. Mógł więc teraz według woli decydować o sobie.

Przybywszy na chutor, musiał również zatrzymać się w szkole, bo wstyd było wejść do domu. Począt-

kowo prosił brata uprzejmie, ale ten rzucił w niego takim słowem, jakiego nie znajdziecie w słowniku najpodlejszego horodniczego.

Wtedy Sawatij zwrócił się do władz i zgodnie z testamentem wszedł w posiadanie chutoru wraz z przynależnymi mu dobrami, a zhańbiony Zosym został wypędzony.

Oburzyło się twoje ciche i łagodne serce, gdy z kluczem w rękę zbliżyłeś się do drogocennej szafy, która strzegła świętości przechowywanych w niej mocą przekleństwa umierającego człowieka.

Oburzyło się twoje szlachetne serce, gdy dotknąłeś złamanego już zamka. Oburzyło się twoje biedne serce, gdy otworzyłeś szafę i zobaczyłeś najdroższe gęśle, na których grzmiał, natchniony niczym Dawid, Hryhorij Hreczka, a poważny, szlachetny ojciec twój niepokoił niekiedy cichymi akordami serce swej żony i dobrodusze szlachetne serce jedyne go swego przyjaciela Stepana Martynowycza. Zobaczyłeś, że gęśle są rozbite, struny porwane, a piękny rysunek tańczących pasterek poplamiony gorącym popiołem tytoniowym. A święty jego psalterz, Herodot¹⁷⁴, jedyna jego radość — latopis Konyskiego, na w pół porwane, bo nimi zapalano fajki.

Zobaczywszy to wszystko, Sawatij osłupiał. Łzy polały się strumieniem po jego męskich bladych licach i wtedy cicho, ledwie słyszalnym głosem powiedział: — Bóg was osądzi! Wandale! Barbarzyńcy!

Na trzeci dzień po tym wydarzeniu otrzymałem w Kijowie rozbite gęśle i list, więc oddałem je, nie zwlekając, do dobrego majstra. Gdy gęśle były naprawione i struny naciągnięte, zapakowałem je w skrzynkę, wziąłem urlop na dwadzieścia osiem dni i pojechałem do Perejaśławia, to znaczy na chutor.

Wszystkich zastałem jeszcze w szkole, ale dom był już odremontowany, wybielony, a na jutro zaproszono sobornego protojereja ze służbą kościelną i pokrowskiego ojca Jakuba, również z towarzyszącymi mu osobami, aby wyświęcili odnowiony dom.

Rozpakowano gęśle i, nie wiadomo kiedy, uczyniło się radośnie. Sawatij, lekko trącając struny, zaśpiewał pięknym tenorem swoją ulubioną pieśń:

Czy ja taka urodylaś,
Czy bez doli ochrestylaś
Czy takiji kumy brały,
Tałan-dolu odibrały ¹⁷⁵.

Stepan Martynowycz wtórował mu cicho, a Paraskowija Tarasiwna, siedząc w kącie, płakała spazmatycznie.

Na drugi dzień około godziny dziesiątej przybyło duchowieństwo z krzyżami i chorągwiami. Wyświęciwszy budynek, procesja obeszła dookoła chutor i piasieki, śpiewając psalmy i stychiery ¹⁷⁶. Sam protojerej zaczerpnąwszy wody z Alty, przeżegnał ją krzyżem życiodajnym i kropił początkowo wszystkich wokół siebie, a potem każdego z osobna. Po skończeniu nabożeństwa zdjął z siebie ornat, pobłogosławił jedzenie i napoje. Potem usiadł do stołu, a za nim inni duchowni oraz świeccy.

Paraskowija Tarasiwna jakby odmłodziła. Przypomniała sobie dawniejsze uczty religijne i to, jak w owych czasach krążyła wokół stołu z flaszką i kieliszkiem, prosząc każdego gościa, by choć skosztował. Goście, rozumie się, według zwyczaju dziękowali. Jeden tylko liberał, stycharny soborny pałamarz ¹⁷⁷ nie odmawiał.

Kiedy uczta zbliżała się do końca i nie podawano

już żadnych potraw oprócz śliwownicy, duchowni, nie odchodząc od stołu, wstali i zaśpiewali:

Zbaw mających w Tobie nadzieję,
Matko niezachodzącego słońca.

Kiedy ukończono hymn i dziękczynną modlitwę po obiedzie, duchowni podziękowali gospodarzom i znowu usiedli na miejsca już nie gwoli jadła, a pouczającej rozmowy. Duchowni niższego stanu — diacy, pałamarze i kościelni wyszli ze świetlicy i, pospacerowawszy trochę po sadzie, udali się na łąkę. Stał tam tylko co uskładany stóg siana. Wszyscy jednogłośnie zdecydowali ułożyć się w cieniu i zasnęli snem sprawiedliwych.

W świetlicy natomiast rozmowy toczyły się prawie do nieszporów. Mówiło się o sprawach obywatelskich, a także na tematy filozoficzne i teologiczne. Szczególnie ojciec Nykanor, młody teolog, mówił dużo na temat *Pisma Świętego* i wciąż po łacinie, po grecku i po hebrajsku. Wszystkich pisarzy starochrześcijańskich cytował z pamięci.

Starsi podziwiali jego geniusz, kiwali siwymi brodami i znacząco spoglądali po sobie, jakby mówili: — Oto jest głowa!

Paraskowija Tarasiwna, słuchając mówcy, płakała. Stepan Martynowycz może więcej od innych rozumiał mówiącego, ale nie zdradził się niczym. Gdy Paraskowija zaczęła płakać, nauczyciel uspokajał ją, tłumacząc, że ojciec Nykanor cytuje przecież nie żalosalne, a raczej satyryczne teksty.

Aby położyć kres tej łzawej tragedii, protojerej poprosił o gęśle. Gdy mu je podano, wstał, poprawił rękami białosnieżną brodę, odgarnął szerokie rękawy fioletowej riasy¹⁷⁸, położył palce na struny i cichym głosem zaśpiewał:

O opiewana matko!

Do prałata dołączyli się duchowni, Sawatij i nawet Stepan Martynowycz. Śpiew wypadł nadspodziewanie cichy i piękny. Później popłynęły jeszcze różne duchowne kanty i w końcu przestawiono się na pieśni świeckie.

Zaczęli już śpiewać chórem:

Zażuryłaś popadia
Swojeju bidoju ¹⁷⁹.

Chcąc uchronić ludzi od pokusy i czujnych sił człowieka wroga, prałat rozkazał siadać na bryczki i ruszać do domu. Nie bacząc na wielki żal Paraskowiji Tarasiwny, wszyscy zastosowali się do jego woli.

Grupa sług cerkiewnych wyszła spod stogu siana już o zmroku. Nie wstępując na chutor przeszła przez płot, a znalazłszy się na drodze do miasta, zgodnie zaśpiewała chórem:

Zyto, maty, żyto, maty,
Zyto, ne połowa ¹⁸⁰.

Wieczór był cichy, więc Stepan Martynowycz, zbliżywszy się do Alty, przystanął i długo słuchał pieśni, co cichła w dali, ale nie mógł domyślić się, kto to śpiewa tak rozkosznie.

Wypełniwszy święty obowiązek wykonawcy testamentu, którym obdarzył mnie zmarły mój przyjaciel Nykyfor Fedorowycz Sokyra, następnego dnia po opisanym przeze mnie święcie ruszyłem do Kijowa.

Sawatij Sokyra ze swymi zasadami postępowania w kwestiach ogólnych, a poglądami na sprawę człowieka, w szczególności, ze swoim młodzieńczym spojrzeniem na wszystko, co piękne w przyrodzie, bardzo mi przypadł do gustu.

Kiedy mówił o zachodzie słońca albo o wschodzie

księżycą nad uśpionym jeziorem czy rzeką, to słuchając go, zapomniałem, że on jest medykiem, i cieszyłem się, że nauki ściśle nie zgasiły w jego duszy świętej iskry poezji.

Gdy zegnaliśmy się, nie mogłem mu (będąc starszym) poradzić nic innego, jak tylko to, żeby szedł za głosem własnych uczuć i przekonań. Prosiłem go, aby pisał do mnie jak najczęściej.

Wróciwszy do Kijowa wyładowaliśmy z mojej nejtyczanki¹⁸¹ kadź na trzy wiadra białego jak cukier lipowego miodu.

— To — mówi mój Jarema — podarunek Stepana Martynowycza. On sam postawił i surowo nakazał, abym nic nie pisał.

— No, dziękuję mu, że dał nam starym połasować. Trzeba będzie i jemu coś posłać, he? Jak ty myślisz, Jaremo?

— Pewnie trzeba, nie jesteśmy przecie bydłętami bez czucia.

— Cóż mu posłać? Dalibóg nie wiem. Może zamówić u Senczyłowa¹⁸² obraz na pasiekę? Ale on obraz ma dobry. Aha! Mówił kiedyś, że chciałby przeczytać Efrema Syryjczyka. Więc dobrze. Weź, Jaremo, te pieniądze i kartkę, i idź do Ławry¹⁸³. Pytaj o ojca drukarza. Oddaj mu to, weź od niego wielką książkę i przynieś do domu.

Gdy minęło kilka dni, Stepan Martynowycz siedział w swojej pasiece i próbował znaleźć u Efrema Syryjczyka odpowiedź na pytanie, skąd wzięły się takie różnice między rodzonymi braćmi. Przeczytawszy książkę od deski do deski, zamyślił się głęboko. Podumawszy, napisał list do ojca drukarza z prośbą o przesłanie mu Justyna Filozofa. Dołączył oczywiście pięć karbowanów srebrem. Ponieważ Justyna Filozofa w kijowsko-peczerskiej drukarni nie było, Stepan

Martynowycz pozostał przy poglądzie, że takie cuda powstają tylko z woli wszechmogącego Boga i że nie można tu dopatrywać się najmniejszego wpływu człowieka na człowieka.

Zamiast Justyna Filozofa ojciec drukarz przysłał nauczycielowi akafist do Przenajświętszej Bogarodzicy Hodigitrii¹⁸⁴ i *Kijowski Pateryk*¹⁸⁵. Z niego właśnie nauczyciel zaczerpnął ideały i postanowił naśladować do śmierci świętego, pięknego i pobożnego młodzieniaszka ze świty księcia Borysa¹⁸⁶.

W ciągu roku otrzymałem od Sawatija Sokyry za ledwie dwa listy, i to bez żadnych głębszych treści. Były one jak listy ucznia, który pisze do rodziców tak, jak dyktuje mu nauczyciel. Zresztą Sawatij sam odczuwał tę pustkę i tłumaczył się tym, że nie zebrał jeszcze materiałów do porządnego listu. Pisał, że najnudniejsza monotonna historia to historia najszczęśliwszego narodu.

Za to regularnie, każdego miesiąca, przysyłał nie długie listy pocziwy Stepan Martynowycz. Opisywał coraz dokładniej wszystkie wydarzenia nie mające żadnego związku z mieszkańcami chutoru, na przykład:

„W przededniu Podwyższenia Krzyża Świętego u mego przyjaciela, mieszczanina Karpa Zozuli, kobyła urodziła płowe źrebię, a u naszego sąsiada tejże nocy ukradziono wołu”.

Co się tyczy mieszkańców chutoru, to nauczyciel okazał się niezmiernie płodny. Słowem, Stepa wyobrażał sobie, że jest wykonawcą testamentu, a ja jego kolegą.

W jednym ze swoich nielakonicznych listów nauczyciel opisuje pojawienie się na chutorze Zosyma w pożalowania godnym stanie.

„Zastukał on do drzwi szkoły, gdy zakończyłem już modlitwy przed snem i czytałem trzecią pieśń ku czci Przenajświętszej Bogarodzicy Hodigitrii. Opanowały mnie strach i drżenie.

— Kto tam? — zawołałem z gniewem.

— Otwórz — mówi — w imię Chrystusa, Stepanie Martynowyczu.

Słyszę, że nazywa mnie po imieniu, wziąłem kaganiec, poszedłem i otworzyłem drzwi. Pociemniało mi w oczach, gdy na progu szkoły zobaczyłem odzianego w łachmany marnotrawnego syna Zosię.

— Co — mówi — nie poznałeś mnie, wujku? Widzisz, jaki jestem chwata.

— Oczom swoim nie wierzę — mówię.

— No to pomagaj pięknie i uwierz rękom.

— Nie wierzę — mówię znowu.

— Ja — mówi — twój były uczeń, a teraz zasłużony złodziej, pijanica i uprzywilejowany karciarz — Zosim Sokirin. No, a teraz wiesz?

— Wiem, mówię.

— Więc gdy wiesz, to nie ma o czym mówić. Poślij po sil vous plait. Rozumiesz? Po wódkę. Poszukaj też, czy nie ma gdzieś spleśniałego knysza z zeszłorocznego popowskiego zbioru.

— Gorzałki — mówię — nie mam i posłać nie mam kogo.

— Dawaj pieniądze, sam pójdę.

Dałem mu na kwartę i on z pośpiechem wyszedł. Dostałem z komory miodu, chleba, postawiłem na stole i chciałem dalej czytać akafist, ale byłem wzburzony i nie mogłem zebrać myśli z powodu nieoczekiwanej wizyty. Długo chodziłem po szkole jak po nieprzebytym lesie, ale Zosia nie przychodził.

Dopaliła się świeca przed obrazem, zapaliłem już

drugą i ta druga spaliła się do połowy. Zosia jednak nie nadchodził.

— Panie — myślę sobie — żyjący w niebiosach, znawco serc ludzkich. Czyż nie nawiedziło mnie widmo szatana. — Więc przeczytawszy «Niechaj Bóg zmartwychwstanie» uspokoilem się, przeczytałem znowu modlitwy do świętej Bogarodzicy Hodigitrii, przegnałem drzwi, okna i komin, odmówiłem trzykrotnie «Niechaj Bóg zmartwychwstanie» i położyłem się spać.

Na drugą noc pojawiło się to samo widmo, na trzecią także. Daje mu wciąż na kwartę wódki i ono znika.

Zawiadomiłem o tej zjawie Paraskowiję Tarasiwnę i ona biedna wyraziła chęć udania się do szkoły, aby naocznie się o tym przekonać.

Wieczorem wyszliśmy z Paraskowiją Tarasiwną ni-by na spacer. Sawatij Nykyforowycz był w mieście w sprawach służbowych. Gdy ściemniło się, przyszlismy do szkoły. Zapaliłem świecę, wziąłem *Pateryk* i zacząłem czytać dla uspokojenia życie świętego męczennika Mojżesza Uhryna, który z powodu swej cnoty zaznał cierpień od pewnej rozpustnej szlachcianki. Doczytałem już do tego miejsca, gdzie święty piękny młodzian znalazł się wśród brańców, których przydzielono wdowie po wojewodzie, pięknej na licach, ale w sercu podobnej do żmii.

Paraskowija Tarasiwna pierwsza usłyszała stukanie do drzwi, a później i ja. Zamknąwszy księgę, poszedłem otworzyć. Setnikowa też szła za mną, aby ukryć się w sieni i nie być widzianą. Lecz kiedy otworzyłem drzwi, kobieta w świetle kagańca zobaczyła zniszczoną, rozpustną twarz swego Zosi. Na ten widok krzyknęła i upadła bez czucia. Przybysz ryknął na mnie niczym rozjuszony lew:

— A niegodziwcze, Judaszu, chciałeś mnie sprzedać! Mów, kto tu jest, bo cię wykończę!

I tak ścisnął mnie za gardło, że ledwo wykrztusiłem:

— Twoja matka.

— Jeśli tylko ona, to nawet dobrze. Już dawno chciałem z nią pomówić. Gdzie ona jest?

Poświeciłem mu kagańcem i wskazałem rozciągniętą na podłodze Paraskowiję Tarasiwnę. On spojrzał na nią i rzekł:

— Nic jej nie będzie, niechaj odpocznie, a my sobie porozmawiamy. Czy wykonałeś mój rozkaz? Dzisiaj ostatni termin: pieniądze albo módl się do Boga. — mówi.

Właśnie w tej chwili setnikowa jęknęła. Wszedłem do sieni, wziąłem ją biedną na ręce i jak małe dziecko położyłem na swym twardym łożu. Powoli kobieta oprzytomniała i szepnęła:

— Zosiu mój! Zosiu mój! Synu mój jedyny!

— Jestem tu, mateczko, co chcecie powiedzieć?

Popatrzyła nań i zalała się gorzkimi łzami. Przybysz długo patrzył na te jej łzy i wreszcie przemówił:

— Słuchajcie, mateńko! Ani omdlenia, ani łzy, ani modlitwy, ani nawet wasze przekleństwa nie mogą mnie wzruszyć. Wszystko to kosałki-opałki, głupstwa. Jedno, powiem wam, co może mnie zawrócić na dobrą drogę, to pieniądze. Dajcie pieniędzy, a im więcej, tym lepiej. A w samej rzeczy dlaczegoż to mnie pozabawiono spadku? Pewnie dzięki waszej protekcji! Otóż teraz otwórzcie kiesę.

— Zosiu mój! Synu mój jedyny! — powiedziała znowu.

— Nic tu po tym „jedynym”. Jestem dla ciebie taki syn, jak ty moja matka. No, ruszaj się, Stepanie Martynowyczu! Ona ci potem odda!

Dobylem z kadzi wszystko, co miałem, i oddałem mu. Zosia wziął pieniądze, przeliczył i zapytał:

— Więcej nie ma?

— Nie ma — mówię — oddałem do ostatniego grosza. . .

— Uważaj — kłamać to grzech — sam mnie uczyłeś. No, na pierwszy raz dosyć. Teraz marsz na Pidwarki! Teraz im pokażę, kim jestem! Do widzenia, mateńko! Nie zapomnijcie oddać długu. — Po tych słowach wyszedł ze szkoły. Paraskowija Tarasiwna jeszcze raz jęknęła:

— Zosiu mój, synu mój jedyny! — i upadła na łóżko niczym martwa.

Zostawiwszy ją w omdleniu, poszedłem na chutor zawiadomić Sawatija Nykyforowycza o tym, co się wydarzyło, i prosić o pomoc. Lekarz dopiero co wrócił z miasta i położył się spać, nie wiedząc, że matki nie ma w domu; myślał, że i ona też śpi. Gdy wróciłem do szkoły, Paraskowija Tarasiwna już siedziała na łóżku i gorzko szlochała.

Nie pocieszałem jej w bolesti, lecz zapaliwszy świecę przed ikoną, zacząłem czytać akafist do Matki Boskiej Hodigitrii. Setnikowa wstała i gorzko płacząc modliła się. Potem czytałem modlitwy przed snem, a na klęczkach przeczytałem modlitwę «Panie, nie zostawiaj mnie bez twych łask niebieskich».

Po modlitwie o odpuszczenie grzechów w milczeniu wyszedłem ze szkoły, zaś gdy powróciłem, setnikowa spała snem sprawiedliwej na mym starym łożu. Bezszelестnie otworzyłem Efrema Syryjczyka i, szanując sen gościa, siedziałem nad książką do rana.

Rano poszliśmy na chutor. Opowiedziałem Sawatijowi Nykyforowyczowi o wszystkim, co stało się w nocy. W odpowiedzi on tylko zapłakał.

Wieczorem tegoż dnia Sawatij otrzymał od horod-

niczego polecenie, aby w ramach obowiązków lekarza powiatowego przeprowadził medyczne badania zmasakrowanego ciała, znalezione w opuszczonym domu pokrytki N. ¹⁸⁷ na Pidwarkach.

Przeczytawszy zlecenie lekarz milcząc spojrział na matkę, która powiedziała przez łzy:

— Zosiu mój, synu mój jedyny!”

Donosząc o drobnych zdarzeniach na chutorze zawiadomił mnie szanowny mój towarzysz i o tym nie było jakim wydarzeniu. Sawatij natomiast nie pisał mi o tym ni słowa. Nie napisał nawet, że otrzymał posadę powiatowego lekarza w mieście Perejasławiu.

Będąc daleko, bardzo daleko od mojej miłej, przepięknej, biednej ojczyzny lubię czasem, patrząc na szeroki bezludny step, polecić myślą nad brzeg szerokiego Dniepru i usiąść gdzieś, choćby w Trachtemyrowie, w cieniu szerokiej wierzby i patrzeć na połączaną zachodzącym słońcem panoramę. Na ciemnym tle tej szerokiej panoramy jak diament płoną perejasławskie przybytki boże, a jeden z nich jaśniej od innych błyszczy swoją złotą kopułą. To sobór, który zbudował Mazepa. I wiele, wiele wszelakich wydarzeń ożywa w mej pamięci, kiedy wyobrazę sobie tę czarującą panoramę.

Jednak najczęściej pieczę moją starczą wyobraźnię widokami złotogłowego, spowitego sadami i uwieńczonego topolami Kijowa. I po jasnym, nieskazitelnym zachwycie, wywołanym kontemplacją jego nieprzemijającego piękna, na moje osierocone stare serce spada tęsknota i przenoszę się w wieki dawno minione, i widzę jego, dziada o siwych włosach, majestatycznego, łagodnego, z wielką pisaną księgą w rękach ¹⁸⁸. Głosi on kazania swoim zdziwionym

dzikusom i krwiożerczym, chciwym czcicielom Ody-
na¹⁸⁹. Jakież ty przepiękny byłeś w tej szacie łagod-
ności i mądrości, święty mój, niezapomniany starcze!

My zrozumieliśmy twoje łagodne słowa, i ciebie nie
wypędziliśmy jak starego niepotrzebnego nauczyciela,
i nie zapomnieliśmy. Odzialiśmy ciebie jak bohatera
Horynię w mocny pancerz. Na początku zrobiliśmy
surowym twe łagodne serce waśniami domowymi,
kazirodoztwami, bratobójstwami, uczyniliśmy z ciebie
prawdziwego warega, a potem już w pancerzu posta-
wiliśmy cię, żebyś strzegł ujarzmionego plemienia
i znieważonej przez przybyszów oddanej ci przez sa-
mego Boga świątyni.

O tym, kto w czasie odwiedzin Kijowsko-Peczers-
kiej Ławry nie odpoczywał na drukarskim ganku,
można powiedzieć, że był w Kijowie i nie widział ki-
jowskiej dzwonnicy. Wydaje mi się, że żaden widok
nie dopełnia tak szczerzej modlitwy, jak widok z dru-
karskiego ganku.

Długo, a być może nigdy nie zapomnę tego sław-
nego ganku.

Pewnego razu, dosyć dawno, wysłuchawszy rannego
nabożeństwa, wyszedłem swym zwyczajem na dru-
karski ganek. Ranek był cichy i jasny. Przed oczyma
miałem całą gubernię czernihowską i część połtaw-
skiej. I chociaż nie byłem wtedy melancholikiem, lecz
w obliczu takiego widoku pogrążyłem się w melan-
cholii. Zacząłem porównywać linie i tony pejzażu
z potężnymi akordami Haydna, gdy usłyszałem cicho
wymówione słowo: „Mamo”.

— Mnie, mamó, zawsze wydaje się, że ja na tym
ganku słucham dalej nabożeństwa.

Mimo woli obejrzałem się. (Grzech to nieskromny
spojrzeniem przerwać taki cudowny nastrój w duszy

człowieka, ale ja zgrzeszyłem, bo słowa te poruszyły mnie bardziej od wszelkiej muzyki).

Mówiącą była młoda dziewczyna, wysmukła, ze smakiem i skromnie ubrana, ale nie piękność. Ta, którą nazywała matką, była kobietą wysoką, szczupłą, śniadą i kiedyś nieprzeciętnie urodziwą. Ubrana była w czarną, wełnianą narzutkę czy długą bluzkę, spiętą rzemiennym paskiem ze srebrną sprzączką. Na głowie miała zamiast zwyczajnego kapelusza biały, szeroki bez żadnych ozdób czepiec. Nie wiem, dlaczego nie zaproponowałem im ławki, a one też, nie wiem, czemu pozostały w milczeniu chwilę, popatrzyły na widok i poszły. Wstałem i podążyłem za nimi. Kobiety przeszły przez podwórze Ławry, cicho rozmawiając, i wyszły przez świętą bramę Mykoły Swiatoszy, a ja za nimi. Wyszły z fortecy i ja za nimi. Skierowały się w stronę „Zielonej Oberży” i ja za nimi. Kobiety weszły w bramę oberży, dopiero teraz opamiętałem się i zapytałem sam siebie, co robię. Nie znalazłszy odpowiedzi, wstąpiłem do traktierni i zacząłem czytać hieroglify, napisane kredą na czarnej tablicy. Po pewnym czasie odczytałem tajne znaki. Wskazywały one, jakie to numery zajmowały wychowanki. I chociaż teraz nie mogę pochwalić się opanowaniem taktyki zalotów, to wtedy tym bardziej. Oceniwszy sprytnie sytuację, sam nie wiem jak, znalazłem się w ogólnej jadalni i zamówiłem, nie pamiętam co, i ze służącym rozmawiałem o czymś, co wydarzyło się kiedyś.

Po tym wszystkim wstąpiłem do znajomego malarza Sz. na ulicy Moskiewskiej, który niedawno wrócił z Petersburga.

Porozmawiałem z nim o sztuce w ogóle, a o malarstwie w szczególności. Zamierzałem iść do Ławry, a poszedłem do parku (był to widać wyrok losu).

Spaceruję więc sobie samotnie wielką aleją (był to dzień powszedni), czasem przysiadam na ławce, żeby pozachwycać się starym Kijowem w promieniach zachodzącego słońca. Patrząc, zza lipy z bocznej alei wychodzą moje nieznajome. Wstałem, ukloniłem się i grzecznie poprosiłem, aby spoczęły na ławce, przepraszając, że rano nie zrobiłem tego na ganku drukarskim. Panie usiadły. Siostra miłosierdzia (tak wtedy myślałem) zapytała:

— Pan prawdopodobnie jest malarzem?

— Tak — odpowiedziałem.

— Maluje pan widoki Kijowa?

— Tak...

Po pauzie zapytała znowu:

— Pan dawno w Kijowie?

— Dawno.

— Proszę namalować ten widok, który teraz podziwiamy i przysłać mi do „Zielonej Oberży” do numeru NN.

Obrazek akwarelą dawno już miałem zaczęty. Wykończyłem go dokładnie, a na pierwszym planie między lipami namalowałem moje nieznajome i siebie na ławce w poetyckiej pozie, w słomianym kapeluszu.

Na drugi dzień rankiem siedziałem z wykończonym obrazkiem na drukarskim ganku i czekałem na moje nieznajome, tak jakby prosiły mnie one o osobiste przyniesienie obrazka nie do „Zielonej Oberży”, a na ganek drukarski.

Nie zdążyłem dobrze pomarzyć, gdy ukazały się nieznajome.

— A, pan już tutaj! — prawie krzyknęła starsza.

— Tutaj — odpowiedziałem.

— Dawno?

— Dawno.

— Ma pan teczkę ze sobą, pewnie pan malował?

— Nie, nie malowałem. — Wyjąłem z teczki obrazek, zamówiony wczoraj.

Kobieta długo w milczeniu patrzyła to na obrazek, to na mnie, potem mocno uściśnęła mi dłoń i powiedziała:

— Dziękuję panu — i bądźmy dobrymi znajomymi, a jeśli można — przyjaciółmi. A to, zdaje się, jest możliwe... — dodała patrząc na swoją młodszą towarzyszkę. — Usiądźmy, odpocznijmy trochę.

Usiedliśmy w trójkę. Po chwili milczenia znowu odezwała się:

— Wie pan, Hłafira wygrała dziś zakład. Wczoraj sprzeczałyśmy się. Przekonywałam ją, że pan jest idiotą, a ona udawadniała coś zupełnie przeciwnego.

— Dziękuję pani — powiedziałem do młodszej, zaś do starszej zwróciłem się ze słowami: — Nie warto podziękowania — i wszyscy roześmieliśmy się i zeszliśmy z drukarskiego ganek.

Następną jesień spędziłem u nich na wsi i nazywałem je swoimi rodzonymi siostrami, a w końcu jesieni starszą zwałem już matką, a młodszą — narzeczoną. Byłem szczęśliwy. Wiosną przyjechały do Kijowa, lecz niestety! mnie już tam nie było. W tym czasie znajdowałem się daleko i wspominałem szczęśliwe dni, które minęły i zdawały się bajkowym czarującym snem.

Oto dlaczego tak przyjemnie wspominam drukarski ganek.

Wiele lat i zim przeleciało po tym wydarzeniu nad mą samotną, już posiwiałą głową. Jestem znów w Kijowie i znowu odwiedzam drogi ganek. I teraz, w przededniu Święta Zaśnięcia Marii Panny, po porannym nabożeństwie wyszedłem na ganek drukarski i podziwiając krajobraz, wspominałem to uroczne szczęście,

które przemknęło dawno, i jakbym słyszał głos anioła, wypowiadającego słowo — „mamo”.

Tak pogrążyłem się we wspomnieniach, że wydało mi się, iż słyszę to dziecięce miłe słowo, i to tak wyraźnie, że się obejrzałem.

Wyobraźcie sobie moje zdziwienie. Z korytarza na ganek wychodziła Paraskowija Tarasiwna, a za nią jak żuraw kroczył mój przyjaciel i współtowarzysz Stepan Martynowycz, ubrany tak, że gdyby nie rzadka siwa bródka, pomyślałbym, że przyjechał zenić się do Kijowa. Surdut miał długi, z granatowego drogiego sukna, czarny kapelusz pilśniowy z szerokim rondem, buty, prawda, licowe, ale starannie wyczyszczone, laska niczym biskupia, ze srebrną gałką. Prawdziwy frant!

Po przywitaniach i pocałunkach usadziłem ich na ławce i zapytałem, czy dawno są w Kijowie.

— Już trzeci dzień — odpowiedział Stepan Martynowycz.

— Przywieźliśmy wam list od Sawatija Nykyforowycza, ale nie mogliśmy znaleźć ulicy Rajtarskiej, ona gdzieś w starym Kijowie, a my tam jeszcze nie byliśmy. Dzisiaj mamy zamiar iść na nabożeństwo poświęcone Barbarze męczennicy, a jutro, da Bóg, pójdziemy do komunii świętej tutaj, w Ławrze. Dopiero później mieliśmy poszukać ulicy Rajtarskiej. Bóg dał, że i szukać nie trzeba, sam ją nam pan pokaże. List zaraz bym wam oddał, ale on w szkatule na kwaterze. Kwartera nasza tutaj, na Peczersku, w domu mieszczanki Sywołapychy.

Słuchałem tego monologu i spoglądałem na Paraskowiję Tarasiwnę. Siedziała ona, zamknawszy oczy, i wydawała się śpiącą męczennicą. Na łagodnym jej obliczu widać było tak wiele serdecznej boleści, że nie

mogłem patrzeć na nią, więc zwróciłem się z nowym pytaniem do Stepana Martynowycza.

— A cóż dobrego na chutorze?

— Chwała Bogu miłosiernemu. Wszystko dobrze i pomyślnie. Niebawem spodziewamy się ślubu młodych. O tym wam Sawatij Nykyforowycz dokładnie pisze..

— Dokądże chcecie teraz iść?

— Chcemy, jeśli Bóg pozwoli, pokłonić się świętym peczerskim. Ponieważ jest tłok, więc zaczekamy, aż pobożni pątnicy wyjdą z pieczar. Wtedy mamy zamiar prosić ojca klucznika, aby sam nas oprowadził albo żeby posłał z nami kogoś z zakonników.

Znałem ojca Dosyfeja, przeora szpitalnego klasztoru, więc poprosiłem go, aby zrobił nam przysługę i wstawił się do kogo należy, by pozwolono nam zwiedzić pieczary, osobno, nie z licznymi pielgrzymami. Prośba moja była spełniona. Posłano z nami jako przewodnika poważnego, starego ojca Joakyma.

Oddawszy szacunek świętym peczerskim, poszliśmy na kwaterę. Wziąwszy list, pożegnałem swoich przyjaciół i ruszyłem do domu. Według zwyczaju, poszedłem do sadu, usiadłem na ulubionej ławce, otworzyłem list i przeczytałem, co następuje:

„Nieoceniony Przyjacielu ojca mego, mój obrońco i orędowniku!

Proszę mi wielkodusznie wybaczyć moje długie milczenie, spowodowane nie usprawiedliwionym niczym lenistwem. Prawda też i w tym, że pisać list bez treści, to jakby przelewać z pustego w próżne. Prawdę mówiąc, trafiały się materiały do szczerego przyjacielskiego listu, ale były one takie, że nie podnosiło się pióro, aby zawiadomić o nich kogokolwiek. Teraz już smutne i ciężkie chmury kryją się za górami i na ho-

ryzoncie ukazuje się błyszcząca Aurora¹⁹⁰, zwiastunka mego jasnego i spokojnego szczęścia. Prościej mówiąc, żenię się. Narzeczona moja mieszka teraz ze swoją matką w szkole dobrego, mego przyszłego weselnego ojca, Stepana Martynowycza i czeka Waszego błogosławieństwa. Przyjeżdżajcie, mój dobrodzieju, pobłogosławcie ją, sierotę, na nową drogę radosnego życia. Ona, tak jak i ja, nie ma ojca, tylko matka została, i za zgodą naszych matek postanowiliśmy, żebyście Wy ją błogosławili, a mnie mój jedyny, szlachetny przyjaciel i nauczyciel Stepan Martynowycz.

Przyjeżdżajcie chociaż spojrzeć na moją przepiękną narzeczoną!

Z powodu obowiązków lekarza powiatowego często wyjeżdżam, a chutor nasz powierzam opiece Stepana Martynowycza i, zdaje się, niebawem całkowicie powierzę.

Pewnego razu, wykonując służbowe obowiązki, jechałem pełną błotną drogą. Wynajęta chabeta ledwie poruszała nogami. Ściemniło się, padał deszcz — słowem perspektywa była beznadziejna.

Woźnica mój też nie przewidywał nic dobrego, zaproponował więc nocleg.

— Gdzie tu nocować — mówię — na drodze, czy co?

— Broń Boże, na drodze! Niech Lachy i Tatarzy nocują w taką pogodę na drodze. My zaś zawrócimy. Widzicie ten lasek?

— Widzę — mówię.

— Otóż w tym lasku jest chutor pani Kałytychy. U niej przenocujemy.

— Dobrze — mówię — zwracaj ze szlaku!

— Poczekajcie, tu gdzieś jest dróżka.

Gdy przejechaliśmy pół wiorsty, zobaczyłem ledwie widoczną dróżkę, która prowadziła do chutoru. Poje-

chaliśmy w tę stronę i niebawem znaleźliśmy się w lesie. Woźnica mój zaczął wygwizdywać jakąś smutną pieśń, a ja zamyśliłem się Bóg wie nad czym.

— Tam las nazywa się, panie, Łapi Róg — powiedział woźnica. — Dlaczego go tak nazywają, Bóg raczy wiedzieć. Starzy ludzie bają, że tutaj żył kiedyś dawno rozbójnik Łapa i że w tych jeziorach ukrył wielkie skarby. Starzy ludzie też mówią, że gdy wyschną te błota i jeziora, to można będzie workiem złoto nosić. Bóg tylko wie, kiedy to będzie. A tam już i chutor.

Rzeczywiście, między drzewami pokazało się światło i wkrótce stanęliśmy przy zamkniętych wrotach.

Psy przywitały nas strasznym szczekaniem. Potem usłyszeliśmy kobiecy gruby głos:

— Kto tam?

— Pozwólcie, mateńko, przenocować na waszym chutorze — odpowiedział woźnica.

— Pobłogosław Boże, tylko sami już otwierajcie wrota, bo służba wieczerza, nie ma czasu, a ja nie mam siły.

Mój woźnica zeskoczył z wozu, otworzył bramę, wjechał na podwórze i znów zamknął wrota.

Zwracając się do gospodyni, powiedział:

— Dobryj wieczir, matuszko!

— Dobryj wieczir, dobryj czołowicze! — Widkila Boh nese?

— Ta ot wezu panka z Hłymiazowa, ta baczte, nepohod¹⁹¹.

Zbliżyłem się też do gospodyni i powiedziałem:

— Pozwólcie, jeśli można, przenocować u was.

— Bądźcie uprzejmi, jesteśmy radzi — odpowiedziała z ledwo widocznym akcentem ukraińskim, uprzejmie prosząc do pokoju. Wstąpiłem na ganek. Na progu spotkała mnie dziewczyna ze świecą w rę-

ku, po wiejsku ubrana, ale schludnie, a nawet wyszukanie. Cofając się do pokoju, powiedziała czysto po rosyjsku:

— Uprzejmie proszę!

Zrozumiałem, że to nie jest służąca.

W pokoju stanęliśmy naprzeciwko siebie i tak staliśmy, dopóki nie weszła gospodyni chutoru i powiedziała:

— Natałeczko, a dlaczego nie prosisz gościa, by spoczął? Stoisz sobie ze świecą, jak kościelny. Przedstawiam wam, to uczennica połtawskiego instytutu. Łaskawie proszę, siadajcie. Bóg wie, czego tam uczą w tym instytucie. Już o gospodarskie umiejętności nie pytam, ale niechby choć obcego człowieka umiała przywitać. A ta stoi sobie!

Potem zwróciła się do dziewczyny, powiedziała jej coś szeptem i ta wyszła do drugiego pokoju. Gospodyni poszła za nią, powiedziawszy:

— Przepraszam!

Zacząłem oglądać pokój. Był on jak na chutor dość duży, ale stosunkowo niski, choć czysty i schludny. Meble były staroświeckie i różnorodne. Na ścianie wisiał w czarnej drewnianej ramie portret Bohdana Chmielnickiego, a na okrągłym stole razem z jakimiś robótkami leżał egzemplarz «Ocieczestwiennych Zapisek»¹⁹² otwarty na *Dawidzie Copperfieldzie*¹⁹³.

Weszła gospodyni. Dopiero teraz zwróciłem na nią baczniejszą uwagę. Była to kobieta wysoka, korpulentna, ale bez przesady, z dość młodym jeszcze i łagodnym obliczem.

Ubrana była w guście bogatej mieszcanki albo statecznej popadii. Gdyby na głowie zamiast chustki miała łódyczkę, pomyślałbym, że stanęła przede mną jakaś setnikowa albo pułkownikowa z tamtego świata.

— Widzę, że interesuje was — powiedziała, rozja-

śniąjąc świecę — co czyta moja Natalia. Ona, dzięki Bogu, bardzo ochocza do lektury. I mnie na starość tak przyzwyczaiła, że nudzę się bez czytania. Chciałabym na przyszły rok zaprenumerować jeszcze „Sowremiennik”¹⁹⁴, bo jeden miesięcznik to dla nas za mało. Znamy go już na pamięć.

Niebawem przyniesli samowar. Za samowarem weszła i Natałka, ubrana już jak panna.

— Nie wytrzymałaś — powiedziała matka uśmiechając się i dodała:

— Nalewajże herbatę, Natalu! Jak widzicie, przyuczam ją pomału do gospodarstwa — zwróciła się do mnie.

— Bardzo dobrze zrobicie — opowiedziałem. — Ale po co było zmieniać suknię? Pani w ludowym stroju do twarzy.

— Mnie też bardziej podoba się w prostych szatach, ale mówcie z nią!

Natałka poczerwieniała, zapłonęła niczym wiśnia i wybiegła z pokoju.

— Ach, ty bez koralu! — powiedziała w ślad za dziewczyną matka i zaczęła sama nalewać herbatę.

Moje nieznanym należały do tego typu nielicznych ludzi, do których zbliżamy się już po pierwszym spotkaniu. W ciągu trzech godzin oswoiłem się całkowicie z nimi i szczegółowo poznałem ich domowe życie, skłonności, zwyczaje, dochody i wydatki, a nawet część życiorysu.

Ołena Petriwna Kałyta, wdowa po niebogatym ziemianinie naszego powiatu, wychowywała się też w instytucie, tylko chutor, jak ona mówi, wychował ją po swojemu.

— Kiedy urodziła się Natalia, to ze świętej pamięci Jakubem tego samego dnia postanowiliśmy każdego roku oszczędzać niewielką sumę na jej wychowanie.

Otóż i wychowaliśmy — dodała żartem — że nie umie nawet herbaty nalać.

Po kolacji pożegnałem się z paniami, żeby skoro świt ruszyć w drogę. I rzeczywiście opuściłem chutor przed wschodem słońca. Odprowadzały mnie tabuny indyków i gęsi. Oprócz nich nikt jeszcze na chutorze nie obudził się ze snu. Koniki odpoczęły, furman poweselał i — nie siadając jeszcze na wóz — pogwizdywał jakąś piosenkę.

Wyjechawszy za wrota, furman skręcił w prawo, a mnie zdawało się, że trzeba jechać w lewo. Ponieważ przejechaliśmy w nocy, nie byłem pewny, która droga jest właściwa. Postanowiłem zaufać woźnicy, mówiąc w duchu;

— Przywiózł mnie na chutor, to i wywiezie.

Popuściwszy lejce rozmowny woźnica wygłosił panegiryk na temat gospodyni i jej córki, a potem zaczął opowiadać o ich bogactwie.

— Te wszystkie, jak tylko okiem sięgniesz, lasy jej. A las to też nie byle jaki: dąb do gruntu, gdybyś miał gdzie choć jedną lichą osikę! A co tam las? A inne dobra, a stopy, a jeziora, a stawy i młyny! Co tam mówić. Powiedziałem — pani, pani całą gębą. Powiem wam jeszcze...

W tym miejscu konie zatrzymały się. Zajęty rozmową woźnica nie oglądał drogi, huknął na konie, które szarpnęły i zadnia oś pękła, a ja runąłem z wozu. Wtedy furman krzyknął: — Pryy, szalone! — a obejrzawszy się wokół, powiedział:

— Otóż i macie! Patrz, gdzie przeklęty pień stał, na samym środku drogi. Jeszcze wczoraj myślałem, że my w tym diabelskim lesie gdzieś się zaczepimy. Otóż i stało się.

— Cóż będziemy teraz robić? — zapytałem.

— Bóg raczy wiedzieć, co tu robić? — Pomyślaw-

szy nieco woźnica dodał: — Ech, biedna głowo, siekiery nie ma, a tobym dęba wyciął i oś zrobił. Wracajmy na chutor, tam sobie poradzimy.

Ucieszyła mnie ta myśl, sam nie wiem dlaczego, więc wyraziłem zgodę. Gdy woźnica wkładał koło na wóz, poszedłem powoli między drzewami w stronę chutoru.

Słońce już przecinało złotymi promieniami gęstwinę lasu, gdy zbliżałem się do dworskiego żywopłotu. Tu zatrzymałem się, aby zobaczyć, gdzie zmyliliśmy drogę. W tej chwili w lesie rozległ się przepiękny dziewczęcy głos. Serce mi zamarło. Stałem jak osłupiały i długo nie mogłem uchwycić melodii. Głos zbliżał się do mnie. Powoli zacząłem rozróżniać słowa pieśni:

Oj ty, kozacze, ty zełenyj barwinoczku!

Chto ż tobi postełe w poli biłuju postileńku? ¹⁹⁵

Pieśń powoli cichła i wreszcie całkiem zamilkła. Wyzwoliwszy się z czarów leśnej muzy, ruszyłem wzdłuż ogrodzenia i niebawem byłem na chutorze. Zrazu ujrzałem Natałkę, która wychodziła z sadu. Zdawało się, że jest prawdziwą boginią kwiatów: cała głowa w kwiatach, a we włosach zamiast pereł paciorki z białych czereśni. Gdyby była odziana jak panienka, nie dałoby to takiego efektu, ale do ludowego stroju tak pasowały te wielkie kwiaty i paciorki z czereśni, że czegoś barwniejszego, bardziej harmonijnego i piękniejszego nie widziałem od urodzenia. Dziewczyna stała chwilę, a potem znikła w furtce. Na ganku ukazała się, ubrana w to samo co wczoraj, matka. Zobaczywszy mnie, głośno zaśmiała się i powiedziała:

— No co, daleko zajechaliście?

Przywitałem ją i wstąpiłem na ganek.

— Chyba z nami nieprędko się rozstaniecie? — mó-

wiła gospodyni ze śmiechem. — Proszę uprzejmie — dodała, wskazując na ławkę.

Usiadłem.

— Natalu! — zawołała. — Powiedz Odarce, niechaj przyniesie na ganek samowar. Przywykliśmy tak do swojej prostej mowy, że czasem i przy gościach zapominamy.

— Sam bardzo lubię nasz język, szczególnie nasze pieśni!

Za Odarką, która niosła samowar, opuściwszy skromnie głowę, szła zarumieniona Natalia.

— Słyszysz, Natalu, pan też lubi nasze pieśni. A ona nawet przez sen śpiewałaby. Czy uwierzy pan, że żadnego romansu nie zna. Gdy wróciła z Połtawy śpiewała jakiś „Czornyj cwiet”¹⁹⁶, ale teraz i ten zapomniała.

Słuchałem nieuważnie, bo zachwycąłem się Natalią. Było mi tylko przykro, że panna ubrała się znów po miejsku.

— Mam chyba sklerozę! — powiedziała nagle gospodyni. — A ty, Natalu, nie przypominasz! Przecież dzisiaj sobota, a my w sobotę miałyśmy jechać do Perejasławia.

— Odarko!

Służąca zjawiła się na progu i cicho zapytała:

— Czego?

— Powiedz Kornijowi, żeby przygotował bryczkę, nakarmił konie, a po obiedzie ruszamy w drogę.

— Dobrze — powiedziała Odarka i znikła.

— O, jak dobrze, że w czas sobie przypomniałam! Jeśli panu się nie śpieszy, proszę zjeść z nami obiad, a potem towarzyszyć nam do samego miasta.

— Nawet w mieście, jeśli panie pozwolą.

Do obiadu spacerowałem z Natalią w sadzie i koło

chutoru, oglądając i podziwiając ich zaciszną i cudowną sadybę. Natalia pokazywała mi i swe własne gospodarstwo — kwietnik. Prawda, nie było w nim nic szczególnego rzadkiego, ale było czyściej niż u hollenderskiego hodowcy kwiatów. Z przyjemnością patrzyłem na ten jej niewyszukany kwietnik.

— Mamie — mówiła z samozadowoleniem — mamie każdego ranka przynoszę od maja do października bukiet kwiatów. Barwinek jest u nas zielony do późnej jesieni. Wiosną jeszcze pod śniegiem zieleni się. Strasznie lubię barwinek.

Tak, barwinek odznacza się wspaniałą zielenią. A czy macie, panie, bluszcz?

— Nie, nie mamy.

— Obiecuję pani kilka sadzonek.

— Dziękuję panu.

W słowach obiecałem tylko bluszcz, a w cichości obiecałem wiele różnych kwiatów, nawet pomyślałem o tym, by sprowadzić nasiona kwiatów z Rygi, ale nie wiem, dlaczego nie chciałem powiedzieć o tym panience.

Po obiedzie, nie zbierając się długo, usiedliśmy na bryczkę, a Odarkę posadziliśmy na mój naprawiony wóz i ruszyliśmy w drogę. Przed wieczorem byliśmy w Perejasławiu. Niełatwo było mi namówić moje nowe znajome do odwiedzenia naszego chutoru. Wreszcie zgodziły się. Gościły u nas dwa dni i tak zaprzyjaźniły się z moją matką, że żegnały się ze łzami w oczach. Mama była bardzo rada gościom i w ciągu tych dwóch dni byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby nie wspomnienie o zmarłym Zosi, które nie daje jej spokoju ani w dzień, ani w nocy.

Wzajemne nasze odwiedziny trwały prawie rok i skończyły się tym, że już drugi miesiąc jestem szczęśliwym narzeczonym.

Otóż, przyjeżdżajcie i pobłogosławcie moje szczęście. Aby sprawy nie odkładać, zbierajcie się szybko i przyjeżdżajcie razem z matką i moim weselnym ojcem i przyjacielem — Stepanem Martynowyczem.

Przyjeżdżajcie, niezapomniany mój i szczerzy przyjacielu. O wielu sprawach nie piszę dlatego, aby zadziwić pana piękną niespodzianką. Do widzenia.

Wasz pełen szacunku syn i szczerzy przyjaciel

S. Sokyra”

Wybierać się w drogę staremu kawalerowi nietrudno. Mój Jarema wszystko przygotował, a ja tylko wsiałem do pojazdu. W ślad za mną na chutor przyjechała Paraskowija Tarasiwna razem ze swym cicerone Stepanem Martynowyczem.

Do wesela przygotowali wszystko jak należy i w niedzielę pojechaliśmy na jutrznię, a potem na sumę do cerkwi Pokrowy. Po nabożeństwie nasi młodzi wzięli ślub z bożym błogosławieństwem i wyprawili bankiet na całą perejasławską okolicę, słowem taki, że Stepan Martynowycz, nie zważając na swoje lata i stan, a nawet wygląd, puścił się tańczyć żurawia.

Po weselu mieszkałem około dwóch tygodni w szkole Stepana Martynowycza i byłem świadkiem pełnego szczęścia moich przybranych dzieci.

Paraskowija Tarasiwna całkowicie szczerze podzielała moją radość, tylko czasem, patrząc na młodą piękną żonę swego Sawatija, szeptem przez łzy mówiła:

— Zosiu mój! Zosiu mój! Synu mój jedyny!

PRZYPISY

Pierwodruk *Bliźniaków* znajduje się w czasopiśmie „Kijewskaja Starina” z 1886 r. Szewczenko zaczął pisać to opowiadanie 10 czerwca 1855 r., ukończył zaś 20 lipca tegoż (prawdopodobnie) roku.

¹ Wąsacze, wojskowi. Cywilnym urzędnikom za czasów Mikołaja I nie wolno było nosić wąsów.

² „...Listownik znakomitego Kurganowa...”, popularny w XVIII w. zbiór prawideł językowych, wzorów korespondencji, anegdot, opowiadań itp., ułożony przez Mikołaja Kurganowa (1726—1796), wybitnego rosyjskiego pisarza i uczonego.

³ Zoroaster (Zaratustra), mityczny twórca religii starożytnych Persów.

⁴ „... Klucz do tajemnic przyrody Ekkartshausena...”, dzieło niemieckiego filozofa-mistyka Karola Ekkartshausena (1752—1803).

⁵ Aleksy Jegorow, wybitny rosyjski malarz i rysownik (1776—1851), przedstawiciel klasycyzmu, znany z wielu obrazów o tematyce religijnej.

⁶ Eugeniusz Hrebinka (Hrebenka, Grebenka), pisarz ukraiński (1812—1848), poeta i prozaik, piszący zarówno po ukraińsku, jak i po rosyjsku, bliski znajomy Tarasa Szewczenki.

⁷ Kitajkowe szarawary, noszone tradycyjnie przez Ukraińców. szerokie spodnie bufiaste, uszyte z tkaniny bawełnianej, cienkiej, glansowanej (pierwotnie była to tkanina jedwabna przywożona z Chin (Kytaju).

⁸ Bajka o Jerusłanie Łazarewiczu, popularna baśń ludowa, znana zarówno wśród Rosjan, jak i Ukraińców (od XVII w.).

⁹ Mitawa (łot. Jelgava), miasto na Łotwie.

¹⁰ Kłeczalna sobota, wigilia Trójcy Świętej, której święto obchodzone jest w pierwszą niedzielę po Zielonych Świątkach.

„Kłęczalna” — znaczy po ukraińsku: zielonoświątkowa. (Kłęczany albo kłęczalny — zielony). Zielone Świątki trwały dawniej cały tydzień — od niedzieli do soboty, kłęczalna sobota była więc ostatnim dniem tych świąt. W kłęczalną sobotę cerkiew prawosławna pozwala modlić się również za samobójców.

¹¹ *Kanonik*, tu: księga cerkiewna, z kalendarzem.

¹² „...sołowieckich...”, **to** znaczy ze słynnego monasteru Sołowieckiego, założonego w 1470 r. na Wyspie Sołowieckiej na Morzu Białym. Zosim (ukr. Zosym) i Sawatij — święci kościoła prawosławnego.

¹³ Swiatopełk, wielki książę kijowski (XI w.), najstarszy syn Włodzimierza Wielkiego, zięć Bolesława Chrobrego, zamordował trzech swoich braci: Borysa, Hliba i Światosława.

¹⁴ Hryhorij Konyski (Koniski), arcybiskup białoruski (1717—1795), pisarz ukraiński i wykładowca, a później rektor akademii kijowskiej. Przez długi czas mylnie przypisywano mu autorstwo *Historii Rusów*. Sprawa tego autorstwa nie została dotychczas wyjaśniona. Książka wyszła z druku dopiero w 1846 r., a przedtem krążyła z rąk do rąk w odpisach.

¹⁵ „...Tarasowa noc...”, krwawa bitwa Kozaków zaporoskich i chłopów ukraińskich pod wodzą atamana kozackiego Tarasa z wojskami Koniecpolskiego, która odbyła się dnia 22 maja 1630 roku.

¹⁶ Jacob van Ruisdael, malarz niderlandzki (1628—1682), jeden z najslynniejszych pejzażystów. Obraz pt. *Moczary* znajduje się w petersburskim Ermitażu, gdzie go z pewnością widział Szewczenko w czasie studiów malarskich w Akademii Sztuk Pięknych.

¹⁷ Osokor (sokor, sokora), gatunek popularnej na Ukrainie topoli, zwanej niekiedy „czarną topolą” (w odróżnieniu od „srebrnej”).

¹⁸ Soborna, katedralna.

¹⁹ Iwan Mazepa, hetman kozacki (1644—1709). W czasie Wojny Północnej zdradził Rosję, przechodząc na stronę króla szwedzkiego Karola XII.

²⁰ Holsztyńczykami nazywano na Ukrainie Kozaków, zwerbowanych w latach 1761—1762 do wojska, które car Piotr III użył przeciwko Danii, chcąc zdobyć prowincję Schleswig i przyłączyć ją do księstwa holsztyńskiego.

²¹ Imperator Piotr III, car rosyjski (1728—1762), z pochodzenia Niemiec, syn Fryderyka Karola, księcia holsztyńsko-got-

torpskiego i księżniczki rosyjskiej Anny Pietrowny. Ożeniony z księżniczką niemiecką Anhalt-Zerbst, późniejszą Katarzyną II, w roku 1762 objął tron; tegoż roku strącony i zamordowany z podpuszczenia żony przez jednego z jej faworytów, Aleksego Orłowa.

²² Dziesięcina, dawna rosyjska miara powierzchni równa 1,09 ha.

²³ Jeden z pułków „holsztyńskich”, nazywał się „podcabolskim”. Sebułdyńcami ludność na Ukrainie nazywała żołnierzy tego pułku.

²⁴ Małorosja, nazwa Ukrainy, stosowana w urzędowych dokumentach carskiej Rosji oraz w dawnej rosyjskiej historiografii.

²⁵ Iwan Łewanda, znany kaznodzieja prawosławny na Ukrainie (1734—1814).

²⁶ Hryhorij Skworoda, znany pisarz i filozof ukraiński (1722—1794). Hryhorij Hreczka jest postacią zmyśloną przez autora.

²⁷ „...z cechową muzyką...”, oznacza tu: z kapelą pijacką. Dawniej zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie żartobliwym mianem „cechowych braci” określano wierutnych pijaków.

²⁸ Wielki Zaporoski Łęg, nizina na lewym brzegu Dniepru, poniżej porohów, pokryta jeziorami i zaroślami mieszanych drzew (czaharami). Tu Kozacy zaporoscy polowali na zwierzyne i łowili ryby. Stąd też wojsko zaporoskie nazywano niżowym, a Zaporozców — niżowcami.

²⁹ Generał Tekeli, dowódca armii rosyjskiej, która w roku 1775 okupowała Sicz Zaporoską.

³⁰ Protojerej, wyższy stopień duchownego (jereja) w kościele prawosławnym.

³¹ „...słowiańskiego...”, mowa tu o języku starsłowiańskim albo inaczej: staro-cerkiewno-słowiańskim.

³² Kanty, śpiewy kościelne (od łac. cantus, śpiew).

³³ Przekład Jerzego Litwiniuka.

³⁴ Dymitr Bortniański, wybitny kompozytor ukraiński i rosyjski (1751—1825), twórca muzyki operowej, tudzież autor wielu dzieł muzycznych o charakterze głównie cerkiewnym.

³⁵ Białokamienna święta, tradycyjna, popularna nazwa Moskwy. W 1812 r., w czasie najazdu Napoleona na Rosję, całe prawie miasto uległo zniszczeniu wskutek pożaru. Krążyła wersja, że pożar został spowodowany umyślnie na rozkaz ówczesnego gubernatora Moskwy Rastopczyzna, żeby uniemożliwić

armii napoleońskiej wykorzystanie dużego miasta jako podstawy do dalszych operacji wojennych. Szewczenko powtarza tę wersję nazywając Moskwę „ofiara całopalenia” — złożoną na ołtarzu ojczyzny.

³⁶ „...przeciwko obmierzłym Gallom i dwunadziestu językom...”, przeciwko Francuzom i innym „dwunastu narodom”, zmobilizowanym przez Napoleona do wojny z Rosją.

³⁷ „...drapieżnego francuskiego zwierza...”, Napoleona.

³⁸ „...w angielskiej klatce...”, na wyspie św. Heleny.

³⁹ *Latopis Konyskiego*, praca historyczna pt. *Historia Rusów*, której autorstwo mylnie przypisywano Konyskiemu.

⁴⁰ Posoch, laska pastusza, wysoka, zagięta u góry.

⁴¹ Chodzi tu o sentymentalne piosenki, modne na początku XIX w.

⁴² „Nie chodź, Hryciu, na te wieczornice”, ukraińska piosenka ludowa.

⁴³ Piotr Prokopowycz (1775—1850), uczony pszczelarz, ukraiński założyciel szkoły pszczelarskiej w Baturynie.

⁴⁴ *Georgiki*, poemat o wiejskim gospodarstwie rzymskiego poety Wergiliusza (70—90 p.n.e.), autora *Eneidy*.

⁴⁵ „...O Bironowym bracie...”, mowa o bracie jednego z faworytów carycy Anny (1730—1740), Niemca Birona — generała wojsk rosyjskich Karolu Bironie, o którego pysze i okrucieństwie podczas jego kwaterowania w Starodubie szeroko powiedziane jest w *Historii Rusów*.

⁴⁶ „Ukraiński Wiestnik”, czasopismo wydawane od 1816 r. do 1819 r. w Charkowie na Ukrainie.

⁴⁷ Piotr Hułak-Artemowski, poeta ukraiński (1790—1865). M.in. przerabiał (lokalizował w stosunkach ukraińskich) wiersze Horacego.

⁴⁸ „Winegretowe śpiewy...”, język poetyckich utworów Skowrody stanowił mieszaninę wyrazów starosłowiańskich, rosyjskich i ukraińskich. (Winegret — sałatka w sosie z oliwy, octu, soli itp.).

⁴⁹ Aleksander Szachowski, książę, dramaturg rosyjski (1777—1846) autor m.in. sztuki pt. *Kozak-rymotwórca*, w której bohaterowie mówią łamanym językiem ukraińskim.

⁵⁰ Iwan Kotlarewski, pisarz ukraiński (1769—1838), strawił po ukraińsku *Eneidę* Wergiliusza.

⁵¹ Ikonostas, w cerkwi prawosławnej przegroda między prezbiterium a nawą, pozawieszana obrazami świętymi (ikonami).

Przejście w tej przegrodzie nazywa się carskie wrota.

⁵² Pokrowa (cerk.). Opieka Najświętszej Marii Panny; Matka Boska Nieustającej Pomocy.

⁵³ Azow został zdobyty w 1696 r.

⁵⁴ Andrzej Matwiejew, rosyjski portrecista (1701—1739).

⁵⁵ Aleksander Daniłowicz Mienszykow, rosyjski mąż stanu i generał (1673—1729), jeden z najbliższych współpracowników Piotra Wielkiego, za łapownictwo nadużycia skazany na śmierć, później ułaskawiony.

⁵⁶ Baturyn, miasto na Ukrainie; w 1708 r., po zdradzie hetmana Mazepy, zburzone przez wojska rosyjskie pod dowództwem generała Mienszykowa.

⁵⁷ „Oj, kto do kogo, a ja do Paraski” (ukr.).

⁵⁸ „O mój luby Augustynie” (niem.).

⁵⁹ „Jedna góra jest wysoka, ale druga niska” (ukr.).

⁶⁰ Święto Pokrowy przypada na dzień 1 października starego stylu.

⁶¹ Fryderyk Schiller (1759—1805), wybitny niemiecki poeta i dramaturg.

⁶² August von Kotzebue (1761—1819), niemiecki dramaturg.

⁶³ Pyłypiwka (ukr.), w kościele prawosławnym post od św. Filipa do Bożego Narodzenia, tj. od 15 listopada do 24 grudnia starego stylu.

⁶⁴ „Życie krótkie, a nauka wieczna”, nieco zmienione słowa Mefistofelesa z rosyjskiego przekładu *Fausta* Goethego.

⁶⁵ Fryza, grube pospolite sukno wełniane.

⁶⁶ Czterdziestnica, Wielki Post, czterdziestodniowy, przed Wielkanocą.

⁶⁷ „Iże choszczet spastisia”, „który pragnie zbawienia”, przykład zdania zaczynającego się od tzw. „izycy”: W alfabecie staro-cerkiewno-słowiańskim była to ostatnia litera (v), którą wymawia się jak „i”.

⁶⁸ „Świeckie abecadło” (tak zwana „graždanka”), litery i czcionki rosyjskie, wprowadzone w 1708 r. przez Piotra Wielkiego. Alfabet staro-cerkiewno-słowiański pozostał od tego czasu tylko w użytku kościoła prawosławnego.

⁶⁹ „Święty wieczór! Tato i mama przysłałi do was, wujku, i do was, wujenko, świętą wieczerzę” (ukr.).

⁷⁰ Pałamarz (ukr. pałamar), posługacz cerkiewny.

⁷¹ Tytus Liwiusz, dziejopis rzymski (59 p.n.e.—17 n.e.).

⁷² Stychar, wierzchnia szata wzorzysta duchownych prawosławnych podczas nabożeństwa.

⁷³ Hofmańskie krople, mieszanina trzech części alkoholu z jedną częścią eteru. Był to lek domowy stosowany przy nagłych omdleniach oraz jako środek wzmacniający. Pierwszy zaczął go stosować lekarz niemiecki Fryderyk Hoffman (1660—1742).

⁷⁴ Tarań, ryba koścista z rodziny karpiowatych.

⁷⁵ Sw. Atanazy, patriarcha konstantynopolitański, został pochowany wschodnim zwyczajem w pozycji siedzącej, stąd legenda, o której wspomina Szewczenko.

⁷⁶ Kontrakty kijowskie, wielki doroczny jarmark odbywający się dawniej w Kijowie od 7 stycznia do 1 lutego.

⁷⁷ „...osławiony pijus K. Radziwiłł...”, książę Stanisław Radziwiłł (1734—1790), zwany „Panie Kochanku”. Protegowany Katarzyny II, który słynął z pijaństwa, a swą olbrzymią fortunę trwonił na wystawne przyjęcia i festyny.

⁷⁸ Dymitr Troszczyński, ukraiński ziemianin, senator, minister sprawiedliwości (1754—1829).

⁷⁹ „Nasyp no...” Nalej no...

⁸⁰ Grzywiennik, popularna nazwa dawnej rosyjskiej monety srebrnej, dziesięciokopiejkówki.

⁸¹ „Jarem, jarem za bydłem, manowcami za owcami” (ukr.).

⁸² „Do progu głowami, wstawaj rano za wołami” (ukr.).

⁸³ Anatema, klątwa kościelna. Lud ukraiński używa tego słowa w znaczeniu obelżywym.

⁸⁴ „Dokąd to cię niesie? Czy nie do biskupa czasem? Jeśli tak, to ci powiem, że ty beze mnie nic nie zrobisz, a kupisz kwartę wódki, górę przewrócę, nie tylko biskupa” (ukr.).

⁸⁵ Wiadro, dawna ros. miara cieczy.

⁸⁶ „Oj szedł czumak z Donu...” (ukr.)

⁸⁷ „Oj doloż moja, dolo, dlaczegoś mi taką jak inne i cudzą?” (ukr.)

⁸⁸ „A w niedzielę bardzo rano szli nasi rekruci, a szynkarzka na ich mrugnięcie: idę, bracia, już na targ” (ukr.).

⁸⁹ „Huzia, pijanice!” (ukr.)

⁹⁰ Kafizma, jeden z dwudziestu rozdziałów psalterza, używanego w kościele prawosławnym.

⁹¹ Kryłas (ukr.), miejsce na podwyższeniu dla śpiewaków, przy ikonostasie, z lewej i prawej strony tzw. „carskich wrót”.

⁹² Halsztuk, krawat.

⁹³ „Za trzy grosze koguta sprzedałam, za kopiejkę dudarza

wynajętem, zagraj mi, dudarzu, na dudzie, niech o swojej biedzie zapomnę” (ukr.).

⁹⁴ „A mój mąż uciekł na Wołoszczyznę, a ja cep sprzedalam i muzykę wynajętem” (ukr.).

⁹⁵ „Oj zagrajcie mi, muzykanci moi, a ja wam tego dam, czegoście nie widzieli od urodzenia — u ha!” (ukr.)

⁹⁶ „Upiłam się, ale nie za wasze — moja kurka jajka mi zniosła, więc za jajka się upiłam” (ukr.).

⁹⁷ „Cur tobie”, zaklęcie: „idź precz ode mnie” (zwrot używany dawniej w języku ukraińskim, jak i polskim).

⁹⁸ Arszyn, dawna wschodniosłowiańska miara długości równa 71,12 cm.

⁹⁹ Protopopówna, córka protopopa. Protopop, starszy pop.

¹⁰⁰ Półpanek, drobny lub zubożały ziemianin.

¹⁰¹ „Hej, przygotujcie tańce, zabawy” (ukr.).

¹⁰² „Mariusia biegnie mu na spotkanie...” (ros.)

¹⁰³ *Małorosyjska Safona*, zbiór opowiadań A. Szachowskiego, których główną bohaterką jest legendarna poetka ukraińska, autorka pieśni, Mariusia Czuraj.

¹⁰⁴ Mikołaj Grecz (1787—1867), reakcyjny dziennikarz i językoznawca rosyjski. Szewczenko nazywa Grecza „wielkim” przez ironię.

¹⁰⁵ „Kozak nazwiskiem Kłymowski”, legendarny układacz pieśni w XVIII wieku. Istnienie jego nie zostało naukowo stwierdzone. Książę Szachowski zrobił z niego bohatera swojej sztuki pt. *Kozak-rymotwórca*.

¹⁰⁶ „Mucha”, „Połtawska Mucha”, nazwa rękopiśmiennego satyrycznego czasopisma, które wydawał Iwan Kotlarewski. Pismo to, niestety, nie dochowało się do naszych czasów.

¹⁰⁷ Oto człowiek! (łac.)

¹⁰⁸ Szlachecki Pułk w Petersburgu, tak się nazywała szkoła typu wojskowego, istniejąca w latach 1807—1855. Po 1832 r. przyjmowano do tej szkoły również dzieci innych stanów, chociaż tradycyjna nazwa została utrzymana.

¹⁰⁹ „Co będzie, to będzie, a będzie to, co nam Bóg da” (ukr.).

¹¹⁰ Szulawszczyzna (Szulawka), miejscowość pod Kijowem; później przedmieście.

¹¹¹ Franciszek Magendie, fizjolog francuski (1783—1855), twórca medycyny doświadczalnej.

¹¹² „Chmura zaczęła nachodzić, deszczyk zaczął padać” (ukr.).

¹¹³ Chorąży (ros. praporszczyk), najniższy stopień oficerski w dawnej armii rosyjskiej.

¹¹⁴ „Będziesz oficerem, to i pieniąż będzie” (ukr.).

¹¹⁵ *Ostatni dzień Pompei*, obraz malarza rosyjskiego Karola Briułowa (1799—1852).

¹¹⁶ *Cień Napoleona na wyspie św. Heleny*, liche jarmarczny obrazek.

¹¹⁷ *Martwe dusze*, głośna powieść satyryczno-obyczajowa wielkiego pisarza rosyjskiego Mikołaja Gogola (1809—1852).

¹¹⁸ „Biblioteka dla Cztienija”, czasopismo „literatury, nauki, sztuk pięknych, przemysłu, nowin i mód”, wydawane w Petersburgu od 1834 do 1865 roku; prowadziło ono walkę z tak zwaną „szkołą naturalną” w literaturze, reprezentowaną przez genialnego pisarza realistę M. Gogola.

¹¹⁹ Chresty, trzecia niedziela Wielkiego Postu (Chrestopłonna). Na tę niedzielę pieczono ciasto w formie krzyża, stąd ludowa nazwa tego dnia.

¹²⁰ *Niklas-Niedźwiedzia Łapa*, powieść podrzędnego pisarza rosyjskiego R. Zotowa.

¹²¹ Szalka, szklanka o pojemności ok. 1/100 wiadra.

¹²² *Opowieść o kapitanie Kopiejkinie*, opowiadanie stanowiące fragment końca pierwszej części *Martwych dusz* Mikołaja Gogola.

¹²³ „Saint-George”, nazwa luksusowej restauracji w Petersburgu.

¹²⁴ Maria Taglioni, słynna tancerka (1804—1884) ze znanej włoskiej rodziny artystów; w latach 1837—1842 występowała z dużym powodzeniem w Rosji.

¹²⁵ Marcinkiewicz, właściciel „zakładu rozrywkowego” pod nazwą „Sztuczne wody mineralne” z salą do tańca, w Petersburgu.

¹²⁶ Aloesem leczono choroby przewodu pokarmowego.

¹²⁷ Wszystkie te utwory mają za temat nieszczęsną dolę dziewczyny uwiedzionej, a później porzuconej przez huzara.

¹²⁸ „Wariacje Lipińskiego”, Karol Józef Lipiński (1790—1861), skrzypek i kompozytor polski. Zajmował się zbieraniem ludowych melodii ukraińskich (czerwonoruskich).

¹²⁹ „Czy ja taka urodziłam się, czy bez szczęścia ochrzciłam się?” (ukr.)

¹³⁰ Szczekawica, góra w Kijowie i cmentarz na tej górze.

¹³¹ Osjan (Ossian), rzekomy bard szkocki z III wieku, postać literacka wprowadzona przez poetę angielskiego Jamesa Macphersona (1736—1796). Autor rzekomo odkrytych przez niego poematów celtyckich.

- ¹³² „I wieszczę zabrzmiały” (ros.).
- ¹³³ „W stepie mogiła z wiatrem rozmawiała: Powiej, wietrze bujny, abym nie czerniała” (ukr.).
- ¹³⁴ „Leci orzeł ponad morze, oj daj, morze, pić! Ciężko, trudno jest sierocie na obczyźnie żyć” (ukr.).
- ¹³⁵ „Pokrowskie i błahowiszczęńskie duchowieństwo”, z cerkwi pod wezwaniem Pokrowy i Zwiastowania Pańskiego.
- ¹³⁶ Akafist, rodzaj litanii (cerk.).
- ¹³⁷ *Mnohaja lita*, odpowiednik polskiego *Sto lat*.
- ¹³⁸ Knysz, rodzaj bułki pieczonej z tłustością i cebulą.
- ¹³⁹ Martyn Puszkar, pułkownik połtawski, jeden z współpracowników Bohdana Chmielnickiego.
- ¹⁴⁰ „Wzeszła gwiazda wieczorem i nie nagwieździła się...” (ukr.).
- ¹⁴¹ Chreszczatyk, główna ulica w Kijowie.
- ¹⁴² Swistun, przedmieście Astrachania.
- ¹⁴³ Czychyr (czichir), rodzaj kaukaskiego wina gronowego.
- ¹⁴⁴ Nozdriew, jeden z bohaterów powieści M. Gogola *Martwe dusze*.
- ¹⁴⁵ „Jakszi-oł” (kirg.), okrzyk podczas uczty: „Niech żyje”.
- ¹⁴⁶ Turkmeński argamak, koń z rasy lekkich i rącznych wierzchowców, hodowanych w Turkmenistanie.
- ¹⁴⁷ Czarny Jar, miasto nad Wołgą.
- ¹⁴⁸ Czeka (orm.), nie.
- ¹⁴⁹ „So swiatymi upokoj” (cerk.), Ze świętymi spoczniście.
- ¹⁵⁰ Efreem Syryjczyk i Justyn Filozof (Justyn Męczennik, Flavius Justinus, pisarze kościoła chrześcijańskiego, pierwszy z IV w., drugi z II w. n.e.).
- ¹⁵¹ Twierdza Tatiszczewa, forteca, pod której murami doznało klęski wojsko Pugaczowa w 1774 r.
- ¹⁵² *Córka kapitana*, powieść A. Puszkina, której akcja toczy się w czasie powstania Pugaczowa w XVIII wieku.
- ¹⁵³ „Groźny Pugacz”, Jemielian Pugaczow, przywódca powstania chłopów, Kozaków i ludów nadwołżańskich przeciwko caratowi w latach 1773—1775. Pugaczow z rozkazu carowej Katarzyny II został stracony w 1775 r.
- ¹⁵⁴ „Donner Wetter” (niem.), do stu piorunów.
- ¹⁵⁵ Pstrucha, materiał w kolorowe pasy.
- ¹⁵⁶ Wilczy paszport, w carskiej Rosji dowód osobisty z adnotacją o zastrzeżeniach natury kryminalnej lub politycznej w stosunku do posiadacza dowodu. Wilczy paszport zamykał jego posiadaczowi drogę do szkół, urzędów państwowych itp.

¹⁵⁷ Basztan, pole, na którym sieją arbuzy, dynie i ogórki.

¹⁵⁸ Suponia, rzemień do ściągania chomąta.

¹⁵⁹ Baranta, u ludów koczowniczych w Azji Środkowej samosąd albo akt zemsty; najazd; grabież; zniszczenie osiedla i uprowadzenie ludzi. Baranta tym się różni od zwykłej wyprawy wojennej, że napadający, w obawie przed krwawym odwetem, nie posługują się bronią palną, a nawet sieczną, tylko biorą drągi, obuchy i nahajki.

¹⁶⁰ Chochły, na pół żartobliwa, na pół pogardliwa nazwa Ukraińców, używana niekiedy w języku rosyjskim.

¹⁶¹ Konfirmacja, tu w znaczeniu: wyrok zatwierdzony przez władzę zwierzchnią.

¹⁶² „Z wysługą” w dawnej rosyjskiej terminologii wojskowej znaczy to: z możliwością stopniowego awansowania i odzyskania dawnej rangi, posiadanej przed wyrokiem o degradacji.

¹⁶³ John Flaxman, znakomity rzeźbiarz i rysownik angielski (1755—1826). Znane są i cenione m.in. jego ilustracje do *Iliady* i *Odysei* Homera.

¹⁶⁴ „Artysta malarz Pawłow”, był nauczycielem rysunków na Uniwersytecie Kijowskim. W 1846 r. przeszedł na emeryturę, a na jego miejsce mianowany został Szewczenko.

¹⁶⁵ John Martin, malarz angielski (1789—1854). Stworzył cały cykl obrazów o tematyce biblijnej.

¹⁶⁶ Saksauł, nieduże bezlistne drzewo, rosnące na pustyniach Azji Środkowej.

¹⁶⁷ Kara-Kum, piaszczysta pustynia w Turkmenistanie, na południowy zachód od Amu-darii.

¹⁶⁸ Irgiz (Irgis), lewobrzeżny dopływ Wołgi, typowa rzeka stepowa.

¹⁶⁹ Aksakały (kazachs.), dosł.: białe brody, chodzi tutaj o najstarszych w rodzie.

¹⁷⁰ Kantoniści, w dawnej Rosji chłopcy przymusowo podlegający od urodzenia zwierzchności wojskowej. Przygotowywano ich do służby wojskowej w specjalnych niższych szkołach wojskowych, tak zwanych szkołach kantonistów. Instytucja ta, powstała na początku XVIII w., została zniesiona w 1856 r.

¹⁷¹ Roderick Impey Murchison, geolog angielski (1792—1871); napisał m.in. dzieło o geologii Rosji.

¹⁷² „Listy z zagranicy pisane przez prawodawcę języka rosyjskiego”, Szewczenko ma tu na myśli utwór pt. *Listy rosyjskiego podróżnika* znanego powieściopisarza, poety i histo-

ryka Mikołaja Karamzina (1765—1826). W *Listach* tych Karamzin zerwał pęta pseudoklasycyzmu i dał wzór nowego, bardziej demokratycznego i realistycznego języka i stylu.

¹⁷³ *Listy z Finlandii*, utwór poety rosyjskiego Konstantego Batuszkowa (1787—1855). Właściwy tytuł tego utworu brzmi: *Obraz Finlandii (Urywek listów rosyjskiego oficera)*.

¹⁷⁴ Herodot, historyk grecki z V w. p.n.e.

¹⁷⁵ „Czym się taka urodziła, czym bez szczęścia się ochrzciła czy to takich kumów wzięli, że los-szczęście gdzieś odjęli” (ukr.).

¹⁷⁶ Stychiera, rodzaj hymnu cerkiewnego w kościele wschodnim.

¹⁷⁷ Stycharny soborny pałamarz, posługacz kościelny w soborze, mający prawo noszenia stychara.

¹⁷⁸ Riasa, sutanna kapłanów prawosławnych.

¹⁷⁹ „Martwiła się popadła wielką swoją biedą” (ukr.).

¹⁸⁰ „Żyto, matko, żyto, matko, żyto, a nie plewy” (ukr.).

¹⁸¹ Nejtyczanka, bryczka z tyłu nieco podniesiona z wasągiem wyplatana, z koziołkiem i fartuchami.

¹⁸² Senczyłow (A. Senczyło-Stefanowski), malarz cerkiewny i nauczyciel rysunków w Kijowie; kolega Szewczenki z komisji archeograficznej.

¹⁸³ Ławra, nazwa niektórych znakomitszych klasztorów prawosławnych.

¹⁸⁴ Hodigitria (z gr.), przewodniczka, nazwa ikony.

¹⁸⁵ *Kijowski Pateryk*, księga obejmująca żywoty świętych i ojców kościoła prawosławnego na obszarze Ławry Kijowsko-Pieczerskiej. Księga ta powstała w wieku XIII, a później wielokrotnie była przerabiana i uzupełniana.

¹⁸⁶ „Młodzieniaszka ze świty księcia Borysa”, mowa tu niewątpliwie o Mojżeszu Uhrynie, którego cnotliwość opiewa jedna z legend zawartych w *Kijowskim Pateryku*.

¹⁸⁷ Pokrytka, dziewczyna, która urodziła nieślubne dziecko i według obyczajów ludu ukraińskiego winna pokryć głowę chustką, gdyż nie wolno jej tak jak pannom chodzić z odkrytą głową.

¹⁸⁸ „Dziada o siwych włosach, majestatycznego, łagodnego, z wielką pisaną księgą w rękach”, Szewczenko ma tu chyba na myśli księcia kijowskiego Włodzimierza Swiatosławowicza, który w roku 988 wprowadził na obszarze swojego państwa religię chrześcijańską obrządku greckiego. Włodzimierz

Wielki był również gorliwym krzewicielem oświaty wśród swoich poddanych.

¹⁸⁹ Odyn (Wotan), w mitologii skandynawskiej bóg wojny, zwycięstwa, wichru i śmierci.

¹⁹⁰ Aurora, jutrzeńka. Rzymska nazwa greckiej bogini Eos.

¹⁹¹ „Dobry wieczór, mateńko! Dobry wieczór, dobry człowieku! Skąd Bóg niesie? A ot wiozę pana z Hłymiazowa, i jak widzicie niepogoda” (ukr.).

¹⁹² „Otieczestwiennyje Zapiski”, czasopismo literackie wychodzące w Moskwie od 1820 do 1884 r.

¹⁹³ *Dawid Copperfield*, głośna powieść pisarza angielskiego Karola Dickensa (1812—1870).

¹⁹⁴ „Sowremiennik”, postępowe czasopismo literackie założone w 1836 r. przez A. Puszkina.

¹⁹⁵ „Oj, ty,, Kozacze, ty zielony barwinku! Któż ci pościele w polu białe łoże” (ukr.).

¹⁹⁶ „Czornyj cwiet (ros.), „Czarny kwiat”.

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1986

Wydanie I. Nakład 9 730+270 egz.

Ark. wyd. 8,7. Ark. druk. 11,25

Papier druk. sat. imp. kl. III, 70 g, 82×104 cm

Oddano do składania w grudniu 1984 r.

Podpisano do druku w grudniu 1985 r.

Druk ukończono w lutym 1986 r. Cena zł 120,—

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów
ul. Marchlewskiego 19. Zam. nr 5282/85, M-4-185

Cena zł 120,—

Z cyklu prozatorskich opowieści Tarasa Szewczenki nakładem Wydawnictwa Lubelskiego dotychczas ukazały się:

ARTYSTA

MUZYKANT

KAPITANOWA

KSIĘŻNA · WARNAK

NIESZCZĘŚLIWY

NAJMITKA

PRZEJAŻDŻKA Z PRZYJEMNOŚCIĄ
I NIE BEZ MORAŁU

